X. Marcin Czermiński T. J.

Na Lewantyńskich i Szwedzkich wybrzeżach.

Odbito w Drukarni „Czasu“ w Krakowie 1907 r.

X. MARCIN CZERMIŃSKI T. J.

Na Lewantyńskich i Szwedzkich Wybrzeżach.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU.“
1907.

Odbitka z »Misyj katolickich.« — Nakładem Redakcyi.

NA KRECIE.

I.

Na Adryatyku. — Misya w Kanei.

Pomimo usilnych starań i pieniężnej zapomogi na drogę, nie mogłem znaleźć kapłana, któryby mógł się udać na Kretę w ciągu 1904 i 1905 roku dla wysłuchania spowiedzi żołnierzy katolickich rosyjskich, znajdujących się tam dla bezpieczeństwa wyspy od lat kilku. Biedni rodacy mają wprawdzie w Kanei i Retymnie katolickich kapłanów z zakonu OO. Kapucynów, lecz jako Sycylianie nie znając słowiańskich języków, nie mogą iść im z pomocą duchowną. To też gdy ks. administrator apostolski wyspy Krety znowu w tym roku zwrócił się z usilną prośbą, abym się zlitował nad żołnierzami rosyjskimi i przybyciem na Kretę umożliwił im spowiedź wielkanocną, na którą czekają napróżno od ostatniego mego tam pobytu w r. 1903, postanowiłem już nie szukać innego kapłana, lecz samemu się udać z tą misyą.

Dzięki Bogu, udało mi się przejść rozliczne Scylle i Charybdy, i wsiadłem w tryesteńskim porcie na parowiec »Carniola« w dniu 17 maja 1906 roku. Czas był pochmurny, powietrze parne, widnokrąg zaciemniony pyłem puszcz afrykańskich, przyniesionym przez wiatr *sirocco*. Niebawem deszcz zaczął padać drobny, barwiąc płowo powierzchnię morza. Już o piątej z południa miano podnieść kotwicę, lecz wstrzymano się, bo coraz to nowe ładunki towarów następowały po sobie i dopiero o godz. 8 wieczór opuściliśmy port. Tysiące świateł w Tryeście i jego przedmieściach migotały żywo wśród wilgotnego powietrza, jak oczy zmęczone zamykające się do snu i gasły powoli w miarę, jak parowiec oddalał się od brzegów. Wyszedłem na pokład zakryty płótnami żaglowemi, a że nie było, prócz mnie, innych podróżnych, mogłem bez żadnej przeszkody myśl mą skierować w modlitwie ku niebu i plany układać do blizkiej misyi. Noc krótko trwała, zarumienił się od wschodu widnokrąg; parowiec znajdował się już w połowie Adryatyku; na pokładzie panował spokój zupełny, przerywany tylko miarowem tarciem okrętowej maszyny. Skorzystałem z tego spokoju, ustawiłem podróżny ołtarz w jednej ze sal parowca i po raz pierwszy w życiu począłem odprawiać na morzu Najśw. Ofiarę. Nie umiem opisać wrażenia, jakiego wówczas doznałem i tych uczuć, jakie cisnęły się nawałnicą do umysłu i serca. Chwilę tę chyba porównać bym mógł z tą, jakiej doznałem przed siedmiu laty na wyspie Patmos, gdym w grocie apokaliptycznej Mszę św. odprawiał. Odczułem całą powagę kapłańskiego urzędu:

aby się modlić za ludzi żywych i umarłych, za tę załogę okrętową, jeszcze we śnie pogrążoną między niebem a otchłanią morza i tych wszystkich, którzy się polecili pośrednictwu u Boga, lub którzy wcale o tem nie pamiętają, aby myśl swą do nieba kierować. Jak w kalejdoskopie stanęły mi przed fantazyi oczyma rycerskie duchy zapasów z Turkami na lewantyńskich wybrzeżach, lub ci, co jako rozbitki niespodziewanie tu w falach grób swój znaleźli — wszyscy z podniesionymi błagalnie ku mnie rękoma, z prośbą o pomoc przez Najświętszą Ofiarę. Ta myśl towarzyszyła mi przez cały dzień i noc następną, zwłaszcza, gdyśmy mijali Lissę i z Adryatyku płynęli ku morzu Jońskiemu. I po raz drugi z temże uczuciem Mszę świętą odprawiałem w dniu sobotnim 19 maja, bo nic nie mogło myśli mych na inny przedmiot skierować, skoro towarzystwa nie miałem żadnego, a parowiec bez zatrzymania pruł morze już dzień trzeci, zanim z południa stanął na kotwicy przed turecko-albańskiem miastem Durazzo — starożytnem Dyrrachium.

Miałem jednak małą dywersyę w jednostajności podróży. Urzędnicy lloydowscy, w chwilach wolnych od zajęć, schodzili się na gawędę religijną, której oddawna, może bardzo dawna, nie mieli sposobności prowadzić. A jednak dusza ludzka zawsze łaknie pokarmu zdrowego i chociażby była grzechem ujarzmiona, skalana występkiem, mimo swej woli wznosi się czasem ponad to wszystko co ziemskie, szuka rozwiązania zagadki życiowej i nie znajdując go w rzeczach materyalnych, wznosi się wyżej, aż się zatrzyma z trwogą przed

Tym, który jest wszystkiego alfą i omegą — początkiem i końcem. To też przy wspólnem z nimi śniadaniu i obiedzie, pytaniom i odpowiedziom nie bywało końca, tylko dzwonek komendy, wołający każdego na wyznaczoną placówkę, przerywał nasze rozmowy — nie kończył, bo ich ciąg dalszy trwał na następnem zebraniu. Materyału naturalnie nie brakowało. Kontrowersye stokrotnie poruszane i tyleż razy zbite przez katolików, wyjaśnienia dogmatów nieomylności papieskiej, Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny, ustanowienia Sakramentu Pokuty, powołanie człowieka do życia nadprzyrodzonego i t. p. tematy nastręczały sposobność do nader interesującej zmowy. Moi towarzysze kiedyś na szkolnej ławie uczyli się tego wszystkiego, lecz tylko, aby coś odpowiedzieć, gdy katecheta zapyta. Później porwani w wir zawodowej pracy, która ich przykuła do obsługi maszyny okrętowej, może nie mieli ni sposobności, ni czasu na wyjaśnienie wątpliwości, na uzupełnie braków w znajomości przedmiotu wiary. W każdym razie, obecnie okazali dużo dobrej woli, uzasadnioną więc mam nadzieję, że posiew prawdy kiełkować będzie w ich duszy.

W podobnem, lecz o wiele trudniejszem położeniu znajdował się chłopak 14-letni, przyjęty świeżo do służby okrętowej. Był to Istryjczyk, którego wiedza katechizmowa ograniczała się wyłącznie do znajomości Modlitwy Pańskiej i Anielskiego Pozdrowienia. Przytem taki był dzikus, że bał się wszystkich i uciekał przed każdym, kto tylko nań spojrzał. Do św. Sakramentów jeszcze nigdy nie przystępował i nie było na-



Żołnierze rosyjscy Polacy, którzy brali udział w misyi w Kanei w maju r. 1906.
Fotografia zdjęta na cmentarzu katolickim.

dziei, aby przy obecnem zajęciu mógł się do nich jako tako przygotować. Zająłem się więc nim i w porozumieniu z komendantem okrętowej załogi postanowiłem urządzić dlań przyjęcie po raz pierwszy Komunii św. jak najokazalej. W wolnych od zajęć chwilach chłopczyna przychodził na naukę katechizmu. Niebawem nabrał do mnie zaufania, słuchał uważnie i sprytnie na pytania zadawane odpowiadał. Aby mu ułatwić nauczenie niektórych koniecznych prawd i modlitw, wezwałem do pomocy jego rówieśnika, który, jako ukończony »teolog« w elementarnej szkółce, doskonale spełnił rolę katechisty względem swego okrętowego kolegi. Rezultat był taki, że Istryjczyk wyuczył się 6 prawd, jakie każdy człowiek wiedzieć i wierzyć powinien, składu apostolskiego, dziesięciu przykazań Bożych i pięciu kościelnych, wreszcie najkonieczniejszych rzeczy odnoszących się do spowiedzi i Komunii św. Dla rzadkiej uroczystości niedziela była najodpowiedniejszą. W tym dniu (20 maja) parowiec o g. 6 rano zarzucił kotwicę przed Waloną, komendant prosił, abym miał Mszę św. o godz. 7, bo o tej porze załoga parowca i personal służbowy lloydowskiej agencyi z miejscowego portu, będą mogli uczestniczyć w Najświętszej Ofierze. Już poprzednio wyspowiadałem chłopca i w oznaczonej godzinie wyszedłem do ołtarza ustawionego w sali komendanta. Salka i część pokładu napełniły się ludźmi różnego stanu. Rzadko się zdarza, zwłaszcza na tej linii okrętowej, aby podróżujący kapłan miał ze sobą przybory do Mszy św., więc załoga okrętu w niedzielę i święta jest pozbawioną nabożeństw kościelnych. Tym

razem większej okazałości dodawała Mszy św. pierwsza Komunia chłopca okrętowego. Jego skupienie, przejęcie się ważnością chwili, a następnie długie modlitwy po przyjęciu Najśw. Sakramentu, nader miłe i korzystne na obecnych zrobiły wrażenie.

Od rana mieliśmy czas pochmurny — parny, następnie deszcz ulewny z grzmotem i piorunami bijącymi o wieniec gór, otaczający malowniczy port Walony. Lecz tego rodzaju burze nie przeszkadzają podjęciu dalszej podróży i »Carniola« wyruszył na pełne morze. Otworzyłem księgę Pisma św. i zacząłem czytać dzieje apostolskie, opisujące zawiązki pierwszych gmin chrześcijańskich na lewantyńskich wybrzeżach. Jeżeli z jednej strony budziła się w sercu wdzięczność względem Boga, iż mi dozwolił oglądać te strony uświęcone pracą św. Apostołów — z drugiej smutek ściskał serce na widok spustoszenia dokonanego w dawniej świetnych kościołach wschodnich, dziś spustoszonych i upadłych wskutek inwazyi tureckiej i odszczepieństwa greckiego. A przecież dzisiaj tak ułatwione poznanie prawdy, tak ona bije w oczy, że tylko złą wolę u ludzi wykształconych można przypuścić, u tych, którzy obowiązani są w sumieniu tę prawdę poznać i innym głosić. Łatwiej usprawiedliwić te tłumy szare, którym walka o byt codzienny zaciemnia horyzont jasnych pojęć o istocie Kościoła Chrystusowego i ślepo idą za tymi, którzy powinni być pochodniami gorejącemi wśród drogi i solą chroniącą od zepsucia.

Wśród tych refleksyj czas szybko minął i ani się spostrzegłem, gdy parowiec stanął wieczorem przed

ubogim i małym portem Santi Quaranta, który służy do eksportu płodów południowej Albanii. Jednak nie długo zatrzymaliśmy się tutaj; w nocy, pomimo burzy coraz bardziej miotającej naszym parowcem, dalszą odbywaliśmy podróż. Nad ranem wyszedłem na pokład. Było chłodno, nawet zimno przejmujące wskutek silnego wiatru, budzącego się zwykle przed wschodem słońca. Od strony Grecyi zarumieniło się niebo. Itakę otoczyła łuna krwawa, a na szczytach wyspy ukazał się jakby wulkan, który coraz silniej wybuchał, czerwienił się, aż wyrzucił z siebie blask ognisty. Niebawem całe wzgórze gorzało jasnym ogniem wschodzącego słońca. Równocześnie opary zaczęły się wznosić, a oblane światłem, przedziwny fioletowy blask dały, pełen świeżości, zupełnie odrębny od drgania światła przy zachodzącem słońcu. »Carniola« zakreślił łuk w morzu i wpłynął w szeroki i długi naturalny port wyspy Kefalonii, aby przed jej stolicą Argostoli zarzucić kotwicę. Znajdowaliśmy się w okolicy, która tło dała do opisu Odysseusa przygód, gdyż tak Itaka, jego królestwo, jak i Kefalonia, objęte są epopeą Homera. W parę godzin później już okrążaliśmy wyspę Zante (Zakynthos), stanowiącą z Korfu, Lewkos, Itaką, Kefalonią, grupę wysp Jońskich, znanych mi już z dawniejszej podróży. *) Odtąd rozpoczęła się droga jeszcze mi nieznana, wzdłuż wybrzeży skalistych południowego Peloponezu. Gdyby nie pamięć na historyę starożytną grecką, która w młodości tak umysły za-

*) Cf. *Z Grecyi i Krety*, str. 30—88. Kraków, 1902.

pala, zwłaszcza przy egzageracyi opisów więcej bajecznych niż historycznych, nie byłoby na co spoglądać, tak wszystko tu nędznie wygląda. Jedynie gra światła fioletowo zabarwionego i lazur morza silnie odbijający od płowych wybrzeży, wyrazistość konturów w dalekiej perspektywie bawi oko widza z krain północnych, bo do tego mniej jest przyzwyczajony.

Kalamata, już w pobliżu Sparty położona, dalszym była naszym przystankiem. Jak wiele innych i to miasteczko zniszczone przez Turków w czasie walki o niepodległość Grecyi w pierwszej połowie XIX stulecia, dopiero zaczyna podnosić się przez handel głównie rodzynkami, oliwą i jedwabiem. Kupcy pospieszyli na nasz pokład, aby zbyć swe towary z czterech przędzalni tutejszych, ceniąc swój towar zrazu wysoko, następnie zniżając cenę prawie do niemożliwości wyjścia na swojem, a pomimo tego nie znajdują nabywców w braku podróżnych. Podobno wielki eksport tutejszych jedwabnych wyrobów odbywa się do Francyi.

Z Kalamaty wzdłuż skalistych, prostopadle w morze wpadających wybrzeży, płynęliśmy kilka godzin silniejszą parą, aby jeszcze przy blasku zachodzącego słońca opłynąć przylądek Matapan, groźny nietylko dawniej, lecz i dzisiaj jeszcze wskutek rozmaitych prądów morskich, niebezpiecznych dla żeglarzy. Iluż tu ludzi zatonęło w głębinach morskich w tem miejscu, ileż łodzi i okrętów rozbiło się o skały pomimo latarni na szczycie Matapanu umieszczonej, zwiastującej żeglarzom niebezpieczeństwo! W starożytności wystawiono tu świątynię Posejdonowi, która była środowiskiem kultu tego mórz

mocarza dla związku nadbrzeżnych miast lakońskich. Jest to ostatnia kończyna stałego lądu Europy, odtąd dzielą ją od Azyi i Afryki tylko morze i wyspy. Ominąwszy szczęśliwie zdradzieckie prądy, »Carniola« zawitał pod wieczór do wyspy Kythery (Cerigo), sławnej z przygód Odysseusa, siedziby prastarego kultu Afrodyty. Przed kilku laty (1900) przy pomocy nurków wydobyto tu z rozbitego angielskiego okrętu w pierwszej połowie XIX stulecia, resztki prześlicznych arcydzieł starożytnej sztuki z bronzu i marmuru, a mianowicie: kilka figur młodzieńców i olbrzymią marmurową statuę Herkulesa, dziś znajdujące się w muzeum starożytności w Atenach.

Z Kythery do Krety na szczęście już nie mogło być żadnego przystanku. »Carniola« pruł morze całą noc i nad ranem stanął przed Kretą w pobliżu portu Kanei. Z wyjątkiem przystani w Suda, porty tutejsze są tak małe i płytkie, że tylko łodzie rybackie i maleńkie parowce mogą się do nich dostać. Inne, nieco większe, muszą zarzucać kotwicę na pełnem morzu. Tak też było i tym razem z »Carniolą«, jednym z większych parowców Lloyda. Zbliżyły się doń barki kreteńskie, miotane jak łupina orzecha przez wysokie fale morza Śródziemnego. Trzeba mieć wiele zimnej krwi, aby spokojnie wysiedzieć na takiej łodzi i zaufać wprawności wioślarzy. Chociaż czasem się zdaje, że niepodobna, aby piętrząca się ściana wodna nie zalała maleńkiej łodzi, ta jednak swym dziubem podnosi się w górę, to znowu spada w otchłań pieniącej się przepaści, lecz znowu z niej szczęśliwie wypływa, kierowana wielkiemi wiosłami wprawnych Kreteńczyków.

Nie wiem czy istnieje gdzie piękniejszy widok igrzysk, jak te zapasy »wilków morskich« z rozigranemi falami. Ile tam siły trzeba zużyć, ile ewolucyi ciałem i wiosłem wykonać, ile przytomności umysłu i zimnej krwi zachować, aby nie dać się pokonać przez groźny żywioł zupełnie nieobliczalny, jakim jest fala morska, pędzona przez wiatr.

Była godzina 8 rano 23 maja, gdym już po raz trzeci wysiadał na kreteńskie wybrzeża. Tym razem straże portowe okazały zagadkowe dla mnie, niegrzeczne usposobienie. Chciano mi zabrać mój bagaż podróżny do przechowania, aż starszyzna cłowa nadejdzie. Zgodziłem się na to, lecz żądałem pokwitowania. Tego wydać mi nie chciano. Trzeba więc było użyć całej stanowczości i groźby najwyższemi władzami, aby złamać upór butnych Kreteńczyków. Skąd ta zmiana zaszła w ich usposobieniu? Przedewszystkiem pamiętać należy, że tysiące lat nie zmieniły usposobienia tego ludu i pozostało ono takiem samem, jakie zastał św. Paweł apostoł i w listach swych opisał ujemne strony, znane już przez pogańskich starożytnych pisarzy. Ład i porządek na Krecie wprowadzony przez opiekuńcze mocarstwa od końca roku 1898, ustanowienie gubernatorem generalnym wyspy królewicza greckiego, w zamian za tyranię turecką, już im się sprzykrzył. W zeszłym roku wybuchła rewolucya, już nie przeciw Turkom, bo ci w znacznej części wyemigrowali z Krety do Azyi, lecz przeciw własnemu rządowi. Chciano zdetronizować królewicza Jerzego i nie oglądając się na możliwe komplikacye dyplomatyczne mocarstw opiekuńczych z Turcyą,

ogłosić na własną rękę połączenie swe z Grecyą. Ta, jak wiadomo, została pokonana przez Turcyę, więc tem bardziej nie miała prawa do zdobyczy na niej wyspy. Zeszłoroczne powstania wprawdzie zostały zgniecione w samym zarodzie przez wojska państw opiekuńczych: Anglii, Rosyi, Francyi i Włoch, dotychczas utrzymujące w karbach Kreteńczyków, lecz ferment nie ustał. Korzystając z nowych wyborów do parlamentu część niezadowolonych wyspiarzy z obecnych rządów, chciała większością głosów poselskich przeprowadzić to, co się nie udało rewolucyą. Na ich czele stanął zdolny adwokat kreteński, Eleutery Benizelos, były minister księcia Jerzego, i rozpoczął silną agitacyę za swoją kandydaturą na gubernatora Krety. Przybyłem do Kanei bezpośrednio przed wyborami do parlamentu, w czasie rozognienia fantazyi jej mieszkańców. Miałem więc rozwiązanie zagadki, dlaczego przy wylądowaniu spotkałem się z nieprzychylnością celników.

Jak lat dawniejszych, także tym razem zamieszkałem w klasztorze OO. Kapucynów, jedynych duszpasterzy gmin katolickich na Krecie. X. administrator apostolski, O. Antoni da Pettineo, już oddawna oczekiwał mego przybycia, i zawczasu zawiadomił odpowiednie władze cywilne i wojskowe o mającej się odbyć misyi dla żołnierzy rosyjskich. Grzeczność jednak wymagała, abym złożył wizyty lub przynajmniej karty wizytowe rozmaitym dostojnikom miejscowym. To też zaraz po nabożeństwie z procesyą (były to bowiem dni krzyżowe), wyruszyliśmy z X. administratorem na wędrówkę do Halepy, gdzie się znajdują konsulaty mocarstw.

Złożyłem wizyty konsulom austryackiemu i włoskiemu, p. Otfinowskiemu pułkownikowi żandarmeryi rosyjskiej, oddałem bilet komendantowi załogi rosyjskiej



Eleutery K. Benizelos, adwokat, rywal ks. Jerzego greckiego do gubernatorstwa nad Kretą w r. 1906.

kapitanowi Komarowskiemu, prosząc równocześnie o wydanie odpowiednich rozkazów dla katolickich żołnierzy.

Dzięki nadzwyczajnej uprzejmości wojskowych władz rosyjskich, trzydziestu trzech żołnierzy z roty 16 wileńskiego pułku (52) przybyło nazajutrz, w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, do kościoła katolickiego na Mszę św. i rozpoczęcie misyi. Nie było łatwą rzeczą wszystkich katolików zgromadzić, ponieważ piechota była rozrzucona na rozmaitych posterunkach w okolicy Kanei, a marynarze na pancerniku stojącym w porcie Suda, mieli niebawem w pełnym rynsztunku bojowym wyruszyć do Retymna, gdzie wskutek wyborów do parlamentu, umysły były bardzo wzburzone i obawiano się konieczności interwencyi dział. Tak komendant pieszej załogi w Kanei, jak i p. Petrow komendant kanonierki »Charboy«, zastąpili katolików innego wyznania żołnierzami, i ułatwili im wzięcie udziału w misyi. Za co i na tem miejscu serdeczną składam im podziękę.

Ułożyłem z żołnierzami, że będą przychodzili codziennie o godzinie 8 rano i o 4 popołudniu na nauki, a co wolnego czasu pozostanie, obrócimy na słuchanie spowiedzi, począwszy od soboty popołudnia.

Wskutek nabożeństw dla obcokrajowców w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego, nie mogłem przemawiać przed południem. Natomiast popołudniu, gdy zakończono krótkie grecko-włoskie nieszpory, wszedłem na ambonę, aby przemawiać do moich żołnierzy. Nie bez zdziwienia spostrzegłem, że na wieść o naukach zapełnił się kościół nietylko żołnierzami, ale także wielu świeckimi osobami płci obojga: narodowości kreteńskiej, greckiej, francuskiej, włoskiej, czeskiej i niemieckiej.

Większość ciekawych brzmienia polskiej mowy, dotrwała do końca nauki i pozostała na następnej, którą miałem po polskich kościelnych śpiewach żołnierzy, kończących pierwsze nasze pobożne zebranie.

Dziwne to na mnie wszystko robiło wrażenie, zwłaszcza, gdy z poblizkich minaretów zaczął dolatywać silny, piękny, lecz groźny głos muezinów, jakby chcących przygłuszyć swem nawoływaniem słowa Chrystusowego kapłana. Jakżeż szczęśliwym czułem się wówczas, że w naszym rodowitym języku możemy publicznie wielbić Pana Boga i innych do wielbienia zachęcać hen na krańcach trzech części świata: Europy, Azyi i Afryki! I tym głosem pięknej polskiej mowy nikt się tu nie brzydzi, i owszem, słuchają go chętnie obcy narodowością i wiarą.

Przed trzema laty (w r. 1903) mniej więcej o tej samej porze roku, we wstępnej nauce, jakby jakiemś dziwnem przeczuciem wiedziony, napomniałem obecnych wówczas żołnierzy, aby uważnie nauk słuchali i gotowali się pilnie do spowiedzi św , bo kto wie, czy nie będzie ona ostatnią w ich życiu. Wówczas upadli oni na kolana, zalewali się łzami, łkali formalnie — tak, że byłem zmuszony przerwać naukę, uspokoić bardzo wzruszonych żołnierzy. Usłuchali wówczas mej rady i prawie wszyscy pragnęli odbyć spowiedź z całego życia, aby być gotowymi i zupełnie spokojnymi o przeszłość na wszelką ewentualność. Rzecz dziwna! W parę miesięcy później wszyscy zostali odesłani do Mandżuryi. Należeli oni do pułku pragskiego pierwszej roty. Ten pułk w walce z Japończy-

kami kompletnie został zniesiony, a moi rekolektanci znajdowali się w pierwszych szeregach! Prawdopodobnie wszyscy zginęli. Wspomniałem o tem zdarzeniu na pierwszej nauce. Łatwo wyobrazić sobie wrażenie, jakie ten fakt na nich wywołał. To też usilnie prosili mnie, aby z nimi pójść na cmentarz miejscowy i pomodlić się za towarzyszy zmarłych w walce. Na nim chcieli się wszyscy fotografować, aby ta fotografia stała się im pamiątką na całe życie, iż i oni mają spocząć w grobach, lecz ani miejsca, ani dnia i godziny nie wiedzą kiedy to nastąpi. (Zob. ryc. na str. 9).

Jakkolwiek cała misyjka w Kanei miała trwać przez cztery dni, jednak na usilne prośby żołnierzy, bardzo chętnie zgodziłem się na dzień piąty i w tym czasie miałem do nich 11 nauk. Ostatnich dwu nauk słuchali oni już po przystąpieniu do św. Sakramentów. Dwie ostatnie Msze św., do których sami żołnierze chcieli służyć, były na ich intencye. Jak wielkiem zbudowaniem są nasi rodacy na Krecie, nietylko z własnego doświadczenia przekonałem się, lecz i z opowiadań obcokrajowców i zainteresowania całego miasta temi rekolekcyami. X. administrator apostolski i inni włoscy Kapucyni ze łzami w oczach opowiadali swoje wrażenia na widok modlących się żołnierzy i zachowania się ich w kościele i na ulicy.

Korzystali z mej obecności w Kanei także oficerowie z żonami i cztery Czeszki, śpiewaczki wędrowne, które przed nową podróżą za zarobkiem do Jerozolimy, przystąpiły pobożnie do św. Sakramentów. W tym czasie jedna dorosła osoba przystąpiła po raz pierwszy

do spowiedzi i Komunii św., do czego ją przygotowałem odpowiedniemi naukami.

Zajęty pracą misyjną, nie miałem ani czasu, ani ochoty zajmować się tem, co się działo w mieście. Lecz mimowoli o wszystkiem wiedzieć musiałem, bo dwa zacięte obozy: księcia Jerzego i adwokata Benizelosa, przeciągały ulicami dniem i nocą, głosząc prawdziwie, jak dzieci Południa, swą radość lub smutek, gdy kandydat na posła większą lub mniejszą ilość głosów otrzymał od swego rywala. Objawy radości, prócz głośnych owacyj — występowały w serenadach z tańcami przed mieszkaniem ulubionego kandydata, to znowu zawieszano żałobne draperye u wejścia do domu i na jego sklepach, gdy kandydat mniejszość głosów otrzymał. Zdawało się, że przyjdzie do zaciętej walki na noże między przeciwnemi stronnictwami; lecz władze miejscowe zostawiając swobodę wyborom, silne patrole wysyłały w różne części miasta, gotowe do obrony niewinnych ofiar roznamiętnionego tłumu. Z wystaw sklepowych pousuwano portrety księcia Jerzego, natomiast wystawiano wizerunek Benizelosa, kokardki z jego fotografią sprzedawano po wszystkich ulicach i przypinano sobie do ubrania. Gdym wszedł do jednej z większych papierni, nie mogłem nabyć ani jednej fotografii, ani jednej ryciny przedstawiającej księcia, chociaż do niedawna w różnych formatach były do nabycia. Natomiast wtykano do ręki Benizelosa, jako upatrzonego przez stronnictwo terroryzujące innych, przyszłego gubernatora Krety. Jakżesz prędko zmieniają się tu gusta i ocena wartości ludzi!



Przystań dla łodzi w Retymnie.

Główny zarzut jaki robią księciu jest, że nic nie robi dla wyjednania niezawisłości Krety od innych mocarstw, i że za wielką, 200.000 fr., pensyę otrzymuje. Nikt jednak nie wgląda, czy w obecnych stosunkach książę Jerzy może coś więcej zrobić; czy niema rąk związanych przez »opiekuńcze mocarstwa« i dyplomatyczne względy.

W parę miesięcy później, wprawdzie nie Benizelos, lecz p. Zaimis został powołany do zarządu nad Kretą, księcia Jerzego, odjeżdżającego do Aten, spotkała nie miła demonstracya ze strony Kreteńczyków, przyczem ubito kulą kawasa rosyjskiego, a ciężko skaleczono jednego z żołnierzy rosyjskich, (lecz nie Polaka), którzy dla bezpieczeństwa znajdowali się przy boku księcia Jerzego greckiego.

II. Misya w Retymnie.

W dniu 30 maja wsiadłem na parowiec »Kastore« Lloyda austryackiego i opuściłem wybrzeża Kanei, udając się do Retymna na drugą misyę dla żołnierzy rosyjskich. Między podróżnymi poznałem się z kapitanem Komarowskim, komendantem załogi w Kanei. Sam zbliżył się do mnie, zaprezentował i podziękował za misyę. Ujął mnie swoją łaskawością, bo aczkolwiek nie jest katolikiem, szczerze zajął się ułatwieniem żołnierzom korzystania z nauk, zwalniając ich ze służby na kilka dni, pomimo niepokojów, o których wyżej wspomniałem. Gdyśmy po kilku godzinach stanęli przed



O. Franciszek da Messina, Kapucyn. Br. Franciszek, Kapucyn.
Żołnierze rosyjscy Polacy, którzy brali udział w misyi na Krecie w mieście Retymnie od dnia 30 maja do 5 czerwca 1906 r.

Retymnem, p. Komarowski zaprosił mnie do łodzi wojskowej, którą po niego do naszego parowca przysłano z retymskiej komendy. Będąc w takiem towarzystwie, nie spotkałem się z żadną nieprzyjemnością ze strony władz kreteńskich, i owszem, wszędzie z największem uszanowaniem mnie traktowano. Bo też tutaj czują Kreteńczycy silną rękę pułkownika Urbanowicza, który, jeśli potrzeba, umie energię konieczną okazać. Opowiadano mi, że metropolita grecki w Retymnie stanął jako jeden z głównych agitatorów detronizacyi księcia Jerzego i przyłączenia Krety do Grecyi. Gdy nie skutkowały upomnienia łagodne, pułkownik Urbanowicz postawił wartę przed jego mieszkaniem, nie dozwalając mu na wychodzenie, a nadto kazał uwięzić wybitnych obywateli retymskich: majętnych kupców, lekarzy, adwokatów. Nie spodziewali się takiego postępowania. Lament powstał żon i rodzin uwięzionych, lecz żadne prośby i groźby, aby im wstydu nie robił, skutku nie odniosły; musieli czekać w więzieniu, aż się uspokoiły umysły. W tym samym czasie żandarmerya nie mogła ująć mordercy sześciu osób, bo ludność jednej z poblizkich wiosek ukrywała zbrodniarza. P. Urbanowicz zwołał starszych tej wioski do siebie i powiedział im, że w razie nie wydania winnego, każe im zabrać ich bydło. Starszyzna myślała, że to tylko strachy. Gdy jednak rozkaz wypełniono, i bydło sprowadzone do Retymna miało być rozdane między poszkodowanych: sami wydali mordercę w ręce władzy, aby odpowiednią karę otrzymał.



Widok na twierdzę i koszary rosyjskie w Retymnie od strony zatoki; podług fotografii z r. 1906.

Energia w postępowaniu tem konieczniejsza, iż w roku ubiegłym (1905) wybuchło formalne powstanie z osobnym rządem rewolucyjnym, i odważono się napaść na koszary rosyjskie w Retymnie. Żołnierze niespodziewanie zaatakowani, chwycili za broń, lecz powstańcy ukryci w rozrzuconych skałach nad brzegiem morza, formalnie zasypywali żołnierzy kulami, jak gradem. Przy tej sposobności pułkownik odniósł dwie rany w nogę. Wprawdzie napastnicy odpokutowali za swoją śmiałość, lecz lepiej uprzedzić zawczesne zachcianki połączenia Krety z Grecyą i nie dopuścić do rozlewu krwi, przez utrzymanie w żelaznych karbach niesfornych Kreteńczyków.

Zaraz po przybyciu do Retymna udałem się do p. pułkownika Urbanowicza z prośbą o wydanie rozkazów dla wojska, co do rozpoczęcia misyi. Przyjął mnie z otwartemi rękoma, mówiąc, że już oddawna oczekuje mojego przybycia, i niezwłocznie wydał rozporządzenia odpowiednie dyżurnemu oficerowi, p. Jacynikowi, Polakowi, który wraz z O. Franciszkiem, Kapucynem, towarzyszyli mi w tej wizycie. W salonie p. pułkownika, prócz jego żony, która mnie jako już znajomego witała, kilku innych wojskowych z paniami zastałem. Konwersacya naprzemian toczyła się w polskim, rosyjskim, włoskim i francuskim języku, bo wszystkich tych narodowości znajdowali się goście.

Dzięki łaskawości p. pułkownika, żołnierze na czas ćwiczeń duchownych od wojskowych zajęć zostali zwolnieni, ułożyliśmy więc, że będą przychodzili codziennie na Mszę św. o godzinie $7^1/_2$, po której będzie

nauka, popołudniu druga nauka o godzinie 4, błogosławieństwo Najśw. Sakramentem, śpiewy polskie kościelne i trzecia nauka kończąca się zwykle o g. 6$^{1}/_{2}$.

W dniu 31 maja kościółek OO. Kapucynów był przepełniony białymi mundurami. Prócz stu żołnierzy przybyły panie z rodzin oficerskich i trzy Czeszki, śpiewaczki miejscowego teatrzyku. Brały one udział we wszystkich naukach i nabożeństwach przeznaczonych dla żołnierzy, i owszem pierwsze przychodziły raniutko do kościoła i prawie cały dzień w nim przesiadywały, gotując się do Sakramentów św. bardzo pobożnie, pomimo że do późnego wieczora głosem swym i grą na instrumentach muzycznych zarabiały na kawałek chleba.

Nieopisana radość panowała wśród żołnierzy z powodu przybycia polskiego kapłana. Rozmaite wieści dochodziły do nich o dawniejszych misyach, to znowu fałszywe, iż już nie przyjadę, a ta pamięć na zeszłoroczne ostre starcie z powstańcami kreteńskimi, nakazywała gotować się na śmierć. Lecz kto ich na nią przygotuje? Kto wysłucha spowiedzi, pocieszy, doda otuchy, zachęty do cnotliwego życia, skoro z najpoczciwszym O. Franciszkiem z Messyny, Kapucynem, nawet na migi nie mogą się zrozumieć? Teraz odetchnęli pełną piersią! Zlecieli się wszyscy do ucałowania ręki i każdy z nich to pytania zadawał, co dzieje się w ojczyźnie, to żalił się, iż niema z domu żadnych listów, to jakieś specyalne prośby przedstawiał. Uspokoiłem ich wiadomością, że tak długo pozostanę w Retymnie, aż zaspokoję ich wszystkich potrzeby duchowne. To też całem sercem oddałem się poczciwym żołnierzom do

dyspozycyi, każdą chwilę dla nich poświęciłem; co zresztą było rzeczą zupełnie słuszną, skoro dla nich przybyłem na Kretę.

Pięć dni z rzędu trwały bez przerwy ćwiczenia duchowne. Mieliśmy wprawdzie pozwolenie tylko na trzy dni, t. j. czwartek, piątek i sobotę, lecz że następowały Zielone Świątki, więc prócz niedzieli także i poniedziałek dało się włączyć do naszych nabożeństw, ku ogólnej pociesze żołnierzy. Był to dla nich prawdziwy odpust. Dowoli mogli modlić się w kościele, wyśpiewywać pieśni polskie, przypominające im wiejskie kościółki i strony rodzinne, nakarmić swą duszę łaknącą oddawna niesłyszanem słowem Bożem, a przedewszystkiem uspokoić sumienie i zasilić się Chlebem anielskim. Jak zwykle przy takich okazyach prawie każdy pragnie dłuższą spowiedź odbyć, było więc mi bardzo na rękę, iż generalną Komunię św. mogłem na dwa dni rozłożyć: niedzielę i poniedziałek Zielonych Świątek, gdyż nie byłbym wstanie w sobotę wszystkich wysłuchać spowiedzi. Niektórzy z żołnierzy dwa razy komunikowali, a także i inne osoby, również Czeszki śpiewaczki.

Podobnie jak w Kanei, także i tutaj na nauki przychodziło z ciekawości kilka osób nie znających polskiego języka. Zadziwiło mnie, że między tymi znajdował się w najdalszym kącie kościoła żołnierz z brodą. Wiadomo, że Polacy zwykle w wojsku brody nie noszą, myślałem, że przybył na nauki żołnierz prawosławny. Jakież było moje zdziwienie, gdy mi powiedziano, iż to był żyd z Warszawy! I on na



Twierdza w Retymnie. Koszary żołnierzy rosyjskich.

O. Franciszek z Messyny, Kapucyn, w otoczeniu żołnierzy rosyjskich, Polaków, nad brzegiem morskiej zatoki; podług fotografii z r. 1906.

obczyźnie łaknął słowa Bożego, a chociażby tylko dźwięku polskiej mowy. Kiwał on głową na znak zadowolenia, gdym prawdy objaśniał objęte przykazaniami Bożemi. Gdy jednak temat nauk wymagał wykładu jeszcze innych prawd objawionych nam przez Pana naszego Jezusa Chrystusa: żyd znikł i więcej się nie pokazał w kościele.

W dniu 4 czerwca, a drugim Zielonych Świątek, gdy już wszyscy bez wyjątku żołnierze przystąpili do Komunii św. wielkanocnej, na pożegnanie miałem ostatnią, dwudziestą trzecią naukę w tym roku na Krecie. Jako temat wziąłem rady praktyczne, zmierzające do wytrwałości w wypełnianiu postanowień uczynionych na spowiedzi. Lecz cóż zrobić, gdy dla ułomności ludzkiej i niestałości woli nastąpi upadek, a tu niema kapłana, któryby ciężar grzechu przygniatający, jak kamień piersi, był wstanie usunąć z duszy? Cóż zrobić, gdy zabójczy febrzysty klimat Retymna, porażenie od słońca, lub kula nieprzyjacielska zagrozi niechybną śmiercią? Wszak już dwóch w tym roku zmarło tam Polaków, a z lat dawniejszych mogiły cmentarza zakrywają zwłoki kilkudziesięciu polskich żołnierzy, którzy nie w ojczyźnie, lecz na Krecie oczekują ciał zmartwychwstania. Potrzeba było koniecznie odpowiedzieć im na te pytania, mimowoli nasuwające się moim penitentom. To też podobnie jak w Kanei, także i tutaj wytłómaczyłem im naukę Kościoła św. o żalu serdecznym za grzechy, który w połączeniu ze szczerem postanowieniem spowiedzi przy najbliższej sposobności, chociażby ta sposobność już nigdy się nie zdarzyła dla naglącej

śmierci, jest wstanie usprawiedliwić człowieka przed Bogiem; albowiem ta miłość Boża, której żal łaski jest jakby kwiatem, spali wszelką plamę na duszy.

Poleciłem również żołnierzom, aby w razie niebezpieczeństwa śmierci, wzywali do chorych kolegów kapłana miejscowego, O. Kapucyna, który chociaż Włoch i nie może zrozumieć dokładnie tego, z czego będzie się spowiadał chory, jednak, chociażby na migi, tak, jak to czynią głuchoniemi, niech mają intencyę wyspowiadania się i żal wzbudzą za swe przewinienia, a rozgrzeszenie kapłańskie będzie ważne, i godnie przyjmą ostatnie Sakramenta; chociaż obowiązek wyznania grzechów niezrozumianych przez kapłana obcokrajowca, pozostaje na przyszłość, gdy się spowiadać będą przed znającym ich język.

Instrukcyę powyższą napisałem im po polsku, aby wiedzieli nawet ci, co później może przybędą na Kretę, jak mają sobie radzić w nieobecności kapłana polskiego. Wielce wdzięczni mi byli rodacy za te słowa pociechy, a nie mniej O. Franciszek, który nieraz płakał nad łożem chorego, bo nie był wstanie ukoić jego trwogi o zbawienie duszy, skoro nie mógł mu wytłómaczyć, że rozgrzeszenie ważnie mu daje.

Wśród naszych nabożeństw misyjnych, naturalnie pamiętaliśmy o zmarłych kolegach - żołnierzach, czy tu na Krecie, czy na polach walki w Mandżuryi. Dowiedziałem się bowiem, że również ci żołnierze, których miałem przed sobą na misyi retymskiej w roku 1903, w parę miesięcy po spowiedzi poszli w morderczy ogień

bojowy i prawdopodobnie wszyscy zginęli. Tych ostatnich mogiły może już nigdy oko polskie nie dojrzy. Przynajmniej na cmentarz retymski w towarzystwie moich umundurowanych rodaków postanowiłem się udać. Wybraliśmy się tam w ostatnim dniu misyi po popołudniowem nabożeństwie. Żołnierze uradowani otoczyli mnie kołem i prowadzili przez ciasne uliczki Retymna, pełne greckiej i tureckiej gawiedzi. Nikt z niej nie mógł się domyślać, dokąd i w jakim celu idziemy. Lecz pamiętni mieszkańcy na ostatnie rozruchy, dla których uspokojenia nawet metropolita kreteński (wschodniego wyznania) dostał się pod straż żołnierzy rosyjskich: łatwo wpadli na domysł, że i ja zostałem aresztowany i z wyrazem współczucia na mnie spoglądali, jak na wrzekomą ofiarę tutejszej załogi wojskowej.

Cmentarze retymskie opodal za miastem położone, osobne są dla muzułmanów, osobne dla Greków i prawosławnych, osobne dla żydów. Katolicki cmentarz został założony dopiero, gdy katoliccy żołnierze rosyjscy, prawie wyłącznie Polacy, przybyli do Retymna. Przedtem nie było tu nawet kościoła, tylko maleńka kapliczka, zupełnie wystarczająca dla garstki katolików, zaledwie z kilku osób złożonej. To też cmentarz tutejszy można polskim nazwać, gdyż z wyjątkiem jednego grobu, wszystkie inne kryją zwłoki Polaków. Groby te bardzo pięknie wyglądają: w formie sarkofagów są zrobione z cementowego wapna, wybielone, przed każdym krzyż drewniany z tabliczką o napisie rosyjskim: kto i kiedy umarł (zob. rycinę na str. 35). Niektóre z tych grobów odfotografowałem i poleciłem żołnierzom, aby



Nagrobki rosyjskich żołnierzy Polaków, na katolickim cmentarzu w Retymnie; podług fotografii z r. 1906.

fotografie posłali rodzinom zmarłych kolegów. Niech biedna matka, ojciec, żona lub rodzeństwo, opłakujący syna, męża lub brata, przynajmniej mają pociechę na widok pięknego chrześcijańskiego grobu i myśl swą ku Bogu wznoszą w kornej modlitwie za duszę zmarłego.

Ostatnie dwa dni pobytu na Krecie przeszły na wyczekiwaniu parowca odpowiedniego do kierunku mej dalszej podróży. Skorzystałem z tego czasu już to oddając się posłudze duchownej tutejszych stałych mieszkańców, już to przypadkowo przybyłych dla spraw rodzinnych lub majątkowych, a także składałem pożegnalne wizyty i rewizyty rozmaitym władzom i życzliwym ludziom, którzy w jakikolwiek sposób misyę mi ułatwiali tak w tym roku, jak lat dawniejszych. Między innymi byłem u nadporucznikostwa pp. Włodzimierzów Szklenników, Litwinów, którzy mnie na obiad zaprosili do siebie. Miło mi było ostatnie chwile pobytu na Krecie spędzić w kółku rodzinnem i szczerze katolickiem. Pani domu wybierając się z ojczyzny, wzięła z sobą wodę święconą do chrztu dziecięcia, które dał jej Pan Bóg na Krecie. Dla tego dziecka, imieniem Sabinka, spisałem dokładną metrykę, którą następnie miejscowy kapłan potwierdził i wciągnął do księgi parafialnej. Podpisałem tam również urzędowy dokument, że wszyscy katolicy wojskowi (których imiona na arkuszu wyszczególniono), przystąpili do św. Sakramentów. Rosyjskie władze wojskowe pilnują tej formalności, naturalnie tylko tam, gdzie kapłan katolicki przybędzie dla posług duchownych.

W tym domu zabawna zaszła scena. Pani domu ma służącą Kretenkę. Na wieść o zamierzonem mojem przybyciu na obiad, bardzo się ona cieszyła, że zobaczy polskiego katolickiego kapłana. Gdy mnie ujrzała — uciekła do kuchni i serdecznie zaczęła się śmiać. Pani domu pyta: »Czemu się śmiejesz?« — Ta odpowiada: »Jak nie mam się śmiać, taż to ksiądz bez brody!« — Księdza bez brody nigdy nie widziała, bo tu wszyscy noszą zarost na twarzy, a jego brak, jest prawie hańbą. To też wszyscy kapłani katoliccy na Wschodzie czy to zakonnicy, czy świeccy duchowni, noszą brody, aby nie obudzać śmieszności wśród tamtejszych mieszkańców, zwłaszcza innowierców. Wiedziałem dobrze o tym wschodnim zwyczaju, lecz tegoroczna podróż misyjna niespodziewana i nagła, nie dozwoliła na wczesne zastosowanie się do niego.

Jakby na przypomnienie, że znajduję się na wyspie pozostającej jeszcze pod zwierzchnictwem — acz nominalnem tylko — sułtana tureckiego: gdy wracałem z tego domu polskiego do rezydencyi OO. Kapucynów, miejsca mego zamieszkania, zobaczyłem jak Turek Turka pokaleczył ciężko nożem. Prawie w temże samem miejscu ubiegłej nocy także muzułmanin zamordował drugiego Turka w obronie czci swej siostry. Wszystko to się działo prawie pod oknami mego mieszkania.

Po południu 6 czerwca odprowadzony do portu przez OO. Kapucynów i kilku żołnierzy Polaków, wsiadłem do łodzi, która mnie uniosła po kołyszących się falach do pięknego parowca lloydowskiego »Salzburg.«

Wskutek burzy panującej na morzu, ledwie można było dostać się na pokład, lecz tylko przez gimnastyczne ewolucye i przy pomocy majtków. Jakąż to podróż niebezpieczną odbywał w temże miejscu św. Paweł, gdy ustanawiał św. Tytusa pierwszym Krety biskupem! Wówczas tylko łodzie żaglowe były w użyciu, mało co większe od tej, którą do parowca płynąłem, a on się takiemi puszczał na otwarte morze! Jeszcze dzisiaj, zwłaszcza w jesieni i wczesnej wiośnie, strachem przejmuje ono w tych stronach komendantów nawet wielkich parowców.

Chociaż na Pireus miałem płynąć do Konstantynopola: »Salzburg« zanim opuścił Kretę, udał się na pożegnanie do dawnej jej stolicy Kandyi — sławnej z 24-letniej obrony przed kapitulacyą wobec przewagi tureckiej w XVII wieku, o czem na innem miejscu wspomniałem. [1])

Wyładowanie towarów i ładowanie nowych, dały mi sposobność ponownego zwiedzenia tego miasta. Gdym je po raz pierwszy widział w r. 1899, gruzy i zgliszcza zbombardowanej i zniszczonej ogniem głównej portowej dzielnicy, przerażający przedstawiały widok. Dziś taż sama główna ulica prawie nie do poznania zmieniona: po obydwu jej stronach już stanęły, lub stawiają się nowożytne, wielkich rozmiarów budowle. Staje wspaniałe muzeum dla pomieszczenia skarbów archeologicznych, odkrytych w Knossos, Festos, Gortynie, Sitia i innych miejscowościach, wznosi się

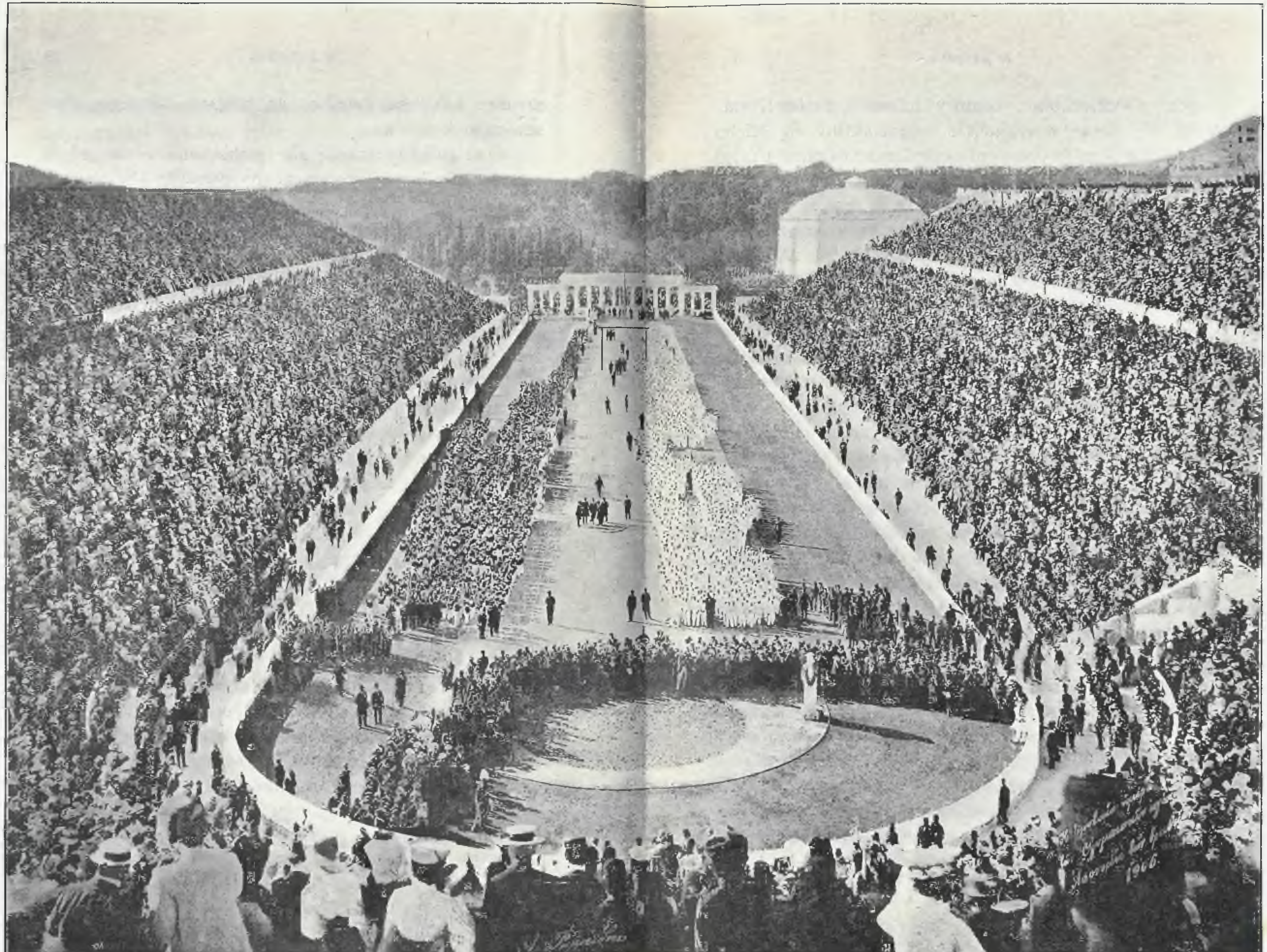
[1]) Zob. *Z Grecyi i Krety* str. 289—295. Wydanie z r. 1902 w Krakowie.

również katolicka katedra, na miejsce dawnego ubożuchnego kościółka.

Już gwiazdy okazały się na sklepieniu nieba, gdym przy świetle latarni powracał do parowca »Salzburg.« Jeszcze długo staliśmy na kotwicy, bo ładunek był obfity, można więc było do woli karmić wzrok piękną panoramą starej ongiś weneckiej twierdzy, olśnionej blaskiem świateł tysiąca. »Serenissima« — tak zwano na Lewancie rzeczpospolitą wenecką — zawsze umiała swym budowlom nadać charakterystyczną cechę, łączącą piękność konstrukcyi z siłą budowania, najczęściej z ciosów kamiennych. A jednak w tych budowlach niema monotonii, gdyż stawiano je w odpowiedniem malowniczem położeniu, i umiano wyzyskać naturalną piękność terenu, czy to w samej Wenecyi, czy na stokach gór przy dalmatyńskich »canali«, na wyżynach Korfu, w porcie Welony, Naupli lub wyspy Rodos.

III. W Atenach.

Wśród ciemnej nocy i wzburzonego morza opuściliśmy Kandię w kierunku Pireusu. Zdążałem tam dla posługi duchownej katolików, znajdujących się na pancernikach rosyjskich opodal tego wielkiego portu greckiego. Nad ranem znajdowaliśmy się około wyspy Milos, lecz bez zatrzymania płynęliśmy dalej przy silnym, zimnym wietrze, pomimo, że był to już dzień 7 czerwca, więc czas upałów w Grecyi. Po południu tegoż dnia zarysowały się na widnokręgu Akropolis



Stadion w ostatnim dniu międzynarodowych igrzysk w Atenach w r. 1906. (Zob. str. 48).

i szczyty Pentelikonu; kontury miasta i budowli stawały się coraz wyraźniejsze — rozjaśniło się niebo i w blasku złotych promieni zachodzącego słońca ukazał się przed nami port Pireusu.

Jak zwykle w porcie, zbiegła się zgraja wyzyskiwaczy, ofiarujących swe drogo opłacane usługi. Biada niedoświadczonemu, gdy wpadnie w ich ręce. Wiedząc, że parowiec zaraz nie opuści Pireusu, z najzimniejszą krwią zaczekałem, aż się oddalą natręci, a wezwawszy upatrzonego gondolistę, powierzyłem mu załatwienie wszystkich spraw wylądowania, rewizyi celnej i najęcie fiakra do Aten. Jechałem nową, bardzo misternie i malowniczo urządzoną drogą, która się wije od portu ponad drogą żelazną, w zgrabnych zakrętach, aż się wysunie na nową dzielnicę, pełną will artystycznie zbudowanych przy samym brzegu morza Egiejskiego. Ulubione tu miejsce Ateńczyków, głównie dla morskich kąpieli. Komunikacya bardzo łatwa, gdyż co godzina, lub częściej, tramwaj elektryczny łączy Pireus z Atenami, i właśnie w tem ulubionem ustroniu staje.

Zmęczony morską drogą, wolałem udać się do Aten powozem, po bardzo wygodnej nowej drodze, wysadzonej drzewami po obydwu jej stronach. Lecz drzewa świeżo umieszczone w ziemi z okazyi międzynarodowych tegorocznych igrzysk, jeszcze cienia nie dają.

Nazajutrz po przybyciu do greckiej stolicy, pierwsze kroki skierowałem do katolickiej katedry św. Dyonizego. Zanim jej drzwi kościelny otworzył, miałem czas na odmówienie brewiarza; widocznie niema tu w zwyczaju, tak jak u nas, o wczesnej godzinie od-

prawiać nabożeństw. Po Mszy św. udałem się z wizytą do X. Arcybiskupa J. Delenda, który jest równocześnie delegatem apostolskim na królestwo greckie.

Został on przeniesiony do Aten z arcybiskupiej stolicy na wyspie Korfu zaledwie przed paru laty, po śmierci ś. p. arcybiskupa De Angelis, którego pamięć wdzięcznie jest zapisaną w sercach tutejszych katolików.

Znałem już X. Arcybiskupa Delenda, więc zaraz zostałem przyjęty i mogłem powiedzieć mu o celu przybycia. X. Arcybiskup równocześnie ze mną dnia poprzedniego, lecz inną drogą, przybył z Rzymu do Aten, więc nie mógł mi udzielić żadnych informacyj dotyczących Polaków na pancernikach rosyjskich, dał mi tylko wszelką władzę bez żadnych zastrzeżeń do słuchania spowiedzi i polecił zasięgnąć pewnych wiadomości u proboszcza w Pireusie. Udałem się tam, lecz już było za późno. Jeden pancernik przed kilku dniami wypłynął na Czarne morze, drugi tegoż dnia rano podniósł kotwicę i skierował swój bieg do Kandyi, skąd właśnie wracałem. Iść za nim w pogoń było niepodobieństwem, gdyż nawet pomijając koszta podróży, nie miałem na zawołanie parowca do tego miasta, a chociażbym miał, łatwo mógłbym znowu rozminąć się z tym pancernikiem, krążącym obecnie po wodach lewantyńskich bez dłuższego zatrzymania się w żadnej miejscowości. Dałem więc za wygranę nieprzyjaznym zbiegom okoliczności, i zostawiłem katolików - marynarzy opiece Opatrzności Bożej.

Nie był jednak zupełnie bezowocnym mój pobyt w Atenach, gdyż ułatwiłem X. Arcybiskupowi załatwie-

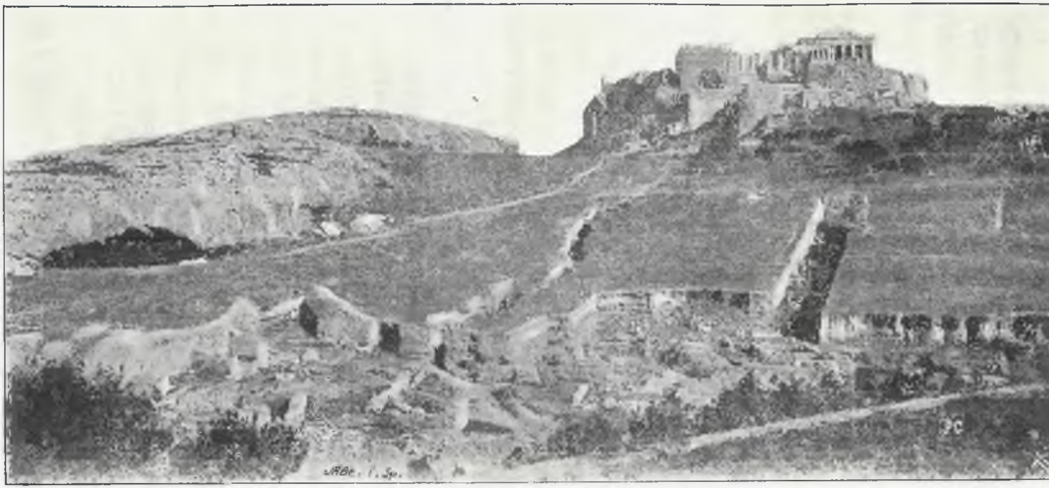


Stadion starożytny w Atenach po odnowieniu. (Zob. str. 48).

nie pewnej trudnej sprawy Polaka ze znanej i wybitnej rodziny, mieszkającego obecnie w Grecyi. Miałem jeszcze inny interes do załatwienia w Atenach, a mianowicie: wizę paszportu przez generalny konsulat turecki. Zwykle przed wyjazdem do Turcyi załatwiałem to we Wiedniu; tym razem wskutek pośpiechu w podjęciu misyi, wcale nie zatrzymywałem się we Wiedniu, tem mniej nie przeprowadziłem tej sprawy listownie, w nadziei, że to samo będę mógł zrobić na Krecie, jak mnie zresztą z poważnej strony informowano. Tymczasem gdym przybył na Kretę, dowiedziałem się, że aczkolwiek wszystkie mocarstwa są reprezentowane przez odpowiednich konsulów — jedna Turcya niema tam swego przedstawiciela, a więc nawet nie można wizować paszportu kto się z Krety udaje do Turcyi, lecz trzeba po to jechać do Grecyi. A bez wizy paszportowej przez tureckie władze, ani mowy dostania się do mocarstwa sułtana. My Polacy dość jesteśmy oswojeni z trudnościami paszportowemi, lecz takich, jakie są w Turcyi, zapewne nigdzie niema na świecie. Nie mając ochoty ścierać się z tureckiemi władzami, dość dobrze mi znanemi z robienia trudności tam, gdzie ich niema, jeśli złotem nie chce się torować drogi, udałem się o pomoc do austryackiej ambasady. Radca legacyjny baron Gudenus, najuprzejmiej zajął się mą sprawą. Jako Sodalis marianus z jezuickiego konwiktu w Feldkirchen, uważał sobie za miły obowiązek zrobić Jezuicie przysługę, a wywiązał się z tego prędko i bez kosztów, nadto osobiście zdał ze zlecenia sprawę rewizytując mnie w hotelu.

Mając przez dwa dni pobytu w Atenach nieco czasu do dyspozycyi, pospieszyłem przedewszystkiem na Areopag i Akropolis, aby uczcić sławne miejsca uświęcone stopami św. Apostoła narodów. W tych wędrówkach misyjnych, któż lepszym pośrednikiem w niebie, a wzorem przykładu apostolskiego życia na ziemi, jak św. Paweł? Toż z bijącem od radości sercem wspinałem się na głazy skały Areopagu, ucałowałem z uszanowaniem miejsce, gdzie św. Paweł nawracał św. Dyonizego, członka najwyższego w starożytności ateńskiej sędziowskiego trybunału, przyglądałem się stolicy olśnionej blaskiem zachodzącego słońca, wstąpiłem wreszcie po olbrzymich schodach na odnowione nieco ruiny Akropolisu, skąd widok jeden z najpiękniejszych na Helladę.

Będąc w Atenach, nie mogłem odmówić sobie przyjemności, aby nie zwiedzić muzeów starożytności i odnowionego stadionu. Ani się kusić nie będę na opis chociażby tylko 24 wielkich sal »archeologicznego narodowego muzeum« — (*Ἐθνικὸν ἀρχαιολογικὸν μουσεῖον*) — ba nawet jednej z nich, np. z przedmiotami z czasów epoki mykeńskiej, lub obejmujące wazy z niesłychanie delikatnemi a pełnemi życia i treści malowidłami o jednym lub dwóch tonach. O tem dzieło trzeba pisać, nie pobieżną wzmiankę. Gdym patrzał na te arcydzieła sztuki starożytnej greckiej, nasuwało mi się uporczywie pytanie: czemu u nas, gdzie tyle jest fabryk i fajansu i naczyń glinianych, nie zdobi się podobnie rysunkami rodzimej treści o artystycznem wykonaniu, chociażby miały służyć przedmioty te do codziennego użytku? Ileżby tego rodzaju rysunki na naszych codziennych



Areopag i Akropolis. (Zob. str. 46).

naczyniach glinianych wyrabiały smaku artystycznego wśród ognisk domowych, ileby mogły pouczyć, wyjaśnić, a chociażby tylko przypomnąć, co droga przeszłość nam przekazała. Kto tego rodzaju przedmioty chociażby tylko raz w życiu oglądał, zazdrości starożytnym Hellenom, lub Etruskom, ceramicznych wyrobów, i musi uczuć upokorzenie porównując to, co u nas się znajduje; chociaż w ostatnich latach ogromny postęp w tym kierunku daje się spostrzegać.

Ateński starożytny stadion międzynarodowymi popisami rozmaitych gimnastycznych ćwiczeń, przypomniał się dobrze całemu niemal światu w bieżącym (1906) roku. Wiadomo, że pierwszą myśl do tego rodzaju igrzysk podał jeszcze Likurg, sławny mąż stanu, około roku 330 przed Chr. W późniejszych czasach, około roku 140 po Chr., sławny mowca *Herodes Atticus* ozdobił stadion siedzeniami z pentelikońskiego, jak śnieg, białego marmuru, dla 60.000 ludzi. Z upadkiem Grecyi, również stadion poszedł w zapomnienie i tylko ruiny z niego zostały. Dopiero w ostatnich latach ubiegłego stulecia filantrop grecki, majętny Awerof, własnym milionowym nakładem odrestaurował go prześlicznie i swej ojczyźnie darował. Długość stadionu wynosi przeszło 200 metrów na 33 m. szerokości; dokoła wznoszą się amfiteatralne siedzenia, do których dostęp jest bardzo wygodny. Pod siedzeniami otaczającemi stadion, znajdują się tunele i rozmaite składy, niewidzialne od strony miejsca zabaw; tam nagromadzono najrozmaitsze przyrządy do gimnastyki, nawet niektóre ubrania, nakrycia głowy, wreszcie cały pawilon

z umywalniami i wannami do kąpieli najpraktyczniej i z wielkim nakładem wszystko urządzone. Same te składy zajmują kilkadziesiąt wielkich sal; można więc mieć wyobrażenie, na jak wielką skalę wszystko tu jest urządzone. Dla tych, którzy oddają się fizycznemu rozwojowi młodzieży, zawsze będzie z wielkim pożytkiem zwiedzić te składy przy sposobności oglądania stadionu. (Zob. ryc. na str. 40 i 44).

W tegorocznych międzynarodowych igrzyskach był zwycięzcą młody Kanadyjczyk, Scherring-Williams, bardzo dobry katolik, który prawie co tydzień przystępuje do św. Sakramentów. W. X. Delebecque, naoczny świadek tego zwycięstwa i znajomy Kanadyjczyka, opowiadał mi, że tenże brał udział w igrzyskach wprawdzie w ubraniu na to przeznaczonem, lecz na swe piersi przypiął herb Kanady: Najsł. Serce P. Jezusa. Cywilna odwaga młodzieńca, chlubiącego się ze swej wiary, ujęła nawet licznych innowierców znajdujących się na arenie międzynarodowych popisów.

Po południu dnia 9 czerwca wyjechałem końmi z Aten do Pireusu i bezzwłocznie udałem się na pokład parowca lloydowskiego »Baron Call«, który też niebawem podniósł kotwicę i pomknął w drogę do Konstantynopola, gdzie nowa czekała mnie misya.

NAD BOSFOREM

w roku 1906.

I.

Z Aten do Konstantynopola.

Po ukończeniu misyj dla żołnierzy rosyjskich, Polaków, na Krecie, przez Ateny wypadło mi jechać do Konstantynopola i Adampola, gdzie również oczekiwali mego przybycia Polacy. W dniu 9 czerwca, jak wyżej wspomniałem, wsiadłem do parowca i w towarzystwie bardzo kosmopolitycznem puściłem się w drogę przy pięknej pogodzie. Przy wyjeździe z Pireusu mieliśmy za sobą od strony zachodniej płaskie, żółto - piaszczyste wybrzeża Salaminy. Niebawem wyspa Egina stanęła przed nami, która również swą sławę zdobyła w czasie perskich na Grecyę napadów, idąc w pomoc z 30 okrętami floty bojowej, bo też wśród walki z nieprzyjacielem palmę pierwszeństwa w zapasach otrzymała.

Po godzinie żeglugi znajdowaliśmy się już obok przylądka *Sunion,* dziś *Kolonnàs* zwanego, najbardziej na południe wysuniętego punktu stałego lądu starożytnej Attyki. W tem miejscu przeciwne sobie prądy morskie i wiatry staczają walkę bezustanną, wprawiając nieraz nawet wprawnych sterników w niemały kłopot, jak wybrnąć z wirów i piętrzących się fal w różnych kierunkach. A że ludzkość od najdawniejszych czasów w chwilach groźnych szukała pomocy nadprzyrodzonej, widząc swą słabość w ukiełznaniu żywiołów natury, a »gdy trwoga to do Boga« — wołało już samo naturalne światło rozumu: przeto i Grecy nie znając Jednego Boga, do swoich bóstw uciekali się chętnie, i kult Posejdona, pana morza, kwitnął w tej okolicy. Wystawili mu na szczycie skały, prostopadle spadającej w morze, świątynię, której resztki okazałe dziś jeszcze istnieją obok starej twierdzy panującej nad wybrzeżem, a broniącej wstępu do serca Grecyi — Aten.

Słońce zaczęło zapadać ku zachodowi, a czem bliżej jego tarcza była ziemi horyzontu, tem promienie piękniej ubarwiały atomy powietrzne i ozłacały łańcuch wysp otaczający jak wieńcem morze. Wjechaliśmy przed wyspę Kea (Keos), ojczyznę starożytnych pieśniarzy Simonidesa i Bakchylidesa, a następnie w elipsę morską, zamkniętą od wschodu południową częścią Euboy, wyspami Andros, Tinos, Mykenos, Delos, Syra — a dalej Paros i Naxos, od zachodu Kythnos, Serifos, Sifnos; Miłosu już widać nie było, zasłaniały ją dwie poprzednie wyspy. Każda z nich mniej lub więcej sławna z przeszłości — sławna ludźmi, nauką i sztuką, na

których czasy późniejsze — wszystkie bez wyjątku narody cywilizowane kształciły się i oburącz czerpały, jak ze skarbnicy, wiedzę. Dziś tylko pamięć na przeszłość ma je w poszanowaniu i jako grat dalekiej epoki badawcze oko archeologa ocenia; dla utylitarnej generacyi społeczeństwa, chyba łomy bogatych marmurów mogą przedstawiać jakąś wartość i interes, bo daremnie szukałoby się tu potomków sławy starożytnej Hellady. Czystość powietrza sprawia, że podróżny z krain północnych, a chociażby tylko rodem ze środkowej Europy, dziwnego doznaje złudzenia w wymiarze odległości. Pamiętam, gdym w latach młodości odbywał wycieczki po Włoszech, miejcowości z pozoru blizko położone, jednak były odległe o dwie i więcej godzin drogi. Na morzu złudzenie to jeszcze jaskrawiej występuje. To też te wyspy i wysepki tworzące grupę Cyklad, chociaż wydały się, jak na dłoni, blizko jedna drugiej położone, przecież na przebycie przestrzeni dzielącej je od siebie, potrzeba parę, nawet kilka godzin.

Długośmy stali na pokładzie, śledząc wzrokiem te wyspy ginące coraz bardziej w mroku zapadającej nocy, słabe tylko światełka domów i silniejsze latarń morskich, dłużej pozostawiały ślad jakiegoś życia na morzu. Wreszcie i te znikły z horyzontu, znajdowaliśmy się na otwartem morzu wśród ciemności nocy, tylko słabo oświetlonej srebrną tarczą pełni księżycowej. Wieczorem każdy w kornej modlitwie zwraca umysł i serce do Boga. Ta modlitwa więcej lub mniej gorąca, więcej lub mniej skupiona, zależy od osobistego usposobienia i zajęć — i otoczenia; nieraz trzeba gwałt

fantazyi zadać, aby ją przykuć do obecności Boga, z którym dusza rozmawia: pokłon Mu oddaje, błaga o przebaczenie, dziękuje lub prosi. Lecz tutaj na morzu, gdy otoczenie obce, gdy gwar świata nie ma przystępu, gdy nic się nie widzi, tylko otchłań morską pod stopami, a nad nami gwiaździsty strop niebios się rozpościera: dusza formalnie rwie się ku niebu, i prawie, że nie jest w stanie o czem innem marzyć, jak o życiu, jakie nas czeka w przyszłości. A wśród tej ciszy niczem nie zamąconej, gdy się wpatruje w świetlane postacie: towarzystwo życia przyszłego — jakżeż się korzyć musi przed Bogiem — jakżeż łatwo przychodzi i wielbić Pana nieba i ziemi — i błagać o przebaczenie — i dziękować za tyle i tyle łask otrzymanych — i prosić, aby nadzieja szczęśliwej przyszłości nie znikła jak fata morgana!

Nocny spoczynek trwał krótko, mało co więcej nad dwie godziny. O wpół do drugiej przed świtem, wyszedłem z dusznej kajuty na pokład, a siadłszy drzemałem i modliłem się naprzemian, oczekując brzasku dnia, na który długo nie potrzebowałem czekać. Płynęliśmy w północno-wschodnim kierunku ku granicom Europy i Azyi, przedzielonym przez Dardanelle, to też z prawej strony parowca doskonale mogłem podziwiać wschód słońca, wiele set razy oglądany, a jednak zawsze budzący zachwyt. Wszak od Wschodu Światło przyszło co rozświeca ciemności ziemi w fizycznem, moralnem i dogmatycznem znaczeniu. Nic więc dziwnego, że dusza chrześcijańska coś więcej odczuwa przy wschodzącem słońcu zwłaszcza na Wschodzie, bliżej miejsca,

gdzie to Słońce zeszło. Zarumieniło się niebo krwawą łuną jak z pożogi ginącej ciemności. Rumieni się horyzont, rozjaśnia coraz bardziej widnokrąg — widać, że słońce odnosi nad nocą zwycięstwo. Ta czarny swój płaszcz unosi na zachód, a czem światło jaśniejszem się od wschodu staje, tem szybciej ucieka symboliczna ciemność pobita przez słońce. I znów wyrywa się z ust prześliczny hymn z brewiarza:

»Jam lucis orto sidere
Deum precemur supplices
Ut in diurnis actibus
Nos servet a nocentibus.
Linguam refraenans temperet....
Visum fovendo contegat....
Sint pura cordis intima....
Cordis terat superbiam....
Ipsi canamus gloriam....«

Najstosowniej byłoby rozpocząć dzień, zwłaszcza niedzielny i uroczystość Świętej Trójcy odprawieniem Mszy św. Miałem ze sobą wszystkie przybory potrzebne — ołtarzyk podróżny; lecz niestety, nie było gdzie Najświętszą Ofiarę odprawić. Mówiłem o tem z kapitanem okrętu. Ten z żalem mówi: »Ojcze! My należymy do towarzystwa akcyjnego; akcye przeważnie w rękach żydowskich i nie katolików; gdybym wobec tak licznie zebranych innowierców (a prawie sami tacy byli pasażerowie) chciał urządzić nabożeństwo, jakie urządzamy przy innym składzie pasażerów, to mogliby rościć sobie prawo również muzułmanie, żydzi i protestanci do wyznaczenia im miejsca na odbycie ich na-

bożeństw, a przynajmniej protestować przeciw nabożeństwu katolickiemu.«

Po części miał kapitan słuszność, trzeba było zrezygnować z odprawienia Mszy św. nawet w dniu tak bardzo uroczystym.

Nie napotykając żadnej wyspy, płynęliśmy spokojnie aż do południa. Dopiero przy śniadaniu (o godzinie 1) robi się ruch w sali jadalnej, bo zbliżamy się do ziemi od kilku godzin wcale nie widzianej. Była to wyspa Tenedos, przez Turków nazwana Bogdżia-Adassi, znajdująca się już w obrębie panowania sułtana. Wyszliśmy na pokład. Wyspa o ziemi bardzo czerwonej, z podkładem trachitowym, sławną jest z uprawy doskonałego wina. Chociaż zajmuje przestrzeń zaledwie 42 kilometrów kwadratowych, ważną jest wskutek swej blizkości od Dardanellów i tworzy do nich jakby klucz, lecz klucz wzmocniony silnym fortem — cytadelą zbrojną w armaty. Sławniejszą rolę Tenedos odegrała w zamierzchłych czasach, gdy należała do państwa Troji i za wojen perskich, gdy Xerxes użył jej przystani dla swoich wojennych okrętów. W późniejszych czasach dzieliła losy to Grecyi, to bizantyńskiego cesarstwa, aż w r. 1322 wpadła w ręce Osmanów. W XIX stuleciu (1807) ponieśli Turcy pod Tenedos klęskę z rąk Rosyan. Zresztą dziś o tyle ma znaczenie, o ile pozycya geograficzna jej daje u wstępu do Dardanellów.

Więcej interesującemi były dla mnie wybrzeża ze strony Azyi, a mianowicie ślady dawnego państwa Troas, rozpościerającego się na klinie lądu stałego, przyległego z północy do Hellespontu i morza Mar-

mora, od południa i zachodu oblanego morzem Egejskiem. Stolica tego państewka: Troja (Ilion), nie na samem wybrzeżu, lecz nieco w głębi lądu leżała, a sięga epoki odległej, co najmniej 1184 lat przed naszą erą, a mianowicie kiedy wybuchła wojna, opisana nam pięknie w Iliadzie przez Homera. Czy sama fabuła służąca za tło homerowskich opowiadań prawdziwą jest lub fikcyjną, czy rzeczywiście znieważenie ogniska



Grób Protesilaosa pod Troją; podług fotografii z r. 1906.

rodzinnego króla Lacedemonu, Menelaosa, przez Parysa, syna Priama, króla Troji, było powodem do wojny lub nie: tego na pewno do końca świata się nie dowiemy. W każdym razie, jeśli najznakomitsi książęta greccy brali w niej udział: jak Agamemnon, Menelaos, Odysseus, Nestor, Ajas i wielu innych, to w walce polegli, musieli znaleźć odpowiednie swej godności i sławie bojowej miejsce spoczynku. Badacze starożytności wskazują dwa na wybrzeżach Troasu, w formie kurhanów, kopce, dobrze zarysowujące się na pła-

skich wybrzeżach. Jeden z nich z parowca odfotografowałem, a ma być grobem Protesilaosa, bohatera z czasów wojny trojańskiej, który pierwszy z Greków wyskoczył z okrętu na wybrzeża nieprzyjacielskie, chociaż wiedział, iż śmierć go spotka z ręki Hektora. Czemu jednak ma być ten grobowiec Protesilaosa a nie Achillesa, Ajasa lub Hektora, których kurhany opodal w południowej stronie pokazują — na to odpowiedzi żadnej nie znalazłem.

W każdym razie ludziom wykształconym na starożytnych klasykach, nie może być obojętną okolica, którą nasz parowiec okrąża. Toż wyszliśmy wszyscy na pokład, aby już to lunetą, już to gołem okiem śledzić położenie miejsca wojennych zapasów, podanych w Iliadzie.

Po wielu bezskutecznych usiłowaniach w dawniejszych wiekach, ślad położenia Troji odkrył w XVIII w. Francuz, Le Chevalier. Schliemann idąc za jego wskazówkami, w całości odkopał ją między r. 1871 a 1882 i dalej w r. 1890 prowadził swe pomnikowo-archeologiczne dzieło. Od wschodniej strony, t. j. od morza Egejskiego, nie mogliśmy dojrzeć tych ruin, bo zasłaniała ławica piasku, tworząca wzgórza. Gdyśmy jednak wpłynęli w Dardanelską cieśninę, przez lunetę można było dostrzedz ślady ruin prastarego grodu, jak mnie towarzysze drogi zapewniali. Co do mnie, tej pewności mieć nie mogłem, bo zbyt wielką była odległość, a o zatrzymaniu się i zwiedzeniu z blizka, tym razem mowy być nie mogło.

U samego wejścia do Hellespontu po obydwu stronach: Azyi i Europy, zbudowali Turcy twierdze Seddil-Bahr i Kum-Kale. Widać je doskonale, bo przestrzeń dzieląca w tem miejscu dwie części świata, zaledwie pół mili wynosi. W dalszym ciągu raz się rozszerza, to znowu zwęża, tak, że największa szerokość Dardanellów przy wjeździe do morza Marmora



Dardanelle — widok po stronie azyatyckiej; podł. fotogr. w r. 1906.

8 kilometrów wynosi, najmniejsza zaledwie 1900 metrów. Przed tym wązkim przejściem zatrzymał się nasz parowiec; z portu miasta *Kale Sultanie,* także *Czanak Kalessi* zwanem, wypłynęły łodzie tureckie, pełne żołnierza i urzędników. Jak każdy inny parowiec, także i nasz uległ rewizyi, badano: czy niema w nim broni, amunicyi i t. p. rzeczy. Już w r. 1841 pięć europejskich mocarstw zawarło układ z Turcyą, że żaden okręt wojenny nie może przepłynąć Dardanellów bez zezwolenia Wysokiej Porty. W r. 1854

układ ten w zasadzie potwierdzono w Paryżu, a następnie w Berlinie r. 1878 po wojnie turecko-rosyjskiej.

Zresztą Turcy zabezpieczyli się dobrze przed możliwem przełamaniem traktatów. Pobudowali forty na wybrzeżach tak ze strony Azyi, jak Europy, a szereg armat wielkiego kalibru, o rozmaitych paszczach, dniem i nocą zwrócony jest ku Dardanellom. A jeśli dodamy jeszcze torpedy i miny gotowe do wybuchu, to przejście przez ten wązki pas morza bez katastrofy jest niemożliwe. Trzebaby więc wpierw od strony lądu zająć forty, ktoby chciał z flotą dostać się pod Konstantynopol. Wrażeń, jakich doznałem płynąc przez Dardanelle, a następnie przez morze Marmora, powtarzać nie będę, bo już na innem miejscu je opisałem. [1])

Przy pasażerskich parowcach Lloyda płynących z Pireusu jest zwyczaj, że wjazd do Konstantynopola układają na ranną godzinę. Nie odstąpiono od niego w naszej podróży. Większość pasażerów po raz pierwszy miała sposobność przy wschodzie słońca oglądać turecką stolicę, to też ledwie świtać zaczęło, wszystko z kajut powychodziło na pokład. Lecz jakby na przekór silna mgła owiała cały horyzont — i wejście z morza Marmora do Bosforu — Chalcedon stary (Kady-Key) i Skutari, a przedewszystkiem Stambuł — dawne Bizancyum. Wiedziałem, że gdy słońce się wzniesie, jego promienie rozbiją mgłę i cudna panorama ukaże się przed nami. Zachęcałem więc towarzyszy do cierpliwości, do nietracenia nadziei zobaczenia pięknego

[1]) Cf. *Wspomnienia z misyj między Polakami nad Bosforem, w Bośni i na Krecie.* Kraków 1901, str. 2—6.

widoku, czem humory poprawiły się i wszyscy z utkwionym wzrokiem w Stambuł oczekiwali spełnienia się mej przepowiedni. Długo na nią nie czekano. Ledwieśmy się zbliżyli na taką odległość do stolicy, że można było okiem dokładnie rozpoznać drobniejsze budowle: słońce rzuciło silny snop promieni, które w oka mgnieniu zaczęły rozpraszać opony mgły, unosić je w górę, a setki minaretów wystrzeliły w niebo z siedmiu pagórków, na których rzędem najsławniejsze i najpiękniejsze znajdują się meczety. Okrzyk podziwu i radości wyrwał się jednem echem z piersi całej podróżnej załogi. Lecz podziw nie ustał. Wjeżdżamy właśnie w Bosfor, cudownie ujęty w ramy zieleni parków i ogrodów, zamków i pałaców, z których największy stary seraj sułtański dominujący nad innymi, jakby w ogniu się żarzy, bo wszystkie szyby odzwierciedlają blask słońca promieni, co dziwnego majestatu i grozy dodaje panoramie. Ogrody sułtańskie w terasach zbudowane, zniżają się od pagórka, na którym seraj zbudowano, aż do samych brzegów Bosforu. Tam pełno fontan, kiosków, kląbów i palm samotnych lub ciemnych cyprysów, silnie odbijających na białym tle marmurów sułtańskiego pałacu. Tego rodzaju widoki to formalny koncert: ten tonami, tamten grą barw dziwnie duszę porywa.

Wylądowanie, wiza paszportu, przeprawa z urzędem celnym, nadspodziewanie gładko się odbyły, dzięki »metalikom«, »piastrom« i »czerekom« [1]), któremi wiedziałem już jak mam w palcach obracać i stosownie

[1]) Monety tureckie.

do godności i przysługi w otwartą przygodnych przyjaciół dłoń składać.

Wjazd na Perę, gdzie miałem się zatrzymać, dostępny przez dzielnicę Galata, sławną ze składów najbogatszych kupców, sławną z zepsucia najohydniejszego, sławną z rzezi Ormian przed dziesięciu laty, kiedy w ciągu trzech dni 6.000 ich wymordowano bez różnicy wieku i płci, aby przeszkodzić rozruchom. Właśnie jechałem tą ulicą u podnóża wspaniałej wieży Galata, gdzie ta »pacyfikacyjna akcya« turecka się odbywała. Kiedyś zwano ją »wieżą Chrystusa«, a zbudował ją około r. 514 Anastasias Dikoros. Kroniki z początków VIII wieku już wspominają o »Castel Galata«, lecz wieżę taką, jaką dziś jest, powiększyli do 50 metrów Genueńczycy około r. 1348. Widok z niej na całą okolicę najwspanialszy, bo ma się przed sobą cały Bosfor i Złoty Róg, i nad nim położonych siedm pagórków dawnego Bizancyum, dzisiejszego Stambułu, a na nich najokazalsze minarety, któreśmy już dziś podziwiali, lecz z drugiej strony od wjazdu do Bosforu.

Na ulicach zawsze ten sam ruch gorączkowy, te same przesuwają się postacie najrozmaitszych typów, strojów, wyznań: Turcy konstantynopolitańscy o pewnych siebie poważnych obliczach, derwisze i żebraki, pełniący zwykle funkcye tajnej tureckiej policyi, Persowie i Beduini, Czerkiesi i Kurdowie, Ormianie i Żydzi, Cyganie i czarni, jak heban, murzyni, a już nie mówię o legionach »Europejczyków« różnej narodowości i Lewantyńcach — dawnych ich potomkach. A jeżeli dodamy złociste mundury, zasypane orderami, małych



Wieża Galata w dzielnicy tejże nazwy Konstantynopola.

i wielkich dygnitarzy tureckich, wędrownych handlarzy najrozmaitszych przedmiotów, silnym głosem wychwalających swój towar, niezmierzona moc kalek: ślepych, chromych, trędowatych, orszaki dam tureckich z różnokolorowymi woalkami, a jeśli która z zamożnego rodu, chociaż słońce nie świeci, tylko lampy się palą, jednak jako oznakę swej godności ma rozpostartą nad głową czarną parasolkę — i tyle innych typów różnych od naszych: oto mamy, choć niedokładny, obraz tego, co ulica przedstawia...

Zajechałem, jak lat dawniejszych, do OO. Jezuitów przy ulicy Agha-Hammam. Między innymi nowymi zastałem tych samych przezacnych Ojców André, Delebecque i O. Michała, Bułgara, którzy mi wiele dowodów prawdziwej miłości braterskiej okazywali, ile razy do Konstantynopola przybywałem. Pierwszą czynnością moją było odprawienie Mszy św. w tamtejszej kaplicy. Małą jest wprawdzie i ukrytą w ogrodzie, lecz że czysto utrzymaną i na zawołanie spowiednicy się znajdują, a przytem często głosi się tu słowo Boże w języku francuskim, przeto bardzo jest uczęszczana, zwłaszcza przez świat ciała dyplomatycznego różnej narodowości. Przy tej kaplicy znajduje się w osobnym budynku cenna biblioteka w różnych językach, z której katolicy Konstantynopola czerpią pokarm duchowy. — Niewielka wkładka miesięczna upoważnia do korzystania ze wszystkich dzieł, a liczba ich zawsze się powiększa, bo wkładka, po odtrąceniu wydatków zarządu biblioteki, służy do zakupna dzieł nowych.

Po Mszy św. poszedłem do X. Arcybiskupa Jana hr. Tacci, który przed rokiem objął rządy łacińskiego patryarchatu Konstantynopola, a zarazem został delegatem Stolicy św. dla północnych prowincyj Turcyi, po śmierci nieodżałowanej pamięci X. Arcybiskupa Bonetti, o którym nieraz w mych sprawozdaniach z misyi carogrodzkiej wspominałem. X. Arcybiskup Tacci właśnie wychodził w pilnym interesie do austryackiego ambasadora, więc tylko kilka słów zamieniliśmy. Dał on rozległą juryzdykcyę na misyę i zaprosił na dłuższą rozmowę za powrotem z Adampola, dokąd nazajutrz rano miałem się udać.

Korzystając z kilku godzin czasu, złożyłem parę wizyt znajomym, a następnie w towarzystwie O. Delebecque udałem się parowczykiem do Kady-Key — starożytnego Chalcedonu. Brak czasu podczas dawniejszych podróży do Konstantynopola nie dozwalał mi dotychczas na zwiedzenie tego miasta, sławnego w dziejach Kościoła. Wszak tutaj w jesieni r. 451 odbywał się czwarty z rzędu powszechny Sobór, na którym potępiając hereziarchów Eutychesa i Dioskura, błędy monofizytów i nestoryan, ogłoszono prawdę objawioną nam co do dwu niezmięszanych ze sobą całkowitych natur, boskiej i ludzkiej w jednej, nierozdzielnej osobie Chrystusa Pana. Wprawdzie z dawnych kościołów i pomników prawie nic tu nie pozostało, i do niedawna Chalcedon (jak zresztą sama turecka nazwa Kady-Key oznacza), zeszła do rzędu wsi — jednak chociażby tylko zwiedzić samo miejsce, było dawnem mojem pragnieniem. Lecz nietylko, aby zadość uczynić pietyzmowi



Meczet »Aja Sofia« dawny kościół »Mądrości Bożej« w Konstantynopolu.

dla świetnej przeszłości, udałem się do Kady-Key. Głównym celem tej wycieczki było zapoznanie się z uczonym O. Petit'em, przełożonym OO. Assumpcyonistów w Chalcedonie. Dowiedziałem się, że bawił on na górze Athos przez miesiąc, przepisując stary rękopis żywotu św. Atanazego Athoskiego, wydany później przez Bollandystów. Ponieważ i ja miałem zamiar zwiedzić sławne athoskie monastery po ukończonej misyi w Konstantynopolu, przeto spodziewałem się zdobyć niektóre informacye odnośnie do tej podróży. Cel mój w zupełności osiągnąłem. Przekonałem się, że na górę Athos trudno się dostać, trzeba bardzo poważnych i dobrych poleceń, a nadto trzeba być przygotowanym na rozmaite niewygody, łączące się z pobytem wśród ludzi prowadzących surowe życie pustelnicze. Tego rodzaju wskazówki bardzo były dla mnie cenne, bo zdecydowały wczesne zaopatrzenie się w rekomendacye, których w ostatniej chwili przed wyjazdem zdobyć nie byłbym w stanie.

OO. Assumpcyoniści zawiadują w Kady-Key stosunkowo dość liczną parafią, bo liczącą przeszło 1000 dusz. Ponieważ parafianie są dwu obrządków katolickich, przeto mają dla każdego rytu osobne kapliczki, w których się wierni zbierają na nabożeństwa.

Kady-Key dzisiaj już nie jest wsią, lecz miastem pokaźnem o kilkudziesięciu tysiącach (30.000—40.000) mieszkańców i miłe, spokojne robi wrażenie na przybyszu. Kto jest zmuszony bawić w pobliżu ruchliwego i gwarliwego Konstantynopola, chętnie zakłada ognisko domowe w Chalcedonie, gdzie obok tańszego życia,

jakby wiejskiem oddycha powietrzem wśród licznych ogrodów pełnych zieleni i atmosfery bezustannie odświeżanej prądem powietrza idącym od morza Marmora ku Bosforowi. Z Chalcedonu wracałem tą samą drogą do Konstantynopola, co tego samego dnia doń przybyłem. Rano widziałem Carogród przy wschodzie słońca, po południu tę samą panoramę przy oświetleniu zachodzących promieni. Na dzisiaj dość miałem wrażeń i widoków, zresztą wracamy już o zmierzchu, trzeba się przygotować na jutrzejszą podróż do Adampola.

II.

Misya w Adampolu.

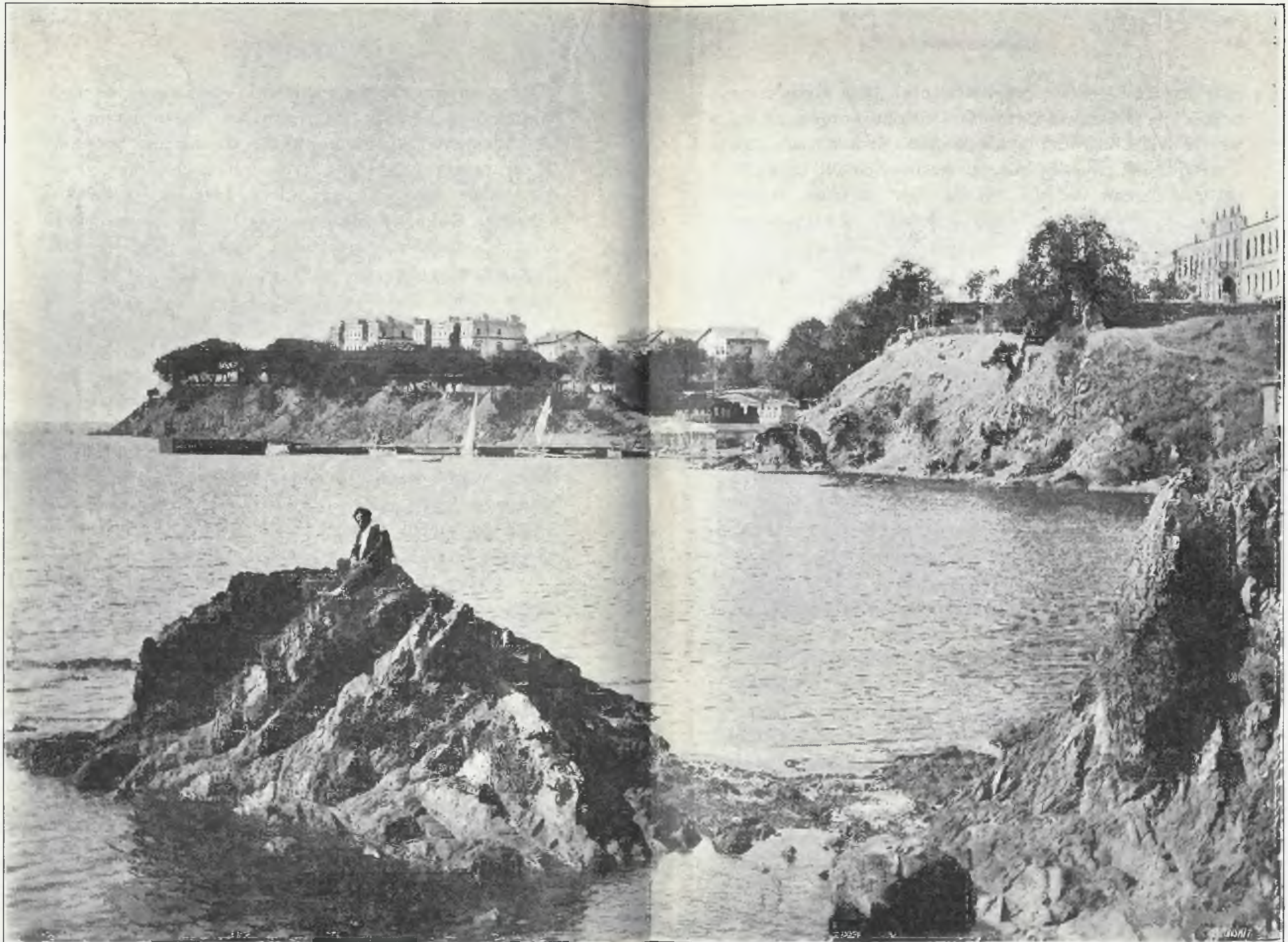
Nazajutrz po przyjeździe do Konstantynopola: dnia 12 czerwca (1906) wybrałem się w towarzystwie X. Józefa Wiśniewskiego, pełniącego obecnie funkcye kapelana arcybiskupiego, do Adampola.

Jak lat dawniejszych [1]) z olbrzymiego mostu Galata, rzuconego przez Złoty Róg prawie u jego wejścia do Bosforu, wsiedliśmy do jednego z tych parowców, które kursują bezustanie po Bosforze, łącząc Konstantynopol z miastami położonemi po europejskiej i azyatyckiej stronie. O godz. 9 rano pomknął parowiec ku azyatyckim wybrzeżom i w 1½ godziny stanął w Basza-

[1]) Cf. *Wspomnienia z misyj nad Bosforem* etc., l. c. str. 15 — 32 i 246 — 260, Kraków 1901, i *Wyprawa na Patmos, Efez i Kretę w r. 1899 i 1903*, str. 234 — 238. Kraków 1904.

Bagcza, miasteczku malowniczem, wznoszącem się amfiteatralnie nad zatoką tegoż nazwiska. Dawniejszymi laty do Adampola jeździłem zwykle na Bejkos, położony bliżej morza Czarnego; tym razem obraliśmy drogę wprawdzie nieco dłuższą, lecz bardziej malowniczą i lepszą. Kolonista Machnikowski wczas przyprowadził nam adampolskie wierzchowce, więc po tureckim obiedzie niezwłocznie puściliśmy się w drogę. W miejscu, gdzie widok prześliczny na zatokę przy miasteczku Basza-Bagcza z azyatyckiej, a Jeni-Key z europejskiej strony, spotkaliśmy gromadkę arnautów z wozami średniowiecznego typu, ciągnionemi przez bawoły. Tam zatrzymaliśmy się chwilkę, a jeden z najmłodszych arnautów moim aparatem fotograficznym uwiecznił nas ku wielkiej swej radości. Jechaliśmy okolicą bardzo dziką, pagórkowatą, zalesioną szpilkowym i liściastym drzewem, zrazu prawie wszystko karłowate, dalej bór. Upał był wielki; chłodził go nieco wietrzyk od Bosforu i morza Czarnego, ku któremuśmy się zbliżali.

Około godziny 3 z południa ukazały się pierwsze chaty około czyflika (folwarku) XX. Lazarystów francuskich, za którym rozpościera się czyflik polski — wieś Adampol. Od strony wjazdu nic się tu nie zmieniło od trzech lat, kiedy po raz ostatni tu bawiłem. Te same chaty polskiego typu z gospodarskiemi budynkami wśród ogrodu otoczonego płotem lub sztachetami, stoją szeregiem wzdłuż drogi głównej. Obok niej są boczne, jakby ulice z takiemiż samemi zabudowaniami. Gdzieniegdzie widać już pokaźniejsze murowane, piątrowe mieszkania kolonistów, przygotowane na przy-



Port miasta Kady-Key (dawny Chalcedon) od strony południowo-wschodniej. (Zob. str. 67).

jęcie letników, często przybywających tu z Konstantynopola na dłuższy pobyt. Turcy lubują sobie w tej wsi polskiej, bo widzą w niej większy ład, niż u siebie i ten dostatek wiejski, jakiego w tureckich lub greckich osadach daremnieby się szukało. Jest tu nawet rodzaj hotelu, utrzymywanego przez wdowę Raniszewską, adampolankę, gdzie można znaleźć całe utrzymanie za niewielką stosunkowo cenę. Wiedząc z doświadczenia, że w prywatnych mieszkaniach kolonistów więcej się jest skrępowanym w pracy apostolskiej, woleliśmy z X. Wiśniewskim stanąć w hotelu, aby przytem nikomu nie być ciężarem.

Wytchnąwszy nieco z podróży, poszedłem odwiedzić p. Biskupskiego, dawnego »starostę«, czyli wójta adampolskiego, u którego dawniej mieszkałem podczas misyi. Zastałem tam jego zięcia i zastępcę w urzędzie, p. Pawła Ziółkowskiego, Poznańczyka, pełniącego również funkcye nauczyciela dziatwy adampolskiej. Nauki odbywają się regularnie, to też wszystkie dzieci umieją już czytać po polsku, starsi naturalnie robią postępy także w innych elementarnych naukach. Katechizm i historya biblijna naturalnie uwzględniane są w szkole na pierwszem miejscu. Dla kolonii adampolskiej prawdziwem szczęściem można nazwać zdobycie ukwalifikowanego nauczyciela, pełnego poświęcenia, bo wynagrodzenie za naukę tak jest małe i tak niestałe, że inny pewnieby się nie zgodził na obecne warunki materyalne.

Wśród rozmowy poruszyliśmy kwestyę protektoratu nad adampolanami, kwestyę zawiłą, lecz nie mniej interesującą, która obecnie bardzo zajmuje umysły po-

ważniejszych gospodarzy, dbałych o los całej kolonii. Do niedawna sprawowała go Francya, jako nad ziemią należącą kiedyś do poddanego francuskiego, gdyż takim był książę Adam Czartoryski, gdy zakupił tysiąc hekta-



W drodze do Adampola — moi towarzysze: X. Wiśniewski i kolonista Machnikowski; podług fotografii z r. 1906. (Zob. str. 71).

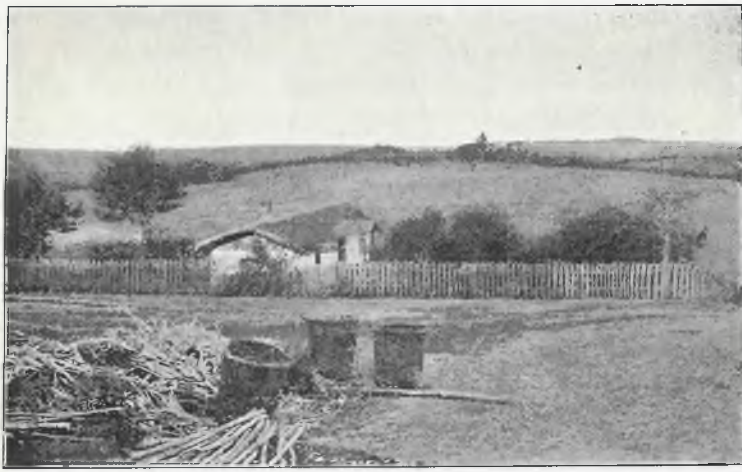
rów ziemi i osadził na niej legionistów polskich. Przed kilku laty konsul francuski wycofał się z opieki nad Polakami. Grozi więc im przejście pod berło muzułmańskie, a konsekwentnie — jak zobaczymy niżej — kompletna ruina. Polacy zwrócili się do Austryi, aby

objęła nad nimi opiekę, tembardziej, że spadkobierca Adampola, książę Adam Czartoryski, wnuk ks. Adama, założyciela tejże kolonii, jest poddanym austryackim. Memoryał jaki wręczyli Polacy ówczesnemu ambasadorowi austryackiemu w Konstantynopolu, bar. Calice, jest następującej osnowy:

Jeszcze około r. 1840 zakupił książę Adam Czartoryski od Lazarystów francuskich około 1000 hektarów lasu i pustkowia nad Bosforem w Małej Azyi. Gdy legie polskie w wojnie krymskiej zostały zwinięte, wielu żołnierzy Polaków osiedliło się na tych gruntach, otrzymało je w wieczyste używanie, a karczując i uprawiając zmieniło ugor w żyzną ziemię, pustkowie w kwitnącą osadę. Nie istniały jeszcze wówczas dziś obowiązujące ustawy tureckie o kolonizacyi, o przyjmowaniu narodowości ottomańskiej (z r. 1869) i t. d. Osadnicy polscy, gdy sułtan Medżyd żegnał się z nimi w Skutari, jako z ochotnikami jego wojsk, usłyszeli przeczytany i przetłómoczony firman sułtański, który postanawiał, że »*ci z żołnierzy, którzyby chcieli w Turcyi pozostać i osiedlić się na roli, zostają zwolnieni na zawsze oni i ich potomstwo od wszelkich podatków na rolnikach ciążących.*«

To była ze strony tureckiej jedyna zasada, na której oparło się osiedlenie żołnierzy polskich w Adampolu. Biurokracya turecka zaprzecza dziś, jakoby taki firman był istniał. Żyją jednak jeszcze koloniści żołnierze, którzy przysięgą stwierdzić są gotowi odczytanie firmanu i treść jego taką, jak wyżej podano. Zresztą faktem jest, że do niedawna, więc przez długi szereg lat,

władze tureckie szanowały ten firman, i wiedziały o jego istnieniu, skoro nie żądały od Polaków podatku i nigdy go nie otrzymywały. Znając zdzierstwo biurokracyi tureckiej, nikt nie przypuści, aby powód był inny, jak ten właśnie, o którym mowa. Tak więc koloniści polscy, ponieważ tę ziemię otrzymali nie od



Widok Adampola od wjazdu ze strony południowej.

rządu, lecz od księcia Adama, który właścicielem dalej pozostał, ponieważ nigdy nie prosili o poddaństwo tureckie i nie otrzymali go, a natomiast pozostawali pod protektoratem francuskim: nie byli poddanymi Porty, nie płacili podatków, nie podlegali sądownictwu tureckiemu, ani żadnym tureckim władzom.

Najważniejsze prace około karczowania i poprawy gruntu trwały lat kilkanaście. Nareszcie na milionie metrów kwadratowych powstało około 30 gospodarstw schludnych, wybornie zabudowanych, z młynem, kościółkiem, pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej, z sadami i ogrodami przy każdej sadybie; trzysta sztuk bydła wyganiano na pastwisko, panowała praca i dobrobyt. Adampol był oazą wśród pustyni, był unikatem w państwie tureckim. Władze zaczęły szukać sposobów, jakimiby się dało opodatkować kwitnącą wieś i uczynić z niej łup fiskalnego apetytu. Próby te powtarzały się kilku, czy nawet kilkunastu zawrotami. Jeszcze w r. 1870 zjechało kilku urzędników z Bejkosu, poblizkiego miasteczka, położonego nad Bosforem na brzegu azyatyckim, i zaproponowało, że rząd zbuduje drogę do miasta, której Adampol nie posiada, jeżeli osadnicy przyczynią się do kosztów choćby odrobiną zboża z każdego gospodarstwa. Adampolanie nie przeczuwając podstępu, a pragnąc drogi, złożyli czego żądano. Zaraz w następnym roku uznano to jako »dziesięcinę« i mimo, że firman sułtana Medżyda wyraźnie od niej Polaków uwalniał, pobierano z biegiem lat coraz większą. Dziś wynosi suma 80 lirów tureckich, czyli 1840 koron za 160 hektarów uprawnej ziemi. Ale i o zbudowaniu drogi mowy już nie było.

Wkrótce obok »dziesięciny« od zboża (dzisiaj już »ośminy«), pojawił się podatek od innych ziemiopłodów, od bydła, a nakoniec, jak gdyby na zupełne zniszczenie Adampola, zaczęto nastawać na podatki osobiste i od budynków. Od podatków tych adampolanie

są wolni, gdyż nie są poddanymi tureckimi. Ze względu zaś na warunki lokalne, te same podatki od mieszkań i osobiste, które płacą wieśniacy tureccy, musiałyby zrujnować adampolan. Rolnik turecki ma zwykle zamiast budynków jedną budkę z jedyną izbą i bez drzew



Adampol podług fotografii z r. 1906.

owocowych, gdyż inaczej płacąc sumy od budynku i po 5 piastrów (1 korona 10 hal.) za każde drzewo owocowe, prędkoby poszedł z torbami. Adampolanie mają budynki i sady, podatki tureckie byłyby dla nich ruiną. Władze tureckie uważają »obejścia« adampolan każde za osobny »czyflik«, czyli folwark! Podatek od

każdej zagrody adampolskiej o przestrzeni uprawnej dwu do trzech hektarów, wyniósłby tyle, co z dwóch do trzech tysięcy hektarów posiadłości Turka. Wszystkie podatki razem wyniosłyby około 15.000 koron rocznie od 150 do 160 hektarów uprawnej roli, czyli po 100 koron od hektara.

Dla scharakteryzowania różnicy między warunkami osad tureckich a Adampolem, wystarczy stwierdzić, że najbliższa wieś turecka Arnaut-Key liczy 3000 mieszkańców i płaci »ośminy« 40 do 50 lirów tureckich, Adampol liczący 200 dusz, płaci 80 lirów.

Przed podatkami osobistymi i innymi zasłaniała adampolan protekcya francuska. Mając w wieczyste używanie grunt, należący do poddanego francuskiego, księcia Adama, zostawali oni pod opieką konsula francuskiego, który wydawał dowody protekcyi. Niestety, Francya, która obecnie wyzbędzie się protektoratu nad katolikami na Wschodzie, zrzuciła się z opieki (przed kilku laty) nad Adampolem. Złożył się na to cały szereg wypadków.

Przedewszystkiem zdarzyło się, że między dwoma rodzinami polskiemi wybuchł spór o rolę. W konsulacie francuskim przyznano racyę jednej ze stron. Wówczas strona przegrywająca siłą spędziła urzędującego konsula. Konsul zamiast ukarać opornych, cofnął się, oświadczając właścicielom gruntu, że mogą stawiać napastnikom opór chociażby zbrojny. Pobici napastnicy udali się pod opiekę władz tureckich. Te natychmiast uchwyciły sposobność i wręczyły skarżącym się tak zwane »hamidje«, to jest książeczki przynależności do

Turcyi, wmówiwszy nieumiejącym po turecku, że są to dowody, na mocy których sąd turecki przyznaje im ziemię. Oczywiście sąd nie mógł zwalić prawomocnego wyroku konsularnego, ziemia pozostała przy prawych właścicielach, ale kilkunastu osadników miało »hamidje.«



Dziedziniec gospodarczy polskiego kolonisty Ryża w Adampolu.

Co prawda, władze tureckie same nie uznawały tego podstępu za akt prawny, którym być nie mógł i nie był, gdyż do uzyskania poddaństwa ottomańskiego trzeba wnieść prośbę, czego nikt z osadników nie uczynił. Władze nie zgłaszały się też po podatki osobiste do

właścicieli »hamidij«, ani do spadku po zmarłych bezdzietnie, jak każą ustawy tureckie. Tym sposobem same nie uznawały owego nieistniejącego poddaństwa za ważne i obowiązujące. Działo się to w r. 1881.

W dwa lata potem spróbowano nowego środka. Zjechała komisya, aby dopełnić spisu ludności, jak oświadczono adampolanom. Wytłómaczono im, że aczkolwiek są protegowanymi Francyi, nie mogą się od tego obowiązku uchylić i na »hamidjach« notowano nazwiska, stan, ilość dzieci i t. d., każąc płacić sobie po jednym piastrze za karteczkę. »Każdy musi mieć ten dowód — mówiono — co on za jeden, bez tego nawet do miasta jechać nie można.« Adampolanie przyjęli kartki, ale tylko jako »dowody osobistości«, nie jako przyjęcie poddaństwa i *gotowi są na to przysiądz.* Zresztą władza turecka znów nie powoływała »poddanych« do płacenia podatków, od których żaden prawdziwy poddany wolnym być nie może. Nie uczyniła tak w obawie, że Polacy płacić nie zechcą, jako nie poddani i podstęp się wyda. Wolała czekać i stworzyć precedens. Wieś tymczasem będzie się rozwijała, a dopiero, gdy świadkowie bezprawia wymrą, potomkowie ich będą uznani za poddanych tureckich na mocy ksiąg chociażby fałszywie zapisanych!

Trzecia próba była obliczoną również na nieznajomość języka tureckiego u Polaków, a dotyczyła kwitów. Kwity na podatek gruntowy, opłacane przez właściciela gruntu, więc w tym razie przez księcia Czartoryskiego, a pokrywane z dochodów leśnych gminy, były wydawane zawsze na imię księcia. Naraz zaczęto

te kwity wydawać w Bejkosie z oznaczeniem »podatek z polskiej wsi.« Tym sposobem postanowili Turcy stworzyć dowód, iż grunt należy nie do księcia, poddanego obcego, lecz do Polaków, nibyto poddanych tureckich

W kilka lat później widząc, że nikt nie remonstruje przeciwko temu (dla nieznajomości języka), naczelnik powiatu posunął się o krok dalej: zażądał od wsi, aby przyczyniła się do budowy drogi do miasta. Bawił jednak wtedy we wsi pewien Polak, znający ustawodawstwo, i za jego poradą odpisał wójt »kajmakanowi« (naczelnikowi powiatu) po francusku, że wieś nie zapłaci nic, gdyż grunt należy do księcia. Kto chce załatwić jakąś sprawę, niech pisze do konsulatu francuskiego. To poskutkowało. Kajmakan więcej nie powtórzył żądania, a temsamem dał dowód mimowoli, że rzekomi »poddani« nie są poddanymi tureckimi.

Zaszły nowe zdarzenia. Do kolonii przyjęto dwie rodziny, podobno polskiego pochodzenia, wykupione z niewoli od Czerkiesów, gdzie dostały się jeszcze dziećmi. Po wojnie rosyjsko-tureckiej w r. 1878 przyjęto kilku dezerterów z wojska rosyjskiego. Przybysze ci pokłócili się między sobą i przyszło nawet do zabójstwa. Trupa znaleziono w pobliżu domu jednego z adampolan, którego władze tureckie aresztowały. Gdy konsul francuski upomniał się o swego protegowanego, jako należącego pod jurysdykcyę konsularną, ów człowiek, z nieznanych przyczyn, oświadczył, że jest poddanym tureckim, gdyż wziął »hamidję«, dodając, że »wszyscy tak uczynili.« Dragoman konsularny odjechał do Konstantynopola, a ów adampolanin, Turek rzekomy,



Starosta i nauczyciel Ziółkowski w otoczeniu dziatwy szkolnej Adampola; podług fotografii w r. 1906.

został dziwnym sposobem natychmiast wypuszczony na wolność... Ale konsulat francuski skorzystał z dawno oczekiwanej sposobności i *wykreślił wszystkich adampolan*, z wyjątkiem jednego [1]), który otrzymał protekcyę za pośrednictwem OO. Assumpcyonistów, *z listy protegowanych francuskich.*

Wieś o tem nic nie wiedziała. Zresztą przepisy ustawowe o nabywaniu narodowości ottomańskiej i traceniu protekcyi francuskiej, wyraźnie sprzeciwiają się takiemu samowolnemu postępkowi konsula. Wkrótce zaczęły zjeżdżać tureckie komisye, żądając podatków »poddańczych.« Adampolanie nie płacili, powołując się na protekcyę francuską.

W r. 1901 zjechała komisya, aby wręczyć wszystkim »tytuły własności«, czyli tak zwane »hodżety.« Gdy osadnicy odpowiedzieli, że to ziemia księcia, nie ich, że nie chcą żadnej własności od Turków i przyjąć jej nie mogą: komisya dokonała sama pomiarów i otaksowała pod podatek osobisty i gruntowy. Z wyjątkiem trzech obałamuconych przez owego poturczeńca wypuszczonego na wolność przez władze tureckie (jak wyżej powiedziano), cała wieś bądź uciekła, bądź zamknęła się w domach. Przeważnie jednak pojechali do miasta szukać ratunku. Wójt zatelegrafował do plenipotenta obecnego właściciela, księcia Czartoryskiego, z prośbą o ratunek, przedłożonych zaś mu »hodżetów« podpisać nie chciał i nie podpisał.

Upłynęło znów parę lat, i wieś, widząc, że protekcya francuska, której powrót obiecywał jej na własną

[1]) Ludwika Biskupskiego, byłego wójta Adampola.

rękę plenipotent księcia Czartoryskiego, nie nadchodzi, a wiedząc, że obecny książę jest poddanym austryackim, postanowiła starać się o protekcyę Austro-Węgier. Komisya ambasady zjechała raz i dowiedziawszy się, że Polacy mają »hamidje« — wiadomo pod jakim pozorem im do rąk włożone — odjechała. Sprawą zajęła się jeszcze raz, przybyła druga komisya i na zapytanie, czy Polacy chcą przejść pod berło austryackie, otrzymała odpowiedź zgodną i radosną: »Niech żyje cesarz Franciszek Józef I!« Na szkole zawieszono chorągiew austryacką, odprawiono dziękczyne nabożeństwo wśród ogólnego entuzyazmu; radowano się na myśl, że koniec utrapień, że niebezpieczeństwo odwrócone.

Tymczasem w r. 1906 po szesnastu miesiącach przyszła odpowiedź z ambasady, że Austro-Węgry przyjmują protekcyę nad ziemią, należącą do księcia Czartoryskiego, *nad kolonistami* jednak *nie przyjmują*, gdyż ci są poddanymi tureckimi... Jeżeli złożą dowód urzędowy turecki, że tak nie jest, lub jeżeli Turcya z poddaństwa ich zwolni, wówczas będą mogli otrzymać poddaństwo austryackie.

Otóż zachodzi ta trudność, że 1° władze tureckie dowodu takiego adampolanom nie wydadzą, gdyż cała ich akcya w ciągu dziesiątków lat zmierzała do tego, aby utworzyć fikcyę, że ci są poddanymi tureckimi; 2° z pewnością zwolnić ich z poddaństwa nie zechce z tych samych przyczyn, co wyżej powiedziano. Nadto ustawy tureckie nakazują każdego, kto mieszka na terytoryum ottomańskiem, uważać za poddanego tureckiego, *o ile się nie wykaże, że jest innego poddaństwa.*



Procesya na Boże Ciało w polskiej kolonii w Adampolu w r. 1906. (Zob. str. 93 i nast.).

Adampolanie tego uczynić nie mogą, nie mając dowodów w protekcyi francuskiej. Wobec tego, kończy memoryał, proszą adampolanie, aby władze austro-węgierskie ściśle wedle ustaw tureckich pozwoliły na *przedłożenie innego dowodu,* iż adampolanie nie są poddanymi tureckimi.

Ustawa turecka o nabyciu podaństwa żąda mianowicie, aby każdy, kto chce otrzymać poddaństwo w Turcyi, *wniósł prośbę do rządu.* Bez tego wyrażenia swej woli, *nikt poddanym tureckim zostać nie może.* Tego adampolanie nie uczynili, a że nie uczynili, gotowi są powtórzyć przysięgę, złożoną już wobec X. Józefa Wiśniewskiego z Konstantynopola, którego podpis jest potwierdzony przez kancelaryę apostolskiego wikaryatu konstantynopolitańskiego i opatrzony pieczęcią. Akt przysięgi podpisali adampolanie wobec księdza w następującej rocie:

»Ja (imię i nazwisko) przysięgam sumiennie wobec Boga Wszechmocnego, jako nie wnosiłem nigdy, żadnej prośby do ministerstwa spraw zewnętrznych ottomańskiego, o przyznanie mi narodowści ottomańskiej, ani nie upoważniałem nikogo do wniesienia takowej w mojem imieniu.«

Czy memoryał powyższy będzie uwzględniony przez Austro-Węgry, przesądzać nie możemy. Jeśli nie, w takim razie jedynem wyjściem z kłopotliwego położenia adampolan, będzie staranie się o protektorat rosyjski. Do tego mają nawet prawo adampolanie, bo pochodzą z rodzin dawniej poddanych rosyjskiemu berłu. Z drugiej strony rząd rosyjski zapewne nie będzie miał trudności w przyznaniu im swego obywatelstwa,



Procesya na Boże Ciało w polskiej kolonii w Adampolu w r. 1906 — powrót do kaplicy. (Zob. str. 93).

i owszem, może zależeć mu na tem, aby po drugiej stronie Bosforu mieć punkt oparcia, bardzo wygodny przy jakichkolwiek kombinacyach politycznych.

Po dłuższej rozmowie z byłym i obecnym wójtem kolonii o sprawach dotyczących budowy kościoła, możliwości stałej kapelanii w Adampolu, poszedłem do innego kolonisty, Ryża, u którego mieszkałem, gdym po raz pierwszy w r. 1889 misyę odbywał w tej azyatycko-polskiej osadzie.

O wczesnem rozpoczęciu misyjki mowy być nie mogło, gdyż ludność zajętą jest pilną robotą w polu, inni oczekują przybycia z paszy bydła do obory i zwykłych zajęć przy podoju. To też już dobrze zaczęło się zciemniać, gdy na znak dzwonka zebrali się Polacy w starej, prowizorycznej kaplicy na naukę. Przypomniałem rodakom, jak pięknie w ojczyźnie obchodzi się u nas uroczystość Bożego Ciała, jak ludzie nietylko ołtarze, ale jeszcze bardziej serca swe zdobią na uczczenie Najświętszego Sakramentu, i zachęciłem, aby i oni skorzystali z obecności kapłanów i godnie przygotowali się na pojutrzejsze Święto przystąpieniem do Sakramentu Pokuty i Ołtarza.

Zachęta trafiła na dobry grunt serc adampolan, bo nazajutrz, w środę 13 czerwca, już wczesnym rankiem zebrali się na wysłuchanie Mszy św. i nauki, a kilka osób przystąpiło do św. Sakramentów. Przez cały dzień jedni przygotowywali się do spowiedzi, inni stroili ołtarze, wili wieńce, bukiety, girlandy, bo mieliśmy urządzić procesyę wspaniałą, na jaką tylko stać ubożuchną kolonię. Wieczorem, po ukończeniu wszyst-

kich robót, tak domowych, jak i do jutrzejszej uroczystości, przy prześlicznej pogodzie zgromadzili się Polacy bardzo licznie w kaplicy, tak, że nie mogła pomieścić wszystkich przybyłych na nabożeństwo wieczorne i naukę. Już była godzina 9½ wieczór, gdyśmy się rozchodzili w poważnym nastroju przy słabym blasku gwiazd migocących, wśród ciszy wiejskiego ustronia, do domów rozrzuconych wśród pól, ogrodów i lasów. Czułem się jakby przerzucony w ojczyste strony, gdzie innej nie słyszy się, jak polskiej mowy, nie widzi się innych osób, jak rodaków! Jakiż to kontrast z tem, co przed dwoma dniami było w tak blizkim Konstantynopolu: tam życie wre, jak w ulu, prawie co krok innej narodowości spotykasz człowieka, innej wiary, a wypada się porozumiewać nieraz na jednem zebraniu kilku językami obcymi i myśl swą naginać do pojęć, usposobień i sposobu wyrażania się różnych narodów; tutaj spokój, piosnka pasterza przy fujarce zdala dolatuje, a kogo spotkasz, zagadnie cię językiem ojczystym, choć tak daleko do granic Polski, wszak już w Azyi jesteśmy i wśród azyatyckich mieszkańców, lecz zawsze Polaków, tej samej silnej wiary i naszych obyczajów.

Gdym przed trzema laty znajdował się w Adampolu, w tym samym czasie: na uroczystość Bożego Ciała zjechał drugi kapłan polski, profesor z Charkowa, X. Wagner, i X. Wiśniewski, mający być niebawem wyświęconym. Uprosiłem wówczas X. Wagnera, aby celebrował sumę i prowadził procesyę, ja miewałem nauki i słuchałem spowiedzi, X. Wiśniewski utrzymywał porządek podczas nabożeństwa. Któż z nas mógł się



Cmentarz Polaków w Adampolu.

spodziewać, że razem więcej się nie zbieżemy, że X. Wagnera zabraknie. Bez żadnej przyczyny, wprost dla rabunku zamordowali go w dwa lata później w Charkowie nieznani złoczyńcy.

Dzięki obecności X. Wiśniewskiego, można było podobnie okazale, jak przed trzema laty, urządzić uroczystość Bożego Ciała, a nawet może jeszcze piękniej. Od rana (14 czerwca) słuchałem spowiedzi, następnie miałem cichą Mszę św.; celebrował sumę X. Wiśniewski, na której miałem kazanie. Temat do niego sam się nasuwał, boć przecie to dzień poświęcony czci Najśw. Sakramentu, mieliśmy Go obnosić w monstrancyi po całej kolonii, aby święcić jej ścieżki i domy i błogosławieństwo Boże wyprosić dla opuszczonych osadników polskich. Na to nabożeństwo zbiegła się cała kolonia, ledwie kto pozostał w domu, większość zagród pozostała bez żywej duszy ludzkiej, jedynie pod opieką św. Aniołów, Stróżów ognisk rodzinnych.

Gdy południowy żar słońca ustał, na znak dzwonu zebrali się znowu wszyscy koloniści przed kaplicą, przystrojeni w odświętne ubrania, dziatwa zaś w komplecie stanęła parami w długim szeregu, który miał otwierać procesyę. Podczas, gdy X. Wiśniewski wyszedł do ołtarza z nieszporami, ja siadłem do konfesyonału, a gdy zaintonował »Tobie cześć chwała«, procesya ruszyła z kaplicy. Na jej czele niósł krzyż najstarszy z kolonistów adampolskich, Kępka, żołnierz z pod Sabastopola. Za nim postępowali chłopcy szkolni z chorągiewkami, dziewczęta szkolne z wieńcami kwiatów na głowie i liliami w ręku, przed celebransem szereg w bieli ubranych

dziewczątek, które z koszyków rzucały kwiaty przed kapłana niosącego Najśw. Sakrament w monstrancyi, a otoczonego turyferarzami, chłopcami ze światłem i dzwonkami. Ten szereg najmniejszych dziewczątek otwierały Dochodówna i Ryżówna z wielkimi krzyżami, uwitemi misternie z prześlicznych róż i lilij przez Józefę Dochoda, jedną z gospodyń adampolskich. Nad celebransem prowadzonym przez wójta i najstarszych gospodarzy, niesiono baldachin, za nim postępowały niewiasty i starsze dziewczęta ze światłem; kończył się orszak mężczyznami. U przedstawicieli czterech rodów adampolan: Kępka, Dochoda, Biskupskich i Ryża, piękne ustawiono ołtarze, z których ostatni najbardziej malowniczo wyglądał, pod starą rozłożystą lipą. Przy zachodzie słońca powróciła procesya do kaplicy, miłą pozostawiając pamiątkę młodszej generacyi, jak ich ojcowie i matki publicznie hołd składali Panu Jezusowi utajonemu w Najśw. Sakramencie.

Wieść o zamierzonej procesyi doszła do kilku poblizkich domostw Greków i muzułmanów, którzy ciekawie, lecz z uszanowaniem przypatrywali się w odpowiedniej odległości objawom wiary naszych rodaków.

*
* *

Gdym wyjeżdżał z Konstantynopola do Adampola, prosił mnie X. Arcybiskup Tacci, do którego juryzdykcyi należą polscy osadnicy, abym zbadał dokładnie stosunki miejscowe, czy i pod jakiemi warunkami byłoby możliwem założyć tam stałą stacyę misyjną. W całej okolicy jedyny Adampol przedstawia się jako jednolita gmina katolicka, a jest jakby oazą na pustyni, bo oto-

czona muzułmańskiemi i greckiemi wioskami. X. Arcybiskup od chwili objęcia stolicy konstantynopolskiej zrozumiał doniosłość stałej i gruntownej obsługi katoli-



Nagrobek Ludwiki ze Śniadeckich Czaykowskiej (Sadyka-Paszy żony), autorki »Wernyhory«, w Adampolu obok cmentarza.

ków adampolskich, dających gwarancyę silną swą wiarą, że nietylko jej nie porzucą, lecz i owszem, staną się przykładem i rozsadnikiem prawdy i cnoty u swoich

sąsiadów. W braku jednak dostatecznych funduszów na utrzymanie takiego rodzaju stacyi, czy ekspozytury parafialnej, trzeba było zasięgnąć zdania tutejszych mieszkańców, czy zechcą się przyczynić do zaspokojenia materyalnych potrzeb swego przyszłego kapłana. W tym celu zapowiedziałem po procesyi zebranie w domu gospodarza Ryża, i prosiłem, aby przynajmniej jeden przedstawiciel każdego z rodów miejscowych przyszedł na ten »wiec adampolski.«

Około godziny 9 wieczorem zasiedli przed stołami pod przewodnictwem wójta Ziółkowskiego: Ryż, jako gospodarz domu, Biskupski, Wilkoszewski, Kowalski, Miniakowski, Nowicki, Kępka, Dochoda, Gażewicz i kilku innych, razem 20 osób. Na pierwszem miejscu obok mnie zasiadł X. Wiśniewski, jako dotychczasowy opiekun duchowny kolonii. Po odmówieniu modlitwy do Ducha Św. i Matki Boskiej, Patronki kapliczki tutejszej, otworzyłem obrady. Rozstrząsaliśmy najpierw pytanie, czy koloniści pragną mieć własnego kapłana. Jednogłośnie brzmiała odpowiedź: że bardzo tego pragną, najpierw dla ogólnych potrzeb duchowych miejscowej ludności, która bez opieki duchownej stałej zdziczeje, powtóre, że gmina posiadająca swego duchownego, zupełnie w innem jest poważaniu wobec władz tureckich. Każdy dokument podpisany przez wójta i kapłana miejscowego, ma znaczenie urzędowe, bo Turcy chociaż są muzułmanami, respektują Kościół katolicki i liczą się z jego przedstawicielami w gminach katolickich.

Gdyśmy następnie zaczęli obliczać koszta utrzymania kapłana, budowy plebanii, szkoły i t. p. wydatki niezbędne, okazało się: że dzisiaj kolonia jeszcze nie byłaby wstanie, licząc zaledwie 30 gospodarstw zdobyć się na zaspokojenie najkonieczniejszych potrzeb. Stanęło wkońcu na tem, że wobec braku odpowiedniej plebanii trzeba poprzestać na dotychczasowym systemie, aby od czasu do czasu dojeżdżał kapłan z Konstantynopola dla zaspokajania naglących potrzeb duchownych adampolan, chociaż wskutek złych dróg, w niektórych miesiącach ta podróż nietylko jest bardzo uciążliwą, ale nawet niebezpieczną, a czasem i niepodobną do odbycia.

Wszyscy zgodzili się na to, aby ponowić prośbę do księcia Adama Czartoryskiego o wydzielenie kilku morgów ze swej własności 5000 morgowej na utrzymanie stałego kapłana, a nadto, aby on jako właściciel ziemski wyjednał u rządu tureckiego firman na budowę kaplicy, względnie kościółka dla siebie, z którego mogliby korzystać adampolanie. Samym adampolanom rząd turecki odmówił firmanu na budowę kościoła, a zezwoliłby tylko pod tym warunkiem, gdyby zapłacili podatki osobiste, zaległe od lat dawniejszych [1]), a które o wiele przewyższają wartość gruntów przez nich uprawianych. Budowa takiego kościoła lub kaplicy nie narażałaby księcia Czartoryskiego na wydatki, bo na kościółek w Adampolu zebrało się już kilkanaście

[1]) Wyżej była mowa, że nie byli i nie są obowiązani płacić tych podatków.

tysięcy, do czego i »Misye katolickie« także się przyczyniły. Ten fundusz znajduje się w zarządzie Delegacyi apostolskiej w Konstantynopolu, a obecnie w ręku Msgra Borgomanero, wikaryusza generalnego, wikaryatu patryarchalnego konstantynopolskiego.

Obrady trwały wśród bardzo ożywionej, lecz spokojnej dyskusyi aż do godziny 11 w nocy. Jeden z mówców bardzo roztropnie powiedział co do konieczności pobytu kapłana w Adampolu: »Kto chce mieć ptaka, wpierw musi mieć klatkę, postarajmy się o plebanię, to i kapłan będzie mógł osiąść między nami.«

Niestety, nawet na budowę plebanii potrzebny jest firman sułtański. O niego musiałby się postarać książę Czartoryski, tak jak o firman na kaplicę.

Czy zechce zająć się tą sprawą? List, jaki napisał do adampolan dziękując za fotografie widoków kolonii, jest jakby nadzieją, tak bowiem pisze do nich z Cannes dnia 25 stycznia 1906 r.:

»Kochani Adampolanie!

Ślę Wam serdeczne podziękowanie za Wasz piękny podarunek. Nie mogliście mi sprawić większej przyjemności, jak przysyłając album z wizerunkami Waszemi i Waszych domostw.

Miło mi widzieć, że choć na obcej ziemi, umieliście nadać kolonii cechę prawdziwej polskiej wsi i że to wszystko powstało dzięki Waszej pracy.

Pragnę Was zapewnić, że zajmuję się zawsze waszemi sprawami, a szczególnie kwestyą waszego poddaństwa. Niestety, dotychczas napotykałem na trudności,

ale mam nadzieję, że wkrótce otrzymamy to, o co Wam tak słusznie chodzi.

Żegnam Was, kochani Adampolanie, raz jeszcze za Waszą pamięć dziękując i zapewniając Was o mej szczerej dla Was wszystkich życzliwości.

Adam Czartoryski.«

Skoro więc książę Adam pisze: »że zajmuję się zawsze waszemi (adampolan) sprawami«, powinniśmy mieć ufność, że zechce szczerze zająć się sprawą najważniejszą dla adampolan, a więc sprawą budowy kaplicy, plebanii i utrzymania kapłana. Do tego nie potrzebuje robić wielkich wkładów, tylko zmusić się do przeprowadzenia w czyn swych szlachetnych chęci dla dobra tylu dusz, wyciągających ku niemu błagalne dłonie.

W dniu 15go czerwca po odprawieniu Mszy św., pożegnałem kolonistów oczekujących na mnie przed kaplicą. Spieszyłem do Konstantynopola, gdzie dzienniki ogłosiły konferencye polskie w kościele Sta Maria Draperis, jakie miałem rozpocząć nazajutrz rano.

III. Misya w Konstantynopolu.

W Adampolu, po wczesnym obiedzie, z X. Wiśniewskim dosiedliśmy koni, udając się do Konstantynopola. Towarzyszyli nam starosta kolonii p. Ziółkowski, p. Ryż jeden z najstarszych kolonistów miejscowych i dwóch innych ludzi. Dzień był bardzo parny, niebo się zachmurzyło. Gdyśmy wyjechali poza

obręb polskich gospodarstw, poczęły grać pioruny i padać z rzadka grad wielkości jaj gołębich. Najodpowiedniej byłoby wrócić do najbliższej chaty i przeczekać nawałnicę. Nie mogłem jednak tego uczynić, bo byłbym się spóźnił na ostatni parowiec, jaki miał nas z Basza-Bagcza odwieźć przez Bosfor do Konstantynopola. A tam już oczekiwano mego przybycia, konferencye w kościele Sta Maria na Perze, już dziennikami zapowiedziane, więc zawodu zrobić nie można, grad i pioruny nie mogą przeszkodzić. Pozostawiłem więc moich towarzyszy, a tylko z X. Wiśniewskim, właścicielem koni Polakiem, i jakimś młodziutkim Arnautą, który się do nas dla bezpieczeństwa przyłączył, puściliśmy się w głąb borów, rozciągających się z Adampola daleko na zachód, prawie aż ku morzu Marmora. Tymczasem grad nie ustawał. Dla zabezpieczenia swojej i koni głowy od tych lodowych pocisków, rozpostarliśmy parasole i zwolna jechali, aby silniejszym prądem powietrza nie spowodować uderzeń w nas piorunów, które raz poraz uderzały o wyniosłe prastare dęby, z rzadka dominujące nad młodym spustoszonym lasem. Niebawem grad stawał się coraz rzadszym, ale zato deszcz spływał strugami z obłoków. Dalsza jazda była niemożliwa, bo konie co krok się ślizgały na świeżo zmoczonej glinkowatej drodze. Zatrzymaliśmy się pod rozłożystym dębem, zdjęli siodła z koni, przykryli je kocem, a sami skuleni usiadłszy na konarach drzewa, trzymając lejce w ręku, aby wierzchowce nie pouciekały, wyczekiwaliśmy końca nawałnicy. Piorunów się nie obawiałem, boć drogę odbywałem w celu misyj-

nym, nie dla przyjemności; cokolwiek będzie, nic się nie stanie bez dopuszczenia Bożego, a Jego Opatrzność przecież najmiłościwsza. Jedna tylko ogarniała mnie trwoga, aby się nie spóźnić na ostatni parowiec. Liczyliśmy więc z X. Wiśniewskim na minuty czas koniecznie potrzebny do Basza-Bagcza, i byliśmy zdecydowani: gdyby deszcz nie ustał, dalej iechać wśród ulewy. Tymczasem zabawialiśmy się rozmową z przygodnym towarzyszem Arnautą. Pytałem go, czemu się do nas przyłączył, skoro lepiej zna bory tutejsze i wszystkie w nich ścieżyny. Odpowiedział, że obawia się nie zbłądzenia z drogi, lecz napaści wilków. Rzeczywiście wilki w tym roku wielkie szkody zrobiły, nawet kolonistom polskim w Adampolu. Wczoraj i dziś znowu rozszarpały im krowy, trzecia zraniona powróciła do domu. Zwykle wilki, gdy napadną swą zdobycz, nie rozszarpują takowej, lecz wydarłszy kawałek skóry z bydlęcia, tak wysysają krew i mięso, że pod skórą tylko próżnia z kośćmi zostaje.

Po półgodzinnem bezskutecznem czekaniu dosiedliśmy wierzchowców. Wśród deszczu, błyskawic i grzmotów rozlegających się silnym echem po parowach, tośmy się wspinali na góry, to z nich spuszczali w wąwozy krętemi rozmaitemi drogami wśród skał i urwisk. Silny wiatr z północy, jaki się zerwał w kilkanaście minut później, rozprószył chmury, ukazał się błękit nieba, a w dali lazurowy Bosfor, olśniony promieniem słońca.

Wypoczęte konie, jakby wiedziały, że nam zależy na pośpiechu, gnały prawie pędem strzały i w sam czas przybyliśmy do Basza-Bagcza. Parowiec, jakby na za-

wołanie, razem z nami stanął u mety i w parę minut później już z nami zdążał do Konstantynopola.

Byliśmy nie do poznania obłoceni literalnie od stóp do głowy. Jakaż to mądra instytucya pucobutów konstantynopolskich, których prawie na każdej ulicy kilku się spotyka, a u portu zastaliśmy ich niemal legion. Gdym wieczorem przybył do jezuickiej rezydencyi przy Agha-Hammam, zastałem tam proboszcza kościoła *Sta Maria,* sędziwego naszego rodaka O. Kiefera, Minorytę, który z niepokojem wyczekiwał mego powrotu. Burza szalała również nad Konstantynopolem, był więc on w obawie, czy na czas przybędę.

Nazajutrz rano, było to 16 czerwca, rozpocząłem znowu na spółkę z zacnym X. Wiśniewskim nabożeństwo dla Polaków zamieszkałych w Carogrodzie i jego najbliższej okolicy. X. Wiśniewski wyszedł ze Mszą św. o godzinie 9, poczem zaintonowałem »Veni Creator« i miałem naukę pierwszą, drugą zaś po południu od godz. 6 do 7, którą poprzedziło odmówienie litanii do Matki Boskiej, »Tantum ergo« i błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem. — W tym samym porządku odbywały się w następnych dniach nabożeństwa zakończone dnia czwartego odpowiednią nauką i generalną Komunią św.

Gdym wracał z pierwszej nauki do mego mieszkania, spotkałem naprzeciw idącego Polaka. Kiedyś przed laty poznałem go w Konstantynopolu i wiele mi o nim mówił proboszcz miejscowy, O. Mikołaj. Na wązkim chodniku nie mogliśmy się rozminąć bez przywitania. Pytam jak się miewa:



Wnętrze kaplicy przy kościele Sta Maria Draperis, w której bywały polskie nauki w latach 1899, 1900, 1903, 1906; podług fotografii z r. 1906.

— Nie dobrze — odpowiada — mam wadę sercową, która mnie niepokoi, zwłaszcza, że wcale nie czuję polepszenia pomimo użycia lekarstw.

— Rzeczywiście — mówię — pan nie dobrze wygląda, te wypieki na twarzy bardzo są podejrzane. Choroby sercowej nie można lekceważyć, boć wiemy z doświadczenia, że zwykle kończy się nagłą śmiercią. Wybacz pan, ale otwarcie muszę mówić: pan powinien zawczasu przygotować się na śmierć dobrą, bo może być za późno. Przyjdź pan do spowiedzi, ja panu ułatwię, o ile to tylko odemnie będzie zależało.

Gdym te słowa wymawiał i mnie i jemu łzy w oczach stanęły. Zawahał się chwilę, lecz gdy nastawałem z mą prośbą, odpowiedział, że się namyśli, może przyjdzie.

— Liczę na pańskie dobre serce — odpowiedziałem i pożegnaliśmy się.

Nadzieja mnie nie zawiodła. Po południu, gdym przyszedł do kaplicy dla słuchania spowiedzi, widziałem tego pana zatopionego na rozmyślaniach i modlitwie. Był obecnym na długiej nauce, jaką w tym dniu miałem o Sakramencie Pokuty. Łaska Boża zwyciężyła, przystąpił do konfesyonału, a nazajutrz przyjął Komunię św. wspólnie z innymi.

Jakież to szczęście dla kapłana, gdy widzi tak namacalnie działanie łaski Bożej na serca ludzkie, że może pośredniczyć w zdobyciu spokoju duszy ludziom dobrej woli. Z drugiej strony po takich i im podobnych zdarzeniach, coraz bardziej utwierdza się w prawdzie, iż jest lichem narzędziem wszechmocy Bożej, która i sło-

wami kieruje, co i jak powiedzieć i im siłę udziela poruszania serc.

Czytelnik może zapyta, jakie obrałem tematy w przemówieniach do Polaków. Przedewszystkiem pamiętać powinniśmy, że w Konstantynopolu wogóle bardzo rzadko ludzie słyszą kazania, a wielu z tych nawet rzadkich kazań wcale nie korzysta. Jeżeli więc zdarzy się sposobność przemawiania do garstki ludzi dobrej woli, trzeba ją wyzyskać i przynajmniej pokrótce mówić o prawdach najważniejszych, najbardziej potrzebnych dla zbawienia duszy. Nie trudno bowiem znaleźć zupełną niewiadomość takowych. W kraju, w mieście, gdzie częste bywają nauki, rekollekcye, konferencye, gdzie znaczna większość ludzi wierzących i dobrze duchowo wykształconych: kaznodzieja może wybrać sobie tematy dowolne, okolicznościowe, lub o tej i owej cnocie, tym lub owym występku, tej lub owej prawdzie dogmatycznej. Lecz na obczyźnie, jak powiedziałem, trzeba się starać umieć wyzyskać chwilę dla dobra przedewszystkiem tych dusz, chociażby jednej, które może już nigdy, albo kto wie kiedy słowo Boże usłyszą. Może przyszły one jedynie dlatego, że to »polskie« nauki, że kapłan Polak z dalekich stron przyjechał, że trudno wyłączać się od zgromadzenia samych Polaków i t. p. racyj raczej patryotycznych, niż religijnych.

Mając to wszystko na uwadze, poruszyłem najpierw sprawę fundamentalną istnienia Boga żywego, Stwórcy, Rządcy nas wszystkich i o stosunku naszym do Niego. W następnej nauce wykazałem konieczność poznania tego, co nam objawił, i co nam nakazał wy-

konać. Jednem słowem: mówiłem o konieczności obznajomienia się z prawdami i zasadami, których nas dziećmi uczono, któreśmy wówczas może rozumieli, a może i nie, a w późniejszem życiu może o nich zapomnieli, albo wcale nie starali się nigdy zrozumieć i sobie przyswoić, aby odpowiednio do nich swe życie zastosować. A ponieważ przez Sakramenta św. człowiek bywa i zaszczepionym na żywym drzewie Kościoła, czerpie przez nie siłę do życia chrześcijańskiego, i znajduje lekarstwo w upadkach, chorobach duszy: przeto o Sakramentach świętych i łasce przez nie udzielanej nam przez Boga obszernie mówiłem, zachęcając do korzystania z dobrodziejstwa, jakie nam Bóg przez nie świadczy.

Naturalnie najobszerniej w następnych naukach mówiłem o Sakramencie Pokuty i warunkach koniecznych, aby dobrze spowiedź sakramentalną odprawić. Tematu o rzeczach ostatecznych, t. j. o śmierci, sądzie i nieodwołalnym wyroku, jakie nas niechybnie czekają, nie chciałem pominąć, chociażby tylko dlatego, że one najsilniej przemawiają do serca ludzkiego.

Zakończyłem cykl nauk wykładem najmilszego tematu o Najśw. Sakramencie, który jest jakby osią całego życia chrześcijańskiego, źródłem największego szczęścia, jakiego można dostąpić na ziemi, kto godnie stara się swe serce uczynić »żywem tabernaculum.«

Po Komunii generalnej w dniu 19 czerwca, miło mi było widzieć rozpromienione twarze moich rodaków, zebranych w przedsionkach kaplicy, aby podziękować za »ucztę duchowną«, jaką im O. Mikołaj Kiefer zgotował przez urządzenie polskich nauk.



Majętni Turcy w Konstantynopolu.

»Aby ocenić korzyść tego rodzaju misyi — mówił mi jeden z bardzo rozumnych kapłanów belgijskich — nie trzeba patrzyć na liczbę słuchaczy, lecz na okoliczności, w jakich się znajdują. Tutaj na Wschodzie sami musimy szukać dusze, aby nie zaginęły wśród powodzi niewiary, przesądów i bezustannej styczności z innowiercami. Tego wszystkiego u was, w kraju katolickim, prawie nie znają, i nie mają pojęcia, w jak trudnych warunkach znajduje się tutaj Kościół katolicki.«

* * *

Jedną z pierwszych wizyt, jakie złożyłem w Konstantynopolu, była u X. Arcybiskupa Tacci, który zresztą już ją sobie zamówił, gdym się z nim widział przed wyjazdem do Adampola. W towarzystwie superyora jezuickiej rezydencyi O. André [1]), udałem się więc do pałacu delegacyi apostolskiej, gdzie dłuższą mieliśmy konferencyę w sprawie założenia stałej kapelanii dla adampolan. Na obiedzie zostaliśmy u X. Arcybiskupa, a zaproszenie otrzymało także paru dygnitarzy kuryi tutejszego wikaryatu patryarchalnego. X. Arcybiskup znał nieco nasze stosunki, gdyż miał kilku kolegów Polaków w akademii »dei nobili Ecclesiastici« w Rzymie i na uniwersytecie gregoryańskim. Wypytywał się o wszystkich i o nasze stosunki religijne, a już najbardziej o pewien rodzaj misyi, jakiej swego czasu oddawali się OO. Jezuici prowincyi galicyjskiej. Rozmaite epizody z tych wypraw misyjnych bardzo zajmowały

[1]) W grudniu r. 1906 O. André został zamianowany rektorem kolegium Św. Rodziny w Kairze w Egipcie.

uwagę obecnych, a ja miałem wielką satysfakcyę, że mogłem przedstawić skuteczną pracę polskich kapłanów nie mniej trudną, jak innych narodowości misyonarzy w głębinach afrykańskiego kontynentu, lub u stoków gór himalayskich.

Wśród zwiedzań rozmaitych pomników Konstantynopola, nie mogłem pominąć kościoła św. Antoniego Padewskiego, położonego przy głównej ulicy na Péra, w pobliżu kościoła Sta Maria Draperis. Kościół ten należy do OO. Franciszkanów konwentualnych. W czasie mej obecności w Konstantynopolu, zaczęto już burzyć mury otaczające go, niebawem sam kościół rozebrano, ponieważ ma stanąć inny znacznie większy i okazalszy. Jednak ten stary kościółek dla nas Polaków miał szczególne znaczenie. W pierwszych dniach lipca 1839 r. rozpoczął w nim nasz misyonarz, Ojciec Maksymilian Ryłło T. J., misyę ośmiodniową, o której kronika OO. Reformatów kościoła Sta Maria Draperis wspomina, że podczas trzykrotnych dziennie nauk miewanych po włosku, o godz. 5, 8 rano i 6 wieczór, wiele dusz dla Pana Boga pozyskał i wszystkich bardzo zadowolnił, »ponieważ mówił po apostolsku i do głębi poruszał serca.« Cieszyłem się, że jeszcze mogłem przynajmniej odfotografować wnętrze tego kościoła, aby zachować chociaż jaką taką pamiątkę tej świątyni, w której przemawiał i kruszył serca polski misyonarz, sławny ze swej działalności w trzech częściach świata. Takim rzeczywiście był O. Ryłło, bo zarówno w Europie, jak w Azyi i Afryce, pamięć jego prac apostolskich nie zaginęła dotychczas.

W dniu 20 czerwca ostatnią Mszę św. miałem w kaplicy przy Agha-Hammam, a po południu tegoż dnia odprowadzony przez kilku znajomych kapłanów, wsiadłem do małego parowca greckiego, kursującego między Konstantynopolem a Saloniką. W tym roku obrałem raczej tę drogę powrotną, a nie jak dawniejszymi laty na morze Czarne i Rumunię, ponieważ po drodze postanowiłem zwiedzić sławne monastery bazyliańskie na górze Athos. Sława ich głośna na całym Wschodzie, a zwłaszcza w Rosyi, gdzie »Swiata Hora« prawie tem jest dla nich, co dla nas Rzym.

Tyle tam rzeczy interesujących pod każdym względem znalazłem, że warto podzielić się z czytelnikami zebranym tamże materyałem. Będzie on jednak objęty w osobnej broszurze, którą niebawem spodziewam się ukończyć.

Tymczasem żegnaj piękny prastary grodzie Wielkiego Konstantyna! Kiedyż cię ujrzę zjednoczonym węzłem miłości i jedności wiary ze stolicą świata, którego nawet »bramy piekielne nie przemogą?!«



Żebracy tureccy w Konstantynopolu.

W SZWECYI
w r. 1906.

I. Malmö.

Dziwną losów koleją Szwecya, co dobrze dała się we znaki Polsce w XVII i XVIII wieku: w XX otwiera swoje podwoje dla naszego ludu, szukającego na obczyźnie zarobków. A ten lud polski, jak dzieci Izraela tułaczy wiodąc żywot, po wszystkich niemal krańcach ziemi — od Kanady aż do Argentyny i Ziemi Ognistej, i od Nowej Zelandyi aż po ziemie Ostiaków i wschodniej Syberyi rozbił swe namioty niosąc swą pracę w zamian za kawałek chleba, lecz i coś więcej jak pracę: poznanie wiary prawdziwej i życia chrześcijańskiego.

Lecz czy ta wiara św. w ich sercach nie zgaśnie? czy zetknięcie się z innowiercami lub ludźmi wprost bez żadnych zasad chrześcijańskich nie wpłynie ujemnie na stan moralny, jeśli ta lampka z oliwą dziś jasno płonąca, jak w rękach owych pięciu panien mądrych oczekujących oblubieńca, nie będzie zasilana pomocą

kapłańską? Ta myśl od wielu lat trapiła mnie zawsze i dawała bodźca do szukania dusz rzuconych losem na obczyznę, zwłaszcza tam, gdzie znikąd religijnej pomocy nie mogły się spodziewać. To też gdy dowiedziałem się, że zachodzi potrzeba takiej pomocy dla naszych wychodźców szukających zarobku w Szwecyi, najchętniej podjąłem się tej misyi i we wrześniu 1906 r. wyjechałem na nią z Krakowa.

Podróż ta, bądź co bądź daleka, przy dzisiejszych ułatwieniach kolejowych jest jakby zabawką: przestrzenie prawie znikają. Z Krakowa wyjechałem rano, a wieczorem byłem już w Berlinie. Pruską stolicę opuściłem nazajutrz przed dziesiątą rano, a już po południu około czwartej wsiadłem do szwedzkiego parowczyka w porcie Sassnitz-hafen na wyspie Rugii, odległego od szwedzkiego portu w Trelleborg zaledwie 4 godziny drogi. Podczas gdy w Berlinie deszcz padał i niebo zaległy chmury ołowiane: w Sassnitz niebo jaśniało blaskiem jesiennego błękitu, a silny wiatr z północy pędził fale Bałtyku ku pruskim wybrzeżom i jak daleko oko sięgało, widziałem białe plamy na morzu. — To piana bałwanów kotłujących w głębiach i wyrzucających jakby w gniewie całą złość swoją na powierzchnię morza. Podróż nie zapowiadała się mile. Zeszedłem do jadalni, aby głód zaspokoić — boć od rana nic w ustach nie miałem. Szwed, kapitan okrętu, z szyderczym uśmiechem mówi, iż nie warto płacić za obiad. Niebawem go zrozumiałem. Ledwieśmy port opuścili, poznałem całą grozę morza Bałtyckiego w okresie porównania dnia z nocą. Bałwany zaczęły się piętrzyć wysoko



Kościół katolicki w Malmö. (Zob. str. 120 i nast.).

ponad pokład parowca, obracały nim, jak łupiną orzecha na wszystkie strony, zlewając obficie wszystko, co się na nim znalazło. Jedni zmoczeni od stóp do głowy śmiali się, lub gniewali, drudzy usiadłszy w melancholię wpadli: co było zapowiedzią morskiej choroby. Wszystko przycichło, jedynie słychać głos miarowy komendy i długie trzeszczenie parowca pasującego się z silnemi falami. Raz on się podnosi na morza ruchome grzbiety, to znowu spada przednim swym dzióbem, rzekłbyś w dno morskie, lecz znowu się podnosi wyrzucony na wierzch siłą swych maszyn i innych fali budzących się do życia w morskich głębinach. Lecz ledwie się wydostał z pionowych podrzutów, cisną się nań bałwany od strony wschodnio - północnej. Zdaje się, że go przewrócą dnem do góry, lecz silna maszyna tę próbę wytrzymała — zwyciężyła parcie; fala rozbiła się o bok parowca, zalewając jego pokład spienioną masą wody. Te i podobne ewolucye przez cztery z górą godziny przechodziliśmy wspólnie z naszym okrętem, zanim dostaliśmy się do portu w Trelleborg.

Słońce dawno już zgasło, pozostawiając za sobą na firmamencie ciemno - żółte i krwawe smugi światła. Stanęliśmy na ziemi szwedzkiej.

Tuż obok portu stoi dworzec kolei, obok urząd cłowy. Tu bardzo delikatnie pytano o przedmioty podlegające opłacie, poczem niezwłocznie złożyliśmy bagaże w czekającym już na nas pociągu.

Trelleborg jest małą mieściną najbardziej na południe wysuniętą, liczącą zaledwie 3.300 mieszkańców. Jakkolwiek należy do stałych siedzib tej krainy, wzrosło

jednak dopiero w ostatnich lat dziesiątkach wskutek budowy fabryk i utworzenia stałej komunikacyi z wyspą Rugią. W wagonach taką czystość i wygodę znalazłem, jakiej nigdzie przedtem nie widziałem. Na korytarzach umywalnia z czystą bielizną i nawet mydłem, karafki ze świeżą wodą i czyste szklanki stoją w pogotowiu, żywe kwiaty w wazach ustawione po bokach, miłą wonią napełniają powietrze.

W ciągu godziny pociąg przebył przestrzeń dzielącą Trelleborg od Malmö, stolicy południowej Szwecyi, tak zwanych Skäne. Było zapóźno na szukanie i zapoznawanie się z katolickim proboszczem, dlatego na razie stanąłem w hotelu *Temperance*. Jest on w związku z wrastającym w Szwecyi towarzystwem abstynentów. Za żadną cenę nie podadzą w nim do stołu gorących napojów, t. j. nawet żadnych koniaków, win i piwa. Przytem jest ta wygoda, że nie wolno konsekwentnie dawać żadnych napiwków, lecz u wstępu podają cenę mieszkania za dobę i nic się więcej nie płaci.

Nazajutrz rano (19 września) udałem się do katolickiego kościółka parafialnego. Nie było to łatwą rzeczą chociaż był blizko, bo trudno było dopytać się innym językiem jak szwedzkim. Chociaż bacząc na blizkość Niemiec, zdawałoby się, że język sąsiadów jest w użyciu u mieszkańców miasta portowego, przekonałem się, że tak nie jest. Niemczyzna tu nie popłaca, nawet w hotelach ledwie znajdzie się człowiek rozumiejący ten język, łatwiej już rozmówić się po duńsku lub angielsku, a już najrzadziej po francusku. Klasy wykształcone naturalnie znają język niemiecki,

i prawie w każdym możniejszym domu, jak wszędzie na świecie, innymi, prócz krajowym, można się rozmówić. Lecz przeciętny Szwed, prócz ojczystym, innym językiem nie mówi, albo niechętnie mówi. Szwecya z Norwegią i Danią jakby odrębny świat tworzą w Europie, nie chcący swego karku poddać pod hegemonię zjednoczonych Niemiec. Rugują więc wszystko, coby było cieniem jakiejś zależności, a chociażby tylko okazania potrzeby łączności z nimi. Szczęśliwe położenie geograficzne Szwecyi i olbrzymie przestrzenie w stosunku do liczby mieszkańców, sprzyjają temu separatyzmowi narodowemu i wychodzi mu na korzyść pod względem materyalnego dobrobytu.

Parafia w Malmö jest jedną z nielicznych w Szwecyi. Wszystkiego cztery miasta posiadają katolickie kościoły lub kaplice: Stockholm 2, Gothenburg 1, Gefle 1, Malmö 1. Norköping posiada tylko maleńką w prywatnem mieszkaniu O. Stolberga urządzoną kapliczkę. Cała hierarchia kościelna składa się z 13-tu kapłanów włącznie z biskupem, X. Albertem Bitter'em, mieszkającym w Stockholmie. Między tymi kapłanami (świeckimi i z zakonu Ojców Jezuitów) trzech jest narodowości szwedzkiej, do niej też należy proboszcz z Malmö, X. prałat Jan Popp, patryarcha kleru, starzec 72-letni.

Przed kilkudziesięciu laty X. Bernard hr. Stolberg-Stolberg, wówczas świeżo wyświęcony kapłan, konwertyta, były oficer sztabu generalnego armii austryacko-węgierskiej, zakupił kawałek gruntu w Malmö, na niem stanął kościółek, obok plebania, szkoła elementarna, i jeszcze sporo gruntu pozostało obecnie na ogród,



Ogród i probostwo X. Poppa w Malmö.
(Podług fotografii z r. 1906).

a posłuży później na inne potrzeby parafii. X. Stolberg wstąpiwszy w r. 1876 do zakonu OO. Jezuitów, całą tę posiadłość oddał do użytku wikaryatu apostolskiego Szwecyi.

Dzięki dobremu wyborowi miejsca, probostwo w Malmö bardzo wygodne ma pomieszczenie, bo bez żadnego najbliższego sąsiedztwa kamienic. Dwa jego boki przytykają do ulicy, trzeci do publicznego ogrodu, a raczej rodzaju plantacyi krakowskich, czwarty do ogrodu sąsiedniej kamienicy. Wszedłem do mieszkania proboszcza. X. prałat Popp, bardzo sympatyczny starzec, choć wygląda znacznie młodziej, niż jest w rzeczywistości, przyjął mnie najuprzejmiej. O. Stolberg, z którym miałem rozpocząć wycieczki misyjne dla Polaków w Szwecyi, zawiadomił go o moim projektowanym przyjeździe, krótko więc trwało zapoznanie; niebawem wyszedłem do ołtarza, aby po raz pierwszy na ziemi szwedzkiej sprawować Najświętszą Ofiarę. Jakżeż błogiego doznałem uczucia, że tu, gdzie po wprowadzeniu luteranizmu przez dwa wieki pod karą śmierci nie wolno było przebywać katolikom, dziś zupełnie swobodnie mogłem spełniać funkcye kapłańskie. Tem milej było modlić się w małym, lecz bardzo czysto utrzymanym kościółku parafialnym, ponieważ zapełnił się dziatwą szkolną i kilkudziesięciu starszymi osobami. Któż oni są? Szwedzkich katolickich rodzin jest jeszcze bardzo niewiele; większość to cudzoziemcy. W całej Szwecyi na 5,300.000 ludności zaledwie 2000 jest katolików. Szwedom luteranom nie wolno uczęszczać do szkoły katolickiej, a gdyby zaszedł taki wypadek, szkoła

zapłaci 500 koron kary i będzie na zawsze zamkniętą. To też garstka dziatwy katolickiej szwedzkiej jest źrenicą w oku X. Poppa; dla niej sprowadził Elżbietanki



X. PRAŁAT JAN POPP,
proboszcz w Malmö, 72-letni patryarcha
katolickiego kleru szwedzkiego;
podług fotografii z r. 1906.

(Szare Siostry — die graue Schwestern), Niemki, doskonale mówiące po szwedzku, i one zajmują się elementarną szkółką tuż przy plebanii położoną. SS. Elżbie-

tanki nie mają żadnych stałych funduszów na swoje utrzymanie; żyją z jałmużny, jaką otrzymują za pielęgnowanie chorych po domach prywatnych, nie wyłączając protestantów. A tak są tutaj lubiane, że gdy rząd chciał je zastąpić dyakoniskami protestanckiemi, ludność się oparła, twierdząc, że nikt z taką miłością nie potrafi usługiwać chorym jak Siostry Elżbietanki. Pomimo tego nie wolno im pokazać się w habitach na ulicach Stockholmu, w przeciwieństwie do Malmö, gdzie już się z ich zakonnem ubraniem oswojono. Prócz szkoły i pielęgnowania chorych, zajmują się one utrzymaniem porządku w kościele, a czynią to wzorowo.

Dotychczas żaden katolik nie może otrzymać rządowej posady. Zaszedł raz wypadek nawrócenia się urzędnika dyplomacyi szwedzkiej. Król, acz z niechęcią, pozwolił mu na to, lecz sam akt przyjęcia na łono Kościoła katolickiego musiał się odbyć poza granicami królestwa. Gdy Szwed chce zostać katolikiem, musi wpierw przedstawić prośbę władzom rządowym; te indagują, dlaczego ten krok postanawia uczynić, wpisując go do czarnej księgi; po dwu miesiącach ponownie pytają, odradzają, a gdy kandydat na katolika trwa w swem postanowieniu, dają mu pozwolenie przejścia do Kościoła katolickiego. Zresztą swoboda wyznania jest w Szwecyi od niedawna. Po dwuwiekowem prześladowaniu katolików — tak, że ani jednej rodziny szwedzkiej katolickiej w obrębie królestwa nie było: dopiero w roku 1789 król Gustaw pozwolił przebywać w Szwecyi katolikom cudzoziemcom. Wysłani przeto zostali pierwsi katoliccy misyonarze do Stralsundu —

miasta na Rugii położonego, która należała podówczas do królestwa szwedzkiego. Stąd dostał się najpierw jako przełożony misyi kapłan świecki, X. Oster, do Stockholmu, i u schyłku wieku XVIII został mianowany przez Stolicę apostolską pierwszym wikaryuszem apostolskim Szwecyi po czasach reformacyi. Na budowę kościoła katolickiego otrzymano pozwolenie dopiero w r. 1837.

Dotychczas trwały jednak drakońskie prawa luterskie przeciw tym wszystkim Szwedom, którzyby chcieli zostać katolikami. Prócz wygnania z granic Szwecyi, tracili oni prawo dziedziczenia majątku jakiegokolwiek, nawet po najbliższej rodzinie. Dopiero w r. 1860 zniesiono te rozporządzenia rządowe, krępujące w najwyższym stopniu sumienia Szwedów, i wprowadzono taką tolerancyę religijną, o jakiej wyżej wspomniałem. Nadto wikaryusz apostolski Szwecyi, X. Biskup Bitter, jest uznany przez rządowe władze szwedzkie jako dyplomatyczny przedstawiciel katolików, i jako taki, cieszy się prawem eksterytorialności jak wszyscy posłowie państw zagranicznych.

Przybycie polskich robotników do Szwecyi i praca misyjna dla dobra ich dusz, mojem zdaniem, jest wielkiej doniosłości dla usunięcia uprzedzeń przeciw katolikom wśród ogółu tubylczej ludności. Misyonarz katolicki ma sposobność zetknąć się z luteranami szwedzkimi i mówić z nimi o kwestyach religijnych, do czego sposobności możeby nigdy nie było.

Wiadomo, że polscy robotnicy od kilkudziesięciu lat udają się na robotę do państw niemieckich — jak



Targ na placu Gustawa Adolfa w Malmö.

mówią: »na Saksy.« Z tych »Saksów« dostali się w ciągu ostatniego lat dziesiątka do Danii, wreszcie w r. 1903 sprowadzono ich do Szwecyi. Polacy zajęci w rozmaitych miejscowościach: po dworach i fabrykach, zobaczymy jaki żywot wiodą. Lecz czy i tu Opatrzność Boża nie kieruje ich losami dla wyższych celów? Czy nasi Polacy nie mają spełnić rolę apostolską względem swych dawnych najeźdźców, jak spełnili względem Niemców w okolicach dawniej zupełnie protestanckich, a dziś zaludnionych katolikami?

Wyżej powiedziałem, że misyę w Szwecyi miałem odbyć razem z O. Stolbergiem Trzeba więc było oczekiwać jego przybycia, a tymczasem skorzystać z czasu i zapoznać się z miastem Malmö, które jest trzeciem z rzędu pod względem ludności, bo ma 72.500 mieszkańców. Pierwsza rzecz, która mnie tu uderzyła, był brak jakiegokolwiek żebractwa, żydów i brudu, następnie użycie bicyklów przez wszystkie warstwy ludności i to nietylko dla przyjemności, lecz dla łatwiejszej komunikacyi. Widzę panów i panie, studentów z książkami i studentki, kupców i kupczyków, wyrobników i wyrobnice, spieszących w różnych kierunkach ze swemi narzędziami, pakunkami i t. p., a wszystko pospiesznie się odbywa, widać, że umieją cenić sobie czas. Całe stare miasto otoczone jest kanałem szerokim, lecz poza kanałem znajdują się nowe dzielnice, powoli zabudowywane. Wzdłuż kanału urządzono plantacye. Tuż za kanałem rozpościera się długi i szeroki park »Kung Oskarspark« i przylegający doń cmentarz, raczej do ogrodu podobny. Tam również używają mieszkańcy

spaceru i wytchnienia po pracy. Pełno drzew, kląbów prześlicznych kwiatów, już to przy grobach, już to przy ścieżkach i na gazonach, a pośród nich pomniki jakby raczej do ozdoby służyły. Pięknie to bardzo wygląda, i być może, że dodatnio wpływa na usposobienie mieszkańców używających spacerów pomiędzy grobami, z których zmarli jakby się odzywali do żyjących: *Memento mori — hodie mihi, cras tibi.* (»Pamiętaj, że umrzesz — dziś mnie, jutro tobie«). Lecz że natura ludzka prędko się oswaja z tem, co codziennie spotyka, dlatego nie doznaje żadnych wrażeń. Wolę nasze cmentarze poważne — miasta umarłych — poświęcone groby, które silniej przemawiają do duszy właśnie dlatego, że nie codziennie takowe się widzi.

Z cmentarza zaszedłem do nowego zboru luterskiego »św. Pawła«, położonego na końcu miasta. Oryginalna i piękna budowa. Sześcioboczny budynek o stylu mięszanym, gotycko-romańskim. Pośrodku tego centralnego budynku wznosi się sześcioboczna wieża, otoczona sześcioma mniejszymi, również sześciobocznymi gotyckimi wieżyczkami o okrągłych romańskich oknach. Cała ornamentacya tej budowy jest z kamienia, bardzo delikatnie rzeźbionego i z utrzymaniem wzorowem proporcyi w rozmiarach. Lecz ten kościół pusty, zwykle zamknięty: jest jakby formą bez treści — wymownym obrazem państwowej religii w Szwecyi. Jakżeż zabawny — (jeśli nie był zarazem bolesnym) — przyszło mi przeczytać w »niemieckim kościele«, wznoszącym się w starej dzielnicy Malmö, napis na obrazie Lutra naturalnej wielkości: *Pestis eram vivens, moriens tua mors*

ero, Papa! (»Papieżu! zarazą byłem ci za życia, umierając, śmiercią będę tobie!«) Ten również był próżnym, kult w nich, jak i w innych kościołach, zamarł, bo niema Tego, który martwy budynek Swą obecnością ożywia i ludzi do siebie pociąga.

Ze starych dawniej katolickich kościołów zachował się doskonale św. Piotra, zbudowany w stylu gotyckim z r. 1309, również służy luteranom do zebrań religijnych.

W pobliżu tego kościoła znajduje się *Stortorg* — »wielka targowica.« Jeden jej bok zamyka najwspanialszy gmach z połowy XVI wieku — ratusz w stylu niderlandzkiego renesansu, o podstawie z granitu, reszta z innych ciosów kamiennych. We wspaniałych salach tego budynku zbierali się dawniejszymi czasy bracia najpotężniejszej »Knuts-Gildy«, która od schyłku średniowiecza prawie aż do ostatnich czasów najważniejszą polityczno-miejską rolę odgrywała. Głos każdego z braci »Knuts-Gildy« tyle znaczył wobec każdego trybunału sądowego, co sześć głosów innych świadków.

Wśród portretów rozwieszonych po salach ratusza królów i królewien dostrzegłem i takich, którzy dobrze się zasłużyli wobec państwa i Kościoła katolickiego jak św. Kanuta i Krystyny.

Wspaniała (35 m. długości na 11 m. szerokości) *Knutssaal*, tak zwana od zebrań w niej członków Knuts-Gildy, ze wszystkich najbardziej imponuje swą okazałością i wielkością. Przy zmianie stosunków politycznych i upadku znaczenia pojedynczych miast, także



Ratusz w Malmö. (Zob. str. 129).

i Knutsgilda przestała istnieć. W sali jej zebrań odbywają się dzisiaj uroczyste zebrania rozmaitego rodzaju, a przedewszystkiem bale malmöskiego mieszczaństwa.

Jak w każdem większem mieście są tu i gimnazya, szkoły realne, handlowe, o podobnem jak u nas urządzeniu. Jedna z budowli najbardziej uderzająca w Malmö swem praktycznem urządzeniem, to targowica na Stortorg. Jest to okrągła budowa, do której światło pada przez oszklony dach. Wejdźmy do wnętrza. W pięciu rzędach dokoła olbrzymiej halli, podtrzymywanej żelaznymi słupami, znajdują się stoły marmurowe lub porcelanowe z najrozmaitszemi świeżemi towarami spożywczymi. Za tymi stołami w budkach łatwych do zamknięcia uwijają się kupcy i kupcowe, sprzedające swój towar. Nad tymi budkami są napisy właściciela handlu, oraz ulica i numer jego prywatnego mieszkania. Czy zima, czy lato, czy słońce świeci lub deszcz pada, towary są zabezpieczone od zepsucia, a przytem taki tu porządek, czystość i wygoda dla kupujących, że prawdziwie aż żal mi było, czemu takiego budynku nie ma np. na Małym Rynku, lub placu Szczepańskim w Krakowie.

Nie mniej praktycznie, z wyzyskaniem każdego miejsca: schodów, korytarzy, jest urządzone muzeum. Gmach to zupełnie nowy, już za miastem położony, wśród ogrodu. Co tylko z historyi naturalnej, etnografii, paleografii, przemysłu domowego i historycznych prowincyonalnych zabytków, nieco z rzeźby i malarstwa dało się zebrać — wszystko tu umieszczono bardzo zgrabnie. Rzecz jest dlatego interesująca, ponieważ z małymi wyjątkami, to, co się tutaj znajduje, jest po-

chodzenia szwedzkiego. Ma się więc w miniaturze obraz kultury tego kraju od czasów kamiennej epoki, aż po dnie dzisiejsze. Religijne motywa są wyłącznie z czasów przedhistorycznych i gdy Szwecya była jeszcze katolicką. Z późniejszej doby brak ich zupełnie. Wówczas umysły bardziej były zajęte walką z katolicyzmem, niż podtrzymaniem ducha chrześcijańskiego. Zapewne, że w Malmö znalazłoby się jeszcze więcej rzeczy do oglądania, lecz że towarzysz misyi nadjechał, do poważniejszych zabraliśmy się spraw, jak oglądanie miasta.

II. Misya w Marienbergu i Söbyholmie.

Praca duchowna dla Polaków w Szwecyi musi się naginać do bardzo rozmaitych stosunków lokalnych. Jedni Polacy są zajęci po dworach szwedzkich przy roli: około buraków, kartofli, zboża, w stajniach przy bydle, w stodołach przy młocarniach, sieczkarniach, drudzy w fabrykach różnego rodzaju, najczęściej akcyjnych, gdzie niema bezpośredniego stosunku między robotnikiem a pracodawcą, lecz ich przedziela cały szereg podrzędnych urzędników. Wreszcie inni są zajęci po folwarkach towarzystw akcyjnych fabrycznych. Wpierw więc trzeba porozumieć się, z kim należałoby ułożyć sprawę misyi, wyprosić dzień na nią odpowiedni dla chlebodawców. Gdy już ta sprawa została szczęśliwie ułożoną, występuje druga kwestya: jak się dostać do danej miejscowości. Tutaj fiakrów, wózków, tragarzy, na stacyach kolejowych po większej części niema wcale,

a na mniejszych wie się na pewno, że nie będzie. Czy chlebodawca-luteranin zechce prócz pozwolenia na zwolnienie robotników od pracy, w dniu oznaczonym jeszcze przysłać konie po katolickiego kapłana? Trzecia kwestya: gdzie zamieszkać w czasie misyi? a wreszcie najważniejsza: gdzie urządzić nabożeństwo, gdzie słuchać spowiedzi, odprawić Mszę św.?

Dla nieznającego dobrze tutejszych stosunków, miejscowości i języka szwedziego, trudności powyższe byłyby prawie nie do przezwyciężenia. O finansowej stronie nawet nie wspominam, bo w fundusze bogata Opatrzność Boża postara się przez dobrych ludzi. Lecz któż usunie powyższe trudności? Kto misyę ułoży, aby mogła się odbyć? Jednym z takich opatrznościowych ludzi jest O. Bernard Stolberg, o którym wyżej wspomniałem. Hrabiowski tytuł rodzinny, gładkie obejście i doskonała znajomość szwedzkiego języka, dają mu wstęp łatwy nawet do takich ludzi, którzyby może za nic w świecie nie cierpieli w swym domu katolickiego kapłana, a tem mniej, aby odprawiał u nich nabożeństwa. Zorganizowanie więc misyi, sprawę najtrudniejszą, wziął O. Stolberg na siebie, mnie wypadło zająć się prawie wyłącznie tylko samą pastoracyą.

W dniu 22 września rano wyjechaliśmy obydwaj z Malmö w kierunku północnym na Arlöf, Lomma, Önnerup, Kjeflinge, Dagstorp do Landskrona. Przestrzeń 42-kilometrową przebyliśmy w ciągu dwu godzin. Doznałem pewnego zawodu. Myślałem, że wjedziemy w niebotyczne góry o fantastycznych kształtach: tymczasem widzę, jak daleko okiem można sięgnąć, same

równiny, gdzieniegdzie na widnokręgu zarysowują się lasy, zresztą bogate role uprawne. Wpośród tych łanów rozrzucone mieszkania mniejszych właścicieli ziemskich; prawdopodobnie każdy z nich mieszka na swoim obszarze, gdyż są oddzieleni kilku, lub kilkudziesięciu morgami przestrzeni. Wygląda to malowniczo, bo mieszkania po większej części o czterech lub sześciu oknach z frontu, z gankiem krytym od wejścia, zacienione dzikiem winem, lub innemi pnącemi się roślinami na tle różowo malowanych ścian i dachu z tektury czarno pokostowanej, wyglądają na dworki. Tworzą one podkowę z zabudowaniami gospodarskiemi: stodołą i stajnią. Wszystko poprzedza ogródek owocowy i warzywny, także kląby kwiatów utworzone po obydwu stronach ścieżki prowadzącej do mieszkalnego domu. Po większej części żywy płot lub sztachety otaczają ogród i zabudowania. Prawie wyłącznie tego typu dworki spotykałem w tej okolicy, różnią się tylko tem między sobą, że jedne od drugich są piękniejsze, a ogrody z większym gustem i staraniem urządzone i utrzymane. Gdzieniegdzie bieleją jak śnieg białe kirchy — zbory luterskie, wszystkie na jedną modłę zbudowane z płaską, wysoką, schodkowaną ścianą o gotyckich otworach, gdzie wiszą dzwony wedle stałej melodyi zwołujące lud na śpiewanie psalmów. Obok kirchy znajduje się piękne zabudowanie pastora i jego rodziny, otoczone ogródkiem, opodal cmentarz, który również jak ogród wygląda, tyle w nim kwiatów, krzewów i drzew cienistych.

Lecz krajobraz, jaki się oczom naszym przedstawia, jest właściwością tylko południowych kończyn Szwecyi. Czem jedzie się dalej na północ, widoki zmieniają się. Spotykasz góry, jeziora, rzeki, a pomiędzy niemi rozsiadłe wioski, zamki i miasteczka. — Wreszcie i ten krajobraz znika, zmieniając się w ponure okolice, ubogie, rzadko zaludnione, w które obfituje północna Szwecya...

Wróćmy do celu naszej wycieczki: do Landskrony. Miasto należy do większych w tych stronach, liczy bowiem przeszło 15.000 ludności. Wskutek dobrze urządzonego portu i stałej dwa razy dziennie komunikacyi okrętowej z Kopenhagą, zaledwie $1^1/_2$ godziny odległą parowcem, ruch handlowy jest bardzo ożywiony i wielce przyczynia się do zamożności mieszkańców. To też Landskrona przedstawia miły dla oka obraz, urozmaicony widokiem na morze i w dali zarysowujące się kontury duńskich wybrzeży.

Gdyśmy przyjechali na dworzec, ani jednego nie było człowieka do przeniesienia naszych rzeczy podróżnych. Dźwigał więc sam O. Stolberg, starzec 68-letni, w jednym ręku kuferek z przyborami do urządzenia ołtarza i odprawiania Mszy św., w drugim najkonieczniejsze osobiste bagaże. Żal mi było, że mu nie mogłem dopomódz, bo sam niosłem także prócz przedmiotów dewocyjnych dla rozdania między robotników, także aparat fotograficzny i inne rzeczy konieczne w drodze, boć przecie wybraliśmy się na parę tygodni. Zresztą O. Stolberg nie lubił się nigdy wyręczać w noszeniu

przyborów kościelnych, sam je dźwigał, sam rozkładał, ustawiał ołtarz, zbierał i pakował do kuferka.

Na szczęście od dworca kolejowego nie daleko mieliśmy do hotelu. Takiej schludności około ludzi jak mieszkań, jaką tam zastałem, rzadko spotyka się nawet w pierwszorzędnych hotelach innych państw europejskich. Widocznie wody, mydła i szczotki nikt tu nie oszczędza. Co prawda, cała maszyna hotelowej obsługi, począwszy od portyera, kasyera, do kelnera, wszystko wykonywane przez dziewczęta szwedzkie. Więcej mnie jeszcze zadziwiło, że w tej gospodarce niewieściej ciszę zastałem, najmniejszych swarów nie było — jakby w domu, gdzie kwitnie dobre wychowanie. Tę ciszę, spokój w ruchach, spostrzegłem wszędzie: zarówno w hotelach, jak na dworcach kolejowych i w wagonach. Jeśli słyszy się jakiś głos potężny lub krzykliwe mowy, ruchy gwałtowne lub rubaszne obejście, to można być pewnym, że to nie Szwed, ani Szwedka, lecz sąsiedzi z za morza nawiedzili te strony.

Czas był obiadowy, zeszliśmy do sali jadalnej. Tak jak w pokojach gościnnych, korytarzach, ba nawet u samego wejścia do hotelu, dostrzegłem świeże kwiaty w wazonach — nie obeszło się bez nich i w sali jadalnej. Wedle tutejszego zwyczaju, przed obiadem idzie się do stołu zastawionego zimnemi przekąskami z ryb, drobiu, wędlin, serów, masła, chleba parę gatunków, spożywa się stojąco lub siedząco, jak komu dogodnie, a dopiero zasiada się do stołu na spożycie obiadu, zwykle tylko z dwu dań złożonego. Obiad był



O. Bernard Stolberg T. J. w otoczeniu Polaków na misyi w Söbyholmie. (Zob. str. 140).

przerywany muzyką dzwonków telefonu. Co chwila interesanci zgłaszali się do niego, bo połączenie ma nietylko w samem mieście, lecz i z innymi miastami szwedzkimi, z wioskami, dworami można się porozumiewać przy każdym telefonie, bez potrzeby udawania się do centralnego biura.

W samej Landskronie nie było Polaków; znajdowali się oni na folwarkach akcyjnego towarzystwa wielkiej cukrowni w Söbyholm, która obejmuje swymi interesami całą południową Szwecyę, czyli tak zwane *Skåne*. Dyrektor fakryki przysłał po nas powóz, więc bez trudności, lecz wśród ulewy, wyruszyliśmy na pierwszy w Szwecyi połów dusz. W ciągu pół godziny znajdowaliśmy się już wśród wielkich budowli fabrycznych. Niestety, sala, jaka miała być nam oddaną do nabożeństw, nie była jeszcze dostępną. Polscy robotnicy również znajdowali się jeszcze po folwarkach przy robocie. Wziąwszy kuferek z sutanną i stułą, poszedłem pieszo do poblizkiego Marienbergu, gdzie robotnice polskie znajdowały się w większej grupie. Nieopisana radość malowała się na ich twarzach, gdy je powitałem naszem: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.« Robota właśnie kończyła się: jedne wracały od podoju, drugie od nawozu, inne z gotowalni paszy dla bydła, lub pola buraków. Wszystko spieszyło do swoich baraków: długiego parterowego murowanego budynku, gdzie w kilku izbach mieściło się 48 osób rodem przeważnie z Galicyi, z okolic Bochni i Tarnowa, tylko kilka z Królestwa Polskiego. Były to po większej części dziewczęta od 17 do 23 lat i pięciu

chłopców niżej lat 20. Gdy się wszyscy zebrali oznajmiłem o celu mego przybycia, że jeszcze dzisiaj rozpocznę słuchanie spowiedzi, a tymczasem pozostawiam im czas na umycie, przebranie i wieczerzę. W mgnieniu oka rozbiegło się wszystko do swoich mieszkań, woda, mydło, garnuszki z jadłem były w pospiesznem użyciu.

Ponieważ w Szwecyi nie można kapłanom jeździć w sutannie, lecz tylko w czarnych surdutach, jakich tu używają powszechnie duchowni różnych wyznań, przeto i ja mając przystąpić do funkcyi kapłańskich, przebrałem się tak, jak zwyczajnie u nas lud widzi kapłana. Gdy mnie ujrzeli w sutannie, jeszcze większa radość zapanowała, bo przecież »swojego kapłana« nie widzieli prawie od pół roku i od tego czasu nietylko nie byli u św. Sakramentów, lecz nawet nie mogli wysłuchać Mszy św., bo żadnego kapłana, nietylko »swojego«, w całej okolicy najbliższej niema.

Pomimo zziębnięcia i znużenia po ciężkiej pracy, pomimo, że powieki chciałyby się kleić i ciało wołało o zasłużony spoczynek, dzielne robotnice panowały nad ludzką słabością. Która z nich wysiedzieć nie mogła, stawała, aby nie zdrzemnąć i nic nie uronić ze słów, jakie do nich były skierowane. Pewna praktyka nauczyła mnie co i jak mówić do tego rodzaju dusz silnej wiary i bardzo dobrej woli. Zrobiłem z niemi rachunek sumienia, ułatwiłem wzbudzenie żalu za grzechy i siadłem w osobnej izbie do słuchania spowiedzi. Nie wstałem aż 35 osób wysłuchałem, resztę pozostawiając na dzień następny.

Minęła godzina 11-ta w nocy gdym powracał, z Marienbergu do Landskrony. Był jeszcze czas kanoniczny do wypicia herbaty przed ułożeniem się do snu.

Nazajutrz, t. j. w niedzielę 23 września, wstałem przed godziną 5-tą rano, i niezwłocznie końmi cukrowarni wraz z O. Stolbergiem udałem się znowu do Söbyholmu.

Tym razem olbrzymia sala w jednym z tamtejszych budynków była przygotowaną dla naszego użycia. Podczas gdy O. Stolberg zajął się ustawieniem ołtarza, ja siadłem przy stole dla słuchania spowiedzi. Penitentek i penitentów nie brakowało. Zaczęli się schodzić ludzie z czterech folwarków okolicznych, a więc nietylko nie wyspowiadani jeszcze w Marienbergu, lecz także z Flygeltofta, Higeshögu i Weibuelsholmu.

O. Stolberg chętnie mówi z ludem po polsku, lecz tak, że lud tylko w części go rozumie, a resztę się domyśla. Wobec niedostatecznej znajomości języka, nie odważa się on słuchać spowiedzi Polaków, chyba w niebezpieczeństwie śmierci, gdy jest wezwany do umierającego. To też i tutaj nie spowiadał, lecz za nas się modlił o łaskę potrzebną do godnego przyjęcia św. Sakramentów, czekając z odprawieniem Mszy świętej, aż ostatniej osoby wysłucham spowiedzi.

Gdy spora partya ludzi skończyła spowiedź, wyszedłem ze Mszą św., na której jedni komunikowali, drudzy przygotowywali się do przyjęcia św. Sakramentów. Aby im to zadanie ułatwić, miałem odpowiednią naukę po Mszy św. i znowu zacząłem słuchać spowiedzi. Trwały one dość długo, to też druga Msza św.,

odprawiana przez O. Stolberga, rozpoczęła się dopiero o godzinie 1½ po południu, w czasie której jeszcze spowiadałem. Do Stołu Pańskiego przystąpiło w tym dniu 99 osób. Spowiedzi było więcej, lecz nie wszyscy byli na czczo, aby mogli komunikować.

Na zakończenie nabożeństwa znowu przemówiłem do obecnych. Przedstawiłem im, że Szwedzi zdradą odpadli od Kościoła katolickiego, i jako luteranie pustoszyli Polskę. »Lecz dzisiaj otwierają swój kraj gościnnie, dając wam sposobność do zarobku. Może po raz pierwszy spotykają oni w większej grupie katolików, a was użyła Opatrzność Boża, abyście dali im swoim przykładem obraz życia prawdziwie katolickiego. Jeśli zawsze powinniśmy zasad wiary naszej bronić i wedle nich żyć, to tutaj, na obcej ziemi, podwójnym jest to naszym obowiązkiem. Tak będą sądzić Szwedzi o Kościele katolickim, jakim go zobaczą w życiu waszym. A jeśli wasz przykład dobry, przyczyni się do otworzenia oczu Szwedom luteranom na prawdę, znajdującą się w Kościele katolickim, jeśli obcowanie z wami, sam widok, jak wypełniacie pobożnie praktyki religijne, przyczyni się do ich nawrócenia: kiedyś otrzymacie w niebie nagrodę nietylko za cnotliwe życie, ale i za dobry przykład — będący jakby apostolstwem w kraju luterskim.«

Wiedząc jak lud nasz ściśle przestrzega przykazania kościelne dotyczące postu i wstrzymania się od robót w dni świąteczne, oznajmiłem im dla spokoju ich duszy, że Stolica św., bacząc na wyjątkowo trudne zachowywanie przykazań kościelnych w tak na wskroś

protestanckiem królestwie, zezwoliła na pracę w Szwecyi w uroczystości: Bożego Ciała, Św. Ap. Piotra i Pawła, Nawiedzenia Najśw. Panny, WW. Świętych i Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny, które to święta przenoszą się tutaj na najbliższą tych świąt niedzielę; nadto ograniczyła wstrzymanie się od mięsa tylko do piątku przez cały rok, a nadto Środy popielcowej, Wielkiego Czwartku i Wielkiej Soboty. Z wyjątkiem Wielkiego Piątku, nawet w tych dniach, kiedy nie wolno używać mięsa, wolno używać rosołu, okrasy smalcem, słoniną i innymi tłuszczami. Mleka i masła wolno im używać codziennie, nawet w Wielki Piątek. Chociaż wiem, że większość Polaków i Polek na obczyźnie nie zechce korzystać z tak rozległej dyspensy, jednak było moim obowiązkiem im to powiedzieć, aby nie uważali sobie tego za przekroczenie przykazania kościelnego, od czego powagą Stolicy św. zostali zwolnieni. [1])

Objaśniłem im także, jak mają na wypadek ciężkiej choroby ratować swą duszę modlitwą i wzbudzeniem serdecznego żalu za grzechy. Zachęciłem ich

[1]) Pewien Szwed zamożny opowiadał O. Stolbergowi następujące zdarzenie. Miał on u siebie kilkudziesięciu Polaków na robocie w polu. Jednego z nich wziął do pomocy na polowanie. Przy tej sposobności dał mu kawałek chleba z mięsem. Polak nie chciał jeść, bo to był piątek. »To weź sobie i schowaj na inny dzień« — odpowiedział Szwed. Chociaż był luteraninem, bardzo się zbudował z postępowania Polaka, lecz nie rozumiał, co to post znaczy. Dopiero O. Stolberg mu wytłumaczył, dlaczego Kościół katolicki post w pewne dnie nakazuje wiernym. Dla Szweda była to nowość; pierwszy raz poznał ten przepis od Polaka i bardzo mu się podobało przykazanie naszego św. Kościoła katolickiego.



Polki zebrane na nabożeństwo w sali fabryki cukru w Söbyholmie d. 23 września 1906 r.

przytem, aby w razie zasłabnięcia dawali znać O. Stolbergowi do Norköping, gdzie stale mieszka, lub księdzu Muekenhirn, katolickiemu kapłanowi, narodowości szwedzkiej, mieszkającemu obecnie w Stockholmie, lub Malmö, a umiejącemu trochę po polsku.

Wreszcie na pamiątkę rozdałem koronki tym, którzy ich nie mieli, innym obrazki i medaliki, z czego wielka panowała radość, bo tych dewocyjnych rzeczy za żadną cenę niema gdzie tu nabyć.

Wdzięcznościom i dziękowaniom nie było końca, tak, że aż dziwił się temu O. Stolberg, nie znając naszego ludu i jego serca, pokrytego grubą osłoną. Trzeba było formalnie uciekać z Söbyholmu, bo i Szwedzi patrzali z podziwem na tę ich wiarę i szacunek, jakim otaczają swoich kapłanów. Musieliśmy unikać dalszych miłych demonstracyi, bo to kraj, w którym katolicyzm jeszcze się tylko toleruje, nie trzeba drażnić uczuć naszych gospodarzy.

Do Landskrony przybyliśmy około godziny 4 po południu. Ledwie mieliśmy czas zabrać swe rzeczy z hotelu, spożyć śniadanie i obiad zarazem, bo już przed godziną 5 pociąg odchodził, którym w dalszą puściliśmy się drogę na misyę w Zireköpinge.

III. Misye w Ziręköpinge i Belteberga.

Zaraz na drugiej stacyi za Landskroną, w Billeberga, wysiedliśmy, i oczekiwali parochodu idącego w stronę północną. Pociągi się krzyżowały, była z naszej strony mała dystrakcya i pociąg odjechał bez nas. Co tu robić! Konie inspektora Jepsona z Zireköpinge będą na nas czekały, a tu parochód następny dopiero za kilka godzin nadejdzie; niepodobna na czas przyjechać, misya się zepsuje, będzie rozgoryczenie, zawód.

Lecz od czego wygodne połączenie telefoniczne? Dzięki uprzejmości dyrektora stacyi, porozumieliśmy się z zarządem dworu Zirökeping — z szefem stacyi, do której po nas zostały wysłane konie i stanęło na tem, że mamy zaczekać aż je sprowadzą do Billeberga. Nie czekaliśmy na tej stacyi dłużej nad godzinę. Zajechał dworski wózek ze służbą w liberyi i wśród pięknego jesiennego wieczora przebyliśmy sporą część łanów szwedzkich, doskonale uprawianych, zanim dostaliśmy się do Zireköpinge. Jedziemy długą aleą lipową i innych starych liściastych drzew. Wśród wielkiego parku rozrzucone piątrowe i parterowe murowane budynki mieszkalne i gospodarskie. Konie zatrzymały się przed najokazalszym z nich, lecz dość skromnie zbudowanym. Tu mieszkanie inspektora cukrowni, który zarządza kilku folwarkami do niej należącymi. Pana domu, Jepsona, nie zastaliśmy. Gościli nas zarządczyni i elew

gospodarski, młody, dobrze wychowany Szwed. Przyjęcie było bardzo delikatne, bo zostawiono nam zupełną swobodę ruchów i niczem nie byliśmy krępowani w naszej pracy misyjnej. Natychmiast udałem się do baraków, w pobliżu położonych, gdzie zastałem już zebranych 9 chłopców i 28 dziewcząt, prawie wszystko młodzież od 16 do 21 lat, pochodzącą z okolic Krakowa, głównie z Kamienia, Rybny i Poręby Żegoty. Niemało zdziwiłem się, gdy mnie w tem kole rodaków witano jako znajomego... Oto dni kilka, rok przedtem, bawiłem w Porębie, wezwany do umierającego X. Arcybiskupa Szembeka; przy tej okazyi gdzieś mnie ludzie widzieli, teraz poznali, i oto znajomość. A chociaż ona była bardzo daleką, jednak na obczyźnie wystarczającą na zdobycie zupełnego zaufania, że prawdziwym jestem kapłanem polskim. Bardzo mi to ułatwiło do zapanowania odrazu nad sytuacyą. Weszliśmy do największej czyściutkiej izby, gdzie dziewczęta ustawiły stół, chustkami, zielenią, kwiatami, obrazkami wyjętemi z książek do nabożeństwa ozdobiły miejsce przeznaczone na odprawienie Mszy św. Było tam ubożuchno, lecz bardzo chędogo, a dobre serca polskich dziewic zapewne milsze były Panu Bogu od drogocennych makat, gdzieindziej zdobiących Jego ołtarze.

Tak jak w poprzedniej miejscowości po krótkiej modlitwie rozpocząłem z ludem przygotowanie do Spowiedzi św., poczem zaraz słuchałem przystępujących do Sakramentu Pokuty aż do godziny 9½ wieczór, resztę odkładając na dzień następny.



Polacy w Zireköping w dniu nabożeństwa dla nich 24 września 1906 r.
(Zob. str. 146).

Ponieważ był to dzień roboczy (poniedziałek 24 września), a bez koniecznej potrzeby nie chcieliśmy nadużywać łaskawości chlebodawców, ułożyliśmy, że całe nabożeństwo zakończy się przed godziną 10, poczem lud będzie mógł udać się do zwykłych swych zajęć.

Tym razem pierwszą Mszę św. odprawił O. Stolberg, ja słuchałem spowiedzi, a gdy ukończyłem, wyszedłem do ołtarza. Służył mi do Mszy św., jak zwykle, O. Stolberg, do Komunii św. przystąpiło 37 osób. Po wspólnych modlitwach zachęciłem młodzież do wytrwałości w cnocie, niech jedno drugie strzeże przed upadkiem, bo tu upaść łatwo, skoro niema czujnego oka ojca, matki, księdza proboszcza, ale, niestety, niema też ktoby z upadku podniósł, poradził, upomniał z miłością, jak bywa we wsi rodzinnej. Wspomniałem im też i o tem, co mówiłem w Söbyholmie do ludzi i dałem kilka praktycznych wskazówek, jak sobie mają radzić w różnych duchowych trudnościach i niebezpieczeństwach. Niewielka wprawdzie była tu gromadka, lecz wiele sprawiła nam pociechy swojem poczciwem zachowaniem się i przykładem, jaki w tej miejscowości dają. Żadnej nie było tu skargi, wszyscy zadowoleni, zarówno robotnicy, jak chlebodawcy. Poczciwe dziewczęta, jak pszczółki, co zbiorą, zanoszą do ula, tak one, co zarobią, odsyłają do rodziców, jedne, aby długi spłacać ciążące na gruncie, drugie, aby nowy kawałek dokupić, inne dla siebie na posag składają, lub na utrzymanie młodszego rodzeństwa, którego jest wiele, a już wszystko sieroty, bo rodzice pomarli...

Wobec wczesnego zakończenia naszych nabożeństw, mieliśmy czas pogawędzić z sobą i wypytać o robotnicze stosunki. W Zireköpinge, podobnie jak w innych miejscowościach, każdy z robotników i robotnic prócz bezpłatnego mieszkania i opału do gotowania jadła, otrzymują codziennie po jednym litrze mleka i 24 funtów kartofli na tydzień. Chleb muszą sobie kupować (1 koronę tygodniowo każda płaci za chleb), a jest on stosunkowo znacznie droższym w Szwecyi, niż u nas, podobnie i inne wiktuały kupują sobie robotnicy ze swej dziennej zapłaty. Jednakowoż przy ich oszczędności w używaniu pokarmu, i prawie niemożności kupienia wódki, której w Zireköpinge nawet pić zakazano, nie trudno im przychodzi zebrać stosunkowo znaczniejszą kwotę (około 300 koron w. a. za sezon). Zwykle przychodzą robotnicy do Szwecyi z końcem marca lub początkiem kwietnia, i pozostają tu do końca listopada, lub pierwszych dni grudnia. W pierwszych dwu miesiącach, t. j. w kwietniu i maju, chłopcy otrzymują 1 koronę i 35 ör szwedzkich, dziewczęta 1 koronę. [1]) W następnych miesiącach chłopcy po 1 koronie 60 ör, dziewczęta 1 kor. 35 ör dziennie. Prócz tego otrzymują oni zwrot kosztów podróży, jeśli pracują od kwietnia do końca listopada.

Jedna ze starszych dziewcząt, Antonina Knapik, cnotliwa, roztropna i energiczna, wyuczyła się tak dobrze po szwedzku, że na własną rękę kieruje tą całą

[1]) 1 korona szwedzka ma 100 ör, co równa się 1 koronie 33 halerzom waluty austryackiej.

gromadką roboczą bez pośrednictwa »aufsehera« (którym w innych miejscowościach jest zawsze jakiś Prusak), sama prowadzi układy z chlebodawcą, rachunki, wypłaty i t. p. sprawy. Może też dlatego dziwnie miła panowała tu atmosfera wśród naszego ludu, który na obczyźnie, jeśli niema wódki, zgorszenia, i tych, co umieją jednych przeciw drugim podjudzać dla własnych korzyści — trzymają się solidarnie i strzeże jeden drugiego przed złem.

Gdy czas był robotnikom iść do zwykłych zajęć, myśmy się udali do dworku na śniadanie. Pana domu wcale nie widziałem, bo przyjechał późno w nocy, a nazajutrz, gdy odprawiałem nabożeństwo, wyjechał za interesami. Także i zarządczyni domu wyjechała do miasta; zostaliśmy więc sami z O. Stolbergiem na gospodarstwie. Było jednak wszystko zadysponowane, co i kiedy służba ma nam dawać. Mieliśmy czas dostateczny wypić śniadanie i spożyć obiad o godzinie pierwszej, bo do następnej stacyi misyjnej Belteberga, dopiero po południu mieliśmy się udać, skąd obiecano przysłać nam konie.

W czasie tej misyi, o ile możności, unikaliśmy wszystkiego, coby mogło drażnić luterskie przesądy, a więc także nie zawsze występowaliśmy jako Jezuici, lecz wogóle jako kapłani katoliccy, oddający się duszpasterstwu. Bacząc jednak na tutejsze zwyczaje, gdzie ludzie w przeciwieństwie do Norwegii wzajemnie się chętnie tytułują, i tytuły jeszcze popłacają, i my postanowiliśmy dostosować się do tej mody przez użycie tytułów nam przysługujących, których jednak zwyczajnie

jako zakonnicy nie używamy. O. Stolberg ma nawet podwójne bilety szwedzkie, jedne z tytułem hrabiowskim, drugie jako pastor Stolberg. [1]) To też nazywałem przy Szwedach Ojca Stolberga: *Herr Graf*, on mnie tytułował *Herr Doktor* i tak się też prezentowaliśmy w salonach. Dzięki komedyi z tytułami, wszędzie traktowano nas niezawodnie lepiej, niż mają w zwyczaju obchodzić się ze swoimi pastorami, nieraz uważano sobie za zaszczyt gościć w swym domu O. Stolberga, co wszystko razem wzięte, bardzo nam ułatwiało pracę apostolską w kraju na wskróś protestanckim, gdzie jeszcze dużo uprzedzeń przeciw katolickiemu Kościołowi i zabobonna trwoga przeciw »papistom« panuje.

Kilkogodzinny wypoczynek w Zireköpinge bardzo nam się przydał zarówno dla ciała po krótkiej lecz forsownej pracy, lecz bardziej jeszcze dla duszy zakonnej, również potrzebującej czasu skupienia, które podobną funkcyę w niej sprawia, co klucz przy zegarze nakręcający sprężynę, aby wskazówka na białej tarczy nie ustała w swym biegu.

Nasze rozmyślania i pacierze kapłańskie przeciągnęły się do godziny 4 po południu, t. j. do czasu, w którym powóz zajechał wysłany przez p. Augusta Kinch'a, właściciela majątku Belteberga. Rącze rumaki zawiozły nas w przeciągu niespełna godziny po doskonałych drogach, wśród pól i gajów, w długą aleę lipową, poprzedzającą pałac państwa Kinch'ów. Trzy równych

---

[1]) W Szwecyi pastorem nazywają każdego duchownego bez różnicy, czy jest katolikiem lub jednym z sekt protestanckich.

rozmiarów dwupiątrowe skrzydła pod prostym kątem łączą się z sobą — ocienione dzikiem winem, spinającem się od ziemi do dachów, tworzą okazałą pańską rezydencyę. Strona otwarta tej podkowy zwróconą jest ku wielkiemu dziedzińcowi; — w dali widać stajnie, a między niemi a pałacem, pośrodku dziedzińca, znajduje się gazon, w nim ogrodzenie dla cieląt rasowych. Druga strona wszystkich trzech skrzydeł zwrócona jest do wielkiego parku, w stylu angielskim.

Gdyśmy stanęli przed głównem wejściem pałacu, służba w liberyi wprowadziła nas do apartamentów pierwszego piętra, gdzie pan domu nas oczekiwał. Zastaliśmy u niego trzech innych panów, przy czarnej kawie pitej po obiedzie, niebawem ukazała się pani domu, rodem Dunka; zapoznanie było bardzo łatwe i swobodne, dzięki nadzwyczajnej uprzejmości gospodarzy. P. Kinch wiedział już o celu naszego przybycia, i nietylko nic nie miał przeciw naszej misyi, ale i owszem, bardzo był zadowolony, że przybywamy z pociechą duchowną dla jego robotników polskich. Po chwili rozmowy sam zaproponował ich odwiedzenie i towarzyszył nam aż do baraków. Mieszczą się one już poza obrębem gospodarskich zabudowań, prawie w polu, lecz przy jesiennej prześlicznej pogodzie, przechadzka była miłą.

Polacy i Polki z Limanowy i jej okolicy, wszystko młodzież, razem ich było 21 osób. Radość malowała się na ich twarzach nietylko z naszego przybycia, lecz może jeszcze więcej z tego, że ich »pan tak respektuje naszych księży« chociaż nie jest katolikiem.



Wnętrze prowizorycznej kaplicy w Oskarström podczas misyi w roku 1906.
O. Stolberg w otoczeniu Polaków i Czechów po nabożeństwie d. 26 września.
(Zob. str. 157 i nast.).

Po obejrzeniu baraków, zupełnie wystarczających na letnie mieszkania dla robotników, O. Stolberg odszedł z p. Kinch'em, ja pozostałem między rodakami; zaraz miałem dla nich odpowiednią naukę, po której rozpocząłem słuchać spowiedzi. Nie trwała ona długo, trzeba było spowiedź niektórych penitentów odłożyć do dnia następnego, bo kolacyę zapowiedziano na godzinę 7$^1/_2$, a w domu obcym nie można nadużywać gościnności, trzeba stanąć do stołu na czas wyznaczony.

Cały wieczór spędziliśmy w gronie gościnnych gospodarzy, a patrząc na dobre ich i uczynne serca, aż żal było, że nie są katolikami. Gdyśmy się rozchodzili, pan domu sam zaprowadził do gościnnych pokoi znajdujących się na drugiem piętrze pałacu. Wiedziano, że nazajutrz bardzo rano wypadnie mi udać się do baraków, więc odpowiednie wydano służbie rozkazy, abym nie potrzebował jej szukać w razie jakiej potrzeby.

Po ukończeniu słuchania spowiedzi miałem Mszę świętą i komunikowałem całą polską gromadkę ludzi. O. Stolberg mógł wcześniej odprawić Najśw. Ofiarę, bo całe nabożeństwo z nauką, wskutek niewielkiej stosunkowo ilości osób prędko się zakończyło. Zresztą pilno nam było zdążyć na pociąg idący w dalszą stronę ku północy, gdzie w fabryce juty oczekiwali również Polacy i Czesi naszego przybycia.

Przedtem jednak pragnął p. Kinch pokazać mi swoją oborę, która mnie zainteresowała już z samego przeglądu ksiąg gospodarskich, dotyczących chowu bydła, ilości i wydatności mleka, kosztów produkcyi, utrzy-

mania i t. p. rzeczy. Jako syn majętnego kupca, pan August Kinch nie bawi się gospodarstwem, lecz racyonalnie prowadzi tę jego gałęź, która mu najwięcej może przynieść dochodu. Postawił też chów bydła w swoim majątku na takiej stopie, na jakiej podobno nikt mu nie wyrówna, a pewnie najwyżej stoi w całej południowej, a więc najbogatszej części Szwecyi. W księgach gospodarskich nietylko genealogia każdej sztuki bydła jest podaną, lecz i tablice statystyczne najdokładniejsze, dotyczące danego pokarmu, ilości mleka z podoju dziennego, jego wydatności skontrolowanej centryfugą i t. d. Wszystko to jest kontrolowane przez urzędnika Tow. gospodarskiego południowej Szwecyi, który nie zapowiadając przybywa na tę inspekcyę. Cel zaś jest ten, aby możliwie największą mieć gwarancyę co do doskonałości hodowli i jej wyników.

Przypatrzmy się z blizka tej oborze. Zanim weszliśmy do stajni, p. Kinch prosił, abym za jego przykładem umaczał obuwie w sublimacie, znajdującym się w naczyniu przed drzwiami, i w ten sposób zabezpieczyć się od wprowadzenia bakcylli gruźlicznych do krów. Tak wielką zapobiegliwość w tym względzie tutaj roztaczają, że nawet dziewczęta przeznaczone do dojenia bydła, zanim się udadzą do krowiarni, wstępują do gabinecików w tym celu dla nich urządzonych, tam przebierają się w suknie służące tylko do podoju i myją sublimatem ręce. Po ukończeniu zajęcia znowu się przebierają w codzienne swe ubrania. Powtarza się to pięć razy dziennie, bo pięć razy zachodzi potrzeba dojenia krów.

Stajnia ma wiele światła, okna podwójne, dobrze zabezpieczone, cała wyłożona cementem. Dwa razy do roku czyszczą całą stajnię sublimatem, aby ochronić od zarazy tuberkulicznej. Nawóz wywozi się nie na otwarte miejsce, lecz do basenu cementem wyłożonego, zamkniętego szopą, aby nie tracił amoniaku, tak bardzo przydatnego w rolnem gospodarstwie.

Zresztą stajnia najzwyczajniejsza, żłoby nizkie, do nich dają najczęściej parzoną paszę zmieszaną z siekanymi burakami. Przyrządy do siekania i parzenia paszy bardzo praktyczne a pojedyncze, znajdują się w przedsionku do tej stajni. Krowy są rasy holenderskiej. Trzeba być znawcą, aby ocenić ich wartość rasową. Wystarczy powiedzieć, że na 71 sztuk bydła każda daje dziennie przy pięciorazowym podoju 35—45 litrów doskonałego mleka, a jedna z tych krów dawała dziennie aż 48 litrów! Nic więc dziwnego, że cała okolica ubiega się o zdobycie dla swoich stajen chociażby jeden okaz takiej obory. Na gospodarczą wystawę w Norköping, jaka się odbyła w drugiej połowie lipca 1906 r., p. Kinch sprowadził 26 sztuk cieląt $1\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{2}$ rocznych, z których sprzedał 17 sztuk za 25.000 koron szwedzkich, czyli mniej więcej 33.000 koron waluty austryackiej.

Cyfry powyższe nie są wyjęte z pamięci, lecz z drukowanych urzędowych sprawozdań wystawy i ksiąg kontrolowanych, jakie mi p. Kinch dał do dyspozycyi. Praca naszych Polaków przy takiego rodzaju gospodarstwie, niepodobna, aby nie wywarła na nich dodatniego wpływu, przynajmniej na niektóre jednostki

bystrzejszego umysłu, umiejące przyswajać sobie rzeczy dobre, widziane zagranicą. A przedewszystkiem może ich nauczyć poszanowania tych darów i umiejętnego wyzyskania, jakie Bóg złożył do rąk ludzi, powtóre użycia czasu nie dla zabawki gospodarskiej, lecz dla rozumnej i wytrwałej pracy, jakiej oboje państwo Kinch się oddają.

Niezwłocznie po oględzinach obory podano śniadanie, zajechał powóz, i żegnani serdecznie przez właścicieli Belteberga, odjechaliśmy na najbliższą stacyę kolejową, zaledwie 10 minut drogi odległą od dworu. Był to dzień 25 września, pięknej jesieni.

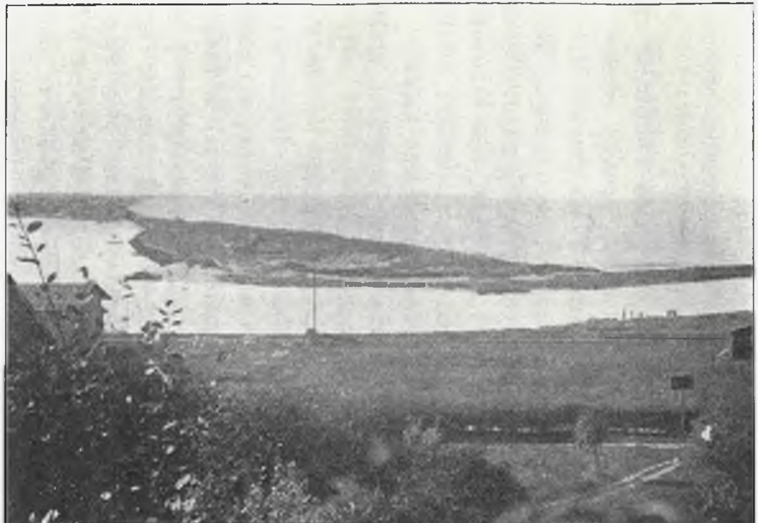
IV. Misye w fabryce Oskarström i we dworze Walhall.

Pociąg zmierzał w kierunku północnym, kolej wiła się nad brzegami zachodniej Szwecyi, mieliśmy więc prawie bezustannie widok na morze i nadbrzeżne portowe miasta Engelholm z uroczem kąpielowem miejscem Skelderwiken, Båstad, Halmstad. W tem ostatniem mieście przesiedliśmy się do innego pociągu, idącego w kierunku północno-wschodnim, i po pięciogodzinnej podróży przybywamy do Oskarström.

Wśród gór i lasów, nad brzegiem rzeki, powstały wielkich rozmiarów zakłady fabryczne juty (skóry na miechy), zajmujące pracą kilka tysięcy ludzi obojga płci, różnej narodowości. Większość robotników i robotnic są Szwedzi, lecz pościągano tu także Duńczy-

ków, Niemców, Czechów, Morawian, Polaków. Po jednej stronie toru kolejowego i rzeki, na stokach gór wznoszą się piękniejsze budowle w rozmaitych stylach drewniane i murowane, jakby wille wśród ogrodów i drzew wysokich. Widać, że to wszystko niedawno powstało, bo dziki charakter terenu i boru jeszcze nie wyciętego zachował się, tylko naprędce porobiono ścieżki i wężowatą drogę, wijącą się wśród domostw, robiących razem wrażenie jakiegoś uzdrojowiska. Po drugiej stronie na równej przestrzeni widzimy kontrast do przeciwległej dzielnicy Oskarströmu. Wielkie kamienice rzędem stoją w ulicach krzyżujących się z sobą, monotonia kompletna w ordynarnym stylu budowli. To raczej koszary, nie mieszkania robotników, aby je zapełnić istotami ludzkiemi, skazanemi na ciężką pracę obsługiwania maszyn fabryki wśród łoskotu kół, kurzu i wyziewów niemiłej woni unoszących się z przerabianego materyału.

Na dworcu oczekiwali naszego przybycia: Czech, Polak i Niemiec — wszystko katolicy. Zabrali nasze rzeczy i zaprowadzili do hoteliku, wysoko położonego wśród innych will. Od nich dowiedzieliśmy się, że Polaków jest tu na robocie od dłuższego czasu przeszło 50 osób, a w ostatnich dniach sprowadzono 46 Czechów i Morawian. Przed ukończeniem dziennej pracy: t. j. przed godziną 7, nie będziemy mogli nikogo ściągnąć do prowizorycznej kaplicy, postanowiliśmy więc skorzystać z czasu i złożywszy rzeczy w hotelu, udaliśmy się z »wizytami.« Poczciwy Czech, człowiek żonaty, obiecał nas na nie prowadzić, lecz wpierw



Kanał i wybrzeże w Skelderwiken, miejscu kąpielowem.
(Zob. str. 164).

pokazał nam kaplicę, urządzoną bardzo starannie w kręgielni. Miejsce jeszcze najbardziej przyzwoite w fabrycznych budowlach, a przytem położenie dogodne, bo znajduje się przy drodze między fabryką a kompleksem budowli przeznaczonych na mieszkania dla robotników i robotnic. (Zob. rycinę na str. 153).

Celem »wizyt« było zachęcenie i ułożenie czasu Chrztu nowonarodzonych dzieci pewnej czeskiej rodziny i trzech wolnego stanu Polek, wyrobnic. Najpierw udaliśmy się do Czeszki. Ta z radością nas powitała; biedna ledwie trzymała się na nogach wskutek osłabień z pracy, chorób i niewygód, lecz rozweselone miała oblicze, iż jej dziecina będzie mogła otrzymać Sakrament Chrztu św. z rąk katolickiego kapłana. Zajęła się więc zaraz zaproszeniem kumów i urządzeniem rodzinnej uroczystości.

Od tej czeskiej rodziny udaliśmy się do Polki, nie więcej mogącej mieć lat nad 18. Biedactwo nieopisanie przykry sprawiło widok. W nędznej izdebce, gdzie prócz barłogu i maleńkiej kołyski z kwilącem dziecięciem, prawie żadnych nie było sprzętów, stała drżąca od wstydu i wyniszczenia matka dziecka. Ostatni grosz, jaki uskładała, wydała podczas swej słabości, teraz swój majątek na öry (halerze) liczyła, a jedyną troską jej było uchronić dziecię od głodowej śmierci, bo w piersi jej pokarmu zabrakło. Pytamy: »Gdzie twój narzeczony?« »Uciekł do Ameryki« — z jękiem wyrzekła i rękoma zakryła twarz zalaną łzami. Jak mogliśmy, pocieszyli nieszczęśliwą istotę i zachęcili, aby dziecko jeszcze tego wieczoru do Chrztu przyniosła.

Dwie następne podobne do tej ostatniej odbyły się »wizyty«, poczem niezwłocznie udałem się do kręgielni, bo głos syreny silnym echem rozległ się w powietrzu, zwiastując zakończenie pracy. Spora garstka Polaków i Czechów zebrała się pod wieczór na miejsce rozpoczęcia misyi i słuchała chętnie długiej nauki, jaką do nich miałem. Niezwłocznie rozpocząłem słuchać spowiedzi tych, co byli przygotowani, podczas gdy O. Stolberg chrzcił dzieci i spisywał odpowiedni dokument.

Była godzina 10 wieczór, gdyśmy powrócili do hotelu, dłużej nie można było pracować, bo się już wszyscy rozeszli.

Nazajutrz (26 września) wstaję zaraz po godz. 4 rano i spieszę wśród mroku do kręgielni w nadziei, że zastanę wielu kandydatów do spowiedzi. Tymczasem jakiż spotkał mnie zawód! Nietylko ani jednej duszy nie znalazłem, ale i kręgielnia zamknięta, na dworze jeszcze dość ciemno, wilgotno i zimno. Aby uniknąć przeziębienia, postanowiłem przechadzać się po drodze, lecz nie daleko odstępować — jak strzelec stojący na posterunku, kiedy spodziewa się zwierzynę spotkać. Długo modliłem się na tej pustyni, zanim głos syreny ponownie odezwał się, lecz teraz zwołujący lud do pracy. Zaczęli też ściągać robotnicy i robotnice, przeważnie wesoła młodzież, z rozmaitych zaułków tej górzystej okolicy. Śmiechy — czy szydercze spojrzenia i wyzwiska do mnie skierowane, a później kamienie na Polaków i Czechów rzucane, gdy gromadzili się

około otworzonej tym razem kręgielni, dały mi namacalnie poznać, jaka atmosfera panuje w tej stacyi.

Siadłem do prowizorycznego konfesyonału. Czekałem długo zanim jaka dusza odważyła się przystąpić z tych, które się zgromadziły. A i tych obecnych było bardzo niewielu w porównaniu z tem, coby być powinno. Po Mszy św. znowu słuchałem spowiedzi, a gdy je ukończyłem, O. Stolberg miał Mszę drugą, po której miałem naukę. Wpierw jednak wezwano mnie do 17-letniej dziewczyny, która nagle ciężko zasłabła — i wczoraj wieczorem ledwie słabe oznaki życia dawała. Nie przebierając się w szaty kościelne, bez światła, bez dzwonka, w kapeluszu i płaszczu potajemnie zaniosłem jej Najśw. Sakrament. Szczęście dla niej, że oprzytomniała, mogła się spowiadać i przyjąć św. Sakramenta umierających. Nosi się tutaj Najśw. Sakrament tylko potajemnie, aby uniknąć zniewagi ze strony luteranów i niedowiarków, jakich pełno w Szwecyi, a cóż dopiero w takiej jak Oskarström miejscowości!

Wszystkich osób, które przystąpiły do Stołu Pańskiego, było zaledwie 18 na przeszło 100 katolików! Co prawda, Czesi i Morawianie świeżo przybyli, wyjechali ze swej parafii wszyscy po przystąpieniu do Sakramentów św., nie czuli więc potrzeby teraz się zbliżać. Ale Polacy! Ci tu znajdują się od kilku i kilkunastu miesięcy, bez żadnej pomocy duchownej, wśród zepsucia, zgorszenia i nędzy. Rzecz dziwna, że nawet nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Dwie Polki, starsze wiekiem, pytają mnie: »Gdzie my jesteśmy, Ojcze duchowny, na północ, czy na południe od Galicyi? My

się wybrały *do Prus* do robót w polu, a tymczasem agent do tych Niemców nas przywiózł i we fabryce kazali pracować.« Tłumaczyłem im, że to nie »Prusy« lecz Szwecya, i nie Niemcy są tutaj, lecz Szwedzi.

Jedynem ich pragnieniem było stąd uciec, »bo dają nam zarobku po jednej koronie dziennie, jeśli jest robota, to jest, jeśli jest woda w rzece. Gdy deszczy nie było, i wody zabrakło, tylko pół korony dostawaliśmy. A za to wszystko trzeba i mieszkanie opłacić i żywność. Tyle mamy, aby z głodu nie umrzeć, ale nic się nie zarobi, nawet tyle, aby uskładać na podróż i uciec stąd do domu. Szwedom więcej dają, bo oni sami się zgłosili, a nas tu z drugiej ręki wzięto.«

»Któż was tu sprowadził?« — pytam. »Agent pruski, bo ta fabryka, to nie za szwedzkie, ino za berlińskie pieniądze w roku 1890 zbudowana i Prusacy do niej ściągają ludzi.«

Pomyślałem: — wszak to biali niewolnicy! Któż urządzi krucyatę przeciw tym handlarzom białego żywego towaru? Afrykanami zajmuje się Europa, aby ich z niewoli arabskiej wybawić, a niegodziwemu handlowi i wyzyskowi w samej Europie, czy nikt tamy nie położy?...

* * *

Z sercem zbolałem opuszczałem fabrykę w Oskarström i wraz z O. Stolbergiem siedliśmy około 12-tej na pociąg idący w południową stronę Szwecyi przez te same miejscowości, któreśmy poprzedniego dnia widzieli. Około godz. 3 po południu zatrzymaliśmy się

w Engelholm zaproszeni na śniadanie do bar. Sparre, mieszkającego w tem mieście. Od niedawna konwertyta i gorliwy katolik, raczył nas, jak mógł najlepiej, i zaprosił nas do swego krewnego, p. Langenheima, na obiad do Walhall, gdzie mieliśmy również odbyć małą misyjkę dla Polaków i Rusinów, zajętych w tym dworze około robót w polu. Do odejścia pociągu w kierunku Walhall, było jeszcze daleko. można więc było i wypocząć, i pacierze kapłańskie odmówić. Wreszcie razem z bar. Sparre wyruszyliśmy koleją z Engelholmu do Skalderwiken, miejsca kąpielowego w pięknem położeniu, gdzie sztuczne kanały łączą się z morzem. (Zob. rycinę na str. 159).

Na stacyi oczekiwał nas powóz państwa Langenheimów, którym przyjechał również ich synek, młodziutki chłopczyna, aby honory nam oddawać w imieniu swoich rodziców.

Wjechaliśmy w lasy szpilkowe na piaszczyste leśne drogi, cisza panowała zupełna, blask słońca zachodzącego złocił cały widnokrąg, nadając mu, u nas nie widziany, przedziwny koloryt. Liściaste drzewa, krzewy i trawy zmieniające swą zieloną barwę w najrozmaitsze odcienia: żółto-zielone, brązu, krwi, aż do szkarłatu, otaczała teraz, jakby oponą, jasno-niebieska we fioletowych fałdach zsuwająca się mgła wieczorna. Niebawem droga przybiera staranniejszy wygląd, las ujęty jest w alee, kląby, polany w gazony, i oto stajemy przed nowozbudowanym piątrowym pałacykiem, który jakby nagle wyrósł tu wśród boru.



Polacy i Rusini w Walhall przed swoim mieszkalnym barakiem w dniu nabożeństwa 27 września 1906 r. (Zob. str. 167 i nast.).

Zastaliśmy dość liczne towarzystwo, bo do pani domu, rodem Dunki, zjechały z Kopenhagi jej krewne i znajome, a między niemi dwie panny Tetzlaf, konwertytki katoliczki. Cały dom widocznie oczekiwał naszego przybycia, bo zaledwie odbyła się prezentacya i zamiana słów w salonie, pani domu zaprosiła do stołu. Wedle zwyczaju szwedzkiego, udaliśmy się najpierw do osobnego pokoiku, gdzie była zastawa zimnych przekąsek. Służba zmieniała talerzyki z rąk, w miarę jak się one opróżniały z różnorodnych potraw, spożywanych stojąco lub chodząco wśród rozmowy towarzyskiej. Dopiero po ukończeniu tego pierwszego aktu, rozpoczął się drugi — właściwego obiadu, do którego, wedle zwyczaju, parami się idzie i zajmuje miejsca wedle porządku wskazywanego przez pana domu. Obiad był bardzo pięknie podany, nie brakło naturalnie na stole świeżych kwiatów, a wśród owoców, winogron świeżutkich, dopieroco zerwanych z winnej latorośli. Uważałem, że tu należy do szyku podawać świeże winogrona, i to nie sprowadzane, lecz wyrosłe na szwedzkiej ziemi. Winną latorośl pielęgnują w inspektach, głęboko w ziemię wsuniętych, oszklonych, i wystawionych na działanie słońca. Dojrzewają doskonale, są smaczne i nawet nie można rozpoznać, że sztucznie pielęgnowane.

Podczas obiadu pan domu pił zdrowie gości. Lecz odbywa się ta ceremonia w odrębny sposób. Półgłosem, nie wstając z krzesła, gospodarz zwraca się do osoby, której chce pić zdrowie, wymienia jej nazwisko i na pomyślność wychyla kielich. Kolejno w ten sposób zwraca się do innych, których chce uczcić w swym domu.

Po obiedzie przeszliśmy do salonu, którego okna wpadały w długą aleę, sztucznie w borze wysadzoną. Było już zupełnie ciemno, lecz w tej alei wycięto z drzew jakby okno na daleki widok krwawiący się łuną jakby pożaru. To resztki światła po zachodzie słońca, które pozostają długo jeszcze widoczne, zmieniając się z ciemnożółtej w pomarańczową, czerwoną, wreszcie krwawą łunę, gasnącą w miarę zbliżania się północy.

Niektóre panie chciały koniecznie być nazajutrz na Mszy św. celebrowanej przez polskiego kapłana. Ułożyliśmy więc odpowiednią godzinę, a po chwili rozmowy pożegnałem towarzystwo, i powozem udałem się do baraków położonych za lasem, w pobliżu szwedzkiej. szkoły, gdzie jutrzejsze miało się odbyć nabożeństwo. Towarzyszyli mi O. Stolberg i baron Sparre. Stanęliśmy przed murowaną chałupą o dwu wielkich izbach, strzechą pokrytą. W niej zastaliśmy 21 osób, po większej części młodzież obojga płci: 14 polskiej i 7 ruskiej narodowości z pod Radomia w Królestwie, z pod Zbaraża i Hniliczek. Moi towarzysze zostawili mnie samego, przebrałem się w sutannę i niezwłocznie miałem naukę przygotowawczą do spowiedzi. Trzy młode Rusinki wręcz oświadczyły, że się spowiadać nie będą, bo im zakazał proboszcz w Galicyi brania udziału w nabożeństwach łacińskich. Nie nalegałem więc na nie, lecz co do Mszy św., powiedziałem, że trzeba aby były obecne, inaczej zgorszenie dadzą Szwedom, nierozumiejącym różnicy obrządków katolickiego Kościoła. Gdym zaczął słuchać spowiedzi, słyszę piski, śmiechy zbyt wesołe w drugiej izbie i na dworze.

Pytam: »Co się dzieje?« — »To Rusinki ze Szwedami broją.« Wpadłem ja na nie z gromkiem słowem, jaki zapał misyonarski włożył mi w usta: »To wy się boicie iść do spowiedzi, a nie boicie grzeszyć z lutrami i hańbę ściągać na imię ruskie?! Pokutę czyńcie, bo was kara Boża nie minie, za zgorszenie i wstyd, jaki czynicie świętej katolickiej cerkwi. Dowie się wasz proboszcz i rodzice wasi, jak się tu sprawujecie!«

Czego prośby nie mogły zdobyć, zdobyła nagana. Skruszone winowajczynie skłoniły się nizko do kolan, prosiły o przebaczenie, chcą odpokutować w Szwecyi za szwedzkie grzechy.

Była już godzina 10 w nocy, czas iść na spoczynek. Lecz gdzie? Prócz baraków i mieszkań Szwedów, z którymi przed chwilą miałem ostrą, acz słowną przeprawę — nie było innych mieszkań. Zapraszam na ochotnika: Kto chce mi towarzyszyć do Skelderwiken? Zgłosiło się aż czterech chłopców, parobczaków, gotowych mnie bronić przed Szwedami i puściliśmy się w lasy »krótszymi ścieżkami.« Noc była ciemna, tak ciemna, że jeden drugiego nie widział. Nie wiedziałem, gdzie nogi stawiać, więc chłopcy wzięli mnie pod ręce i prawie unosili w powietrzu po haszczach, pniakach, ścieżkach i piaszczystych ławicach, w których grzęźliśmy powyżej kostek. Wreszcie po godzinnej prawie wędrówce stanęliśmy przed umówionym letnim hotelem zakładu kąpielowego, gdzie już spoczywał snem sprawiedliwego O. Stolberg. Wypróbowanych towarzyszy wędrówki zamówiłem nazajutrz rano na godz. 5, a pogasiwszy światła, w pustym zresztą domu, zasnąłem.



Szkoła w Walhall, gdzie się odprawiała Msza św. d. 27 września 1906 r.; przed nią mój ministrant do Mszy św. baron Sparre. (Zob str. 170).

Tą samą drogą, co wczoraj w nocy, dziś 27 września, rano, wracałem w towarzystwie dwu chłopaków polskich ze Skelderwiken do Walhall. Pogoda była prześliczna, rosa pokryła obficie drzewa i krzewy — jako zapowiedź pogody. Niezwłocznie udałem się do baraków, aby wysłuchać spowiedzi tych, co wczoraj nie mogli się jeszcze wyspowiadać. Upomniałem Polaków i Rusinów, aby kolejno, raz jedni, raz drudzy, śpiewali najpiękniejsze swe pieśni pobożne, i dali dobry przykład lutrom, którzy tam będą obecni, jak to lud katolicki, polski, czy ruski, wielbi Pana Boga, i udaliśmy się w procesyi do szkoły zamienionej chwilowo w kaplicę. Właśnie kończył Mszę św. O. Stolberg; w ławkach zasiedli Polacy i Rusini, po bokach panie duńskie, pragnące przysłuchać się polskiemu kazaniu, pastor luterski z żoną, nauczycielka luterka i parę innych osób. Dziatwa szkolna szwedzka z książkami w ręku, stała pod oknami, przed drzwiami i ciekawie wielkiemi oczyma patrzała na niezwykłych gości i na nabożeństwo katolickie, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziała.

Tak jak było ułożone, o godz. $7^1/_2$ wyszedłem do ołtarza. Wystawionym był przed mapą Szwecyi, przypadkowo wprawdzie, lecz jakby na przypomnienie, że powinienem modlić się też za ten kraj nieszczęśliwie odpadły od Kościoła, i za tych obecnych luteranów, którzy z ciekawości, lecz z dobrą wolą znajdują się przykładnie na naszem nabożeństwie. Baron Sparre przebrany w długą suknię, rodzaj sutanny, służył mi do Mszy św. Pierwsi zanucili pieśń Polacy »Serdeczna

Matko«, za nimi melancholijną, rzewnie pobożną, prześlicznej nuty pieśń ruską do »Boharodycy Divy« Rusinki; wrażenie było silne, bo i nuta Szwedom nieznana, i głosy piękne, czyste, pobożne, porywały duszę do Boga. Podobno Dunki zalewały się łzami, a zimny pastor, szerokim rękawem ocierał łzy z oczu.

Po Ewangelii przemówiłem do zebranych o Komunii św., o usposobieniu pierwszych chrześcijan, którzy w katakumbach zasilali się Ciałem Pańskim, a później odważnie stawiali czoło wszelkim niebezpieczeństwom, katuszom i śmierci, gdy ich prowadzono do koloseum na pożarcie zwierzętom. Ta Komunia św. ma być dla was zadatkiem tej samej siły nadprzyrodzonej, którą tamci mieli, w waszej ziemskiej wędrówce, zwłaszcza tu w Szwecyi, gdzie wprawdzie nie dzikie zwierzęta, lecz różnorodne pokusy stoczyć chcą walkę o dusze wasze i oderwać je od Boga. Szwedzi luteranie tego skarbu nie znają, jaki się ukrywa w Najświętszym Sakramencie Ołtarza: nic więc dziwnego, że im brak nieraz siły, aby zwyciężyć pokusę zmysłowości i innych występków, zniżających ich do rzędu zwierząt. My katolicy mamy Mannę niebieską, którą gdy pożywać godnie będziemy, strasznymi staniemy się samemu piekłu i otrzymamy życie szczęśliwe na ziemi i w wieczności...

Z wielkiem skupieniem przystąpili wszyscy, tak Polacy, jak Rusini, do Komunii św. Cisza zaległa kaplicę, tylko tych łkania po kątach do uszu dolatywały, którzy nie mieli szczęścia najważniejszego brać udziału w naszym nabożeństwie, bo różnica wiary dzieliła ich jeszcze od nas. Lecz po tej chwili dobrego przykładu

czy zmiana nie nastąpi? Bóg jeden wie, który przenika tajniki duszy ludzkiej.

Na zakończenie nabożeństwa naszego znowu zanucili Polacy swoją pieśń, następnie Rusinki na dwa głosy, a tak piękną, tak wzniosłą, że to był raczej koncertowy śpiew nie wiejskich dziewcząt od sierpa i motyki. Dzięki Bogu, że mogliśmy Szwedom i Duńczykom pokazać, jak lud katolicki z Polski i Rusi wielbi Boga na ziemi!

Aby jakąkolwiek dnia tego pamiątkę luteranom zostawić, odfotografowałem w tej samej sali szkolnej, gdzie się przed chwilą odprawiało nabożeństwo, grupę dziatwy szkolnej, przybyłej z tobołkami na lekcye. Fotografię tę później im posłałem z Krakowa, a wiem, że wielką radość sprawiła zarówno dzieciom, jak ich nauczycielce i pastorowi — wszystkim luteranom. Może nie jednemu przypomni uroczystą chwilę naszego nabożeństwa, które okazyą było do jej wykonania.

W towarzystwie barona Sparre i kilku Polaków, którzy nieśli nasze rzeczy, wraz z O. Stolbergiem szliśmy znowu pieszo przez lasy do Skelderwiken. Baron Sparre, inicyator tej misyjki, nie posiadał się z radości, że tak pięknie odbyło się nasze nabożeństwo. Zapragnął mieć obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który nań zawsze robi silne wrażenie; chce go umieścić w swojej kapliczce i wozić tam, gdzie będzie się odbywało nabożeństwo dla Polaków w Szwecyi. Nie mało się zdziwił, gdym mu opowiedział historyę oblężenia Częstochowy przez Szwedów i o cudownym wyratowaniu się OO. Paulinów nie bez przyczyny Matki Najświętszej.



Szkolne szwedzkie dzieci w Walhall w sali, gdzie odprawiałem Mszę św.
(Zob. str. 172).

Dziś ta sama Pani, której klasztor jasnogórski zawdzięcza swe ocalenie, zaproszoną zostaje do kultu przez jednego z synów dawnych Jej nieprzyjaciół! Naturalnie za powrotem do Krakowa, nie jeden, ale dwa oleodruki posłałem bar. Sparre, skoro do tak pięknego użytku mają mu służyć.

Było już południe, gdyśmy przybyli do Skelderwiken. Znowu śniadanie zjedliśmy razem z obiadem, przyrządzonym przez rodzinę jakiegoś wysłużonego kapitana okrętu. I tutaj pan domu przyniósł mi na drogę winogrona, jakie sam wychodował w swej oranżeryi. Uprzejmie podziękowałem, lecz nie wziąłem, wiedząc, że ta osobliwość znajdzie jeszcze amatorów, umiejących jeszcze bardziej odemnie ocenić jej wartość.

Zaraz po obiedzie w dalszą puściliśmy się apostolską wędrówkę; tym razem przez Engelholm-Kattorp do Vestroby.

V. Misya w Vestroby. — Powrót do Malmö.

Podobnie jak w Belleberga przed paru dniami, także na tej drodze spotkała nas przez dystrakcyę przygoda. Wysiedliśmy o jedną stacyę za wcześnie, telefonować nie wiedzieliśmy dokąd i do kogo. Biedny O. Stolberg pełen żalu na swoją dystrakcyę, pozostawia mnie na stacyi z rzeczami, sam idzie szukać we wiosce koni. Na szczęście znalazł jakiegoś gospodarza, który miał wózek i konia — niezwykły okaz — naprędce syn owego Szweda zaprzągł go, raczej z uprzejmości, niż chęci zysku, i wózek szwedzki stanął na

dworcu. Jedno było siedzenie, lecz w konieczności musiało, prócz woźnicy, pomieścić O. Stolberga zemną. Siedzieliśmy wprawdzie zbici, jak śledzie w beczce, lecz objąwszy się rękoma w pół, byliśmy pewni, że albo wszyscy razem, albo żaden z nas nie wyleci, gdy rączy konik ruszył z kopyta w drogę ku Vestroby. A był to niezwykły konik; młody woźnica tłumaczy nam, że równego mu niema w całej okolicy, najstarszy wiekiem z rodzaju końskiego liczy 34 lat, a tak silne ma nogi, że jeszcze nigdy nie upadł na kolana, a nie da się prześcignąć żadnemu koniowi z tych, jakie jego posiadają sąsiedzi. Dzięki tym końskim zaletom, mknęliśmy jak parochód szybko po bogatej okolicy; czarnoziem rżnęły parowe pługi — gospodarstwo rolne jest tu u szczytu kultury.

Majątek Vestroby należy również do akcyjnej cukrowarni. Wszystkie zabudowania gospodarcze, wystawiono z brył granitowych, spojonych wapnem i drobniejszemi odłamami kamieni, wskutek czego mury oryginalny pstrokaty widok przedstawiają. Stajemy przed piątrowym domem zarządcy tych dóbr. P. Janssona, luteranina i masona szwedzkiego, nie zastaliśmy w domu, lecz służba miała dane polecenie przyjęcia nas podwieczorkiem i wskazania pokoi gościnnych dla nas przeznaczonych.

Niezwłocznie potem udałem się do obok położonej szkoły, przeznaczonej na nasze nabożeństwa. W miejscu katedry stał już stół szeroki pod ołtarz, ławki szkolne zaczęli zajmować polscy robotnicy, zwolnieni od robót zaledwieśmy przybyli do Vestroby. —

Wszystko to młodzież z wiosek przyległych do Bochni i Tarnowa, 14 chłopców i 41 dziewcząt. Po przygotowawczej nauce, od godziny 5 do 9 bez przerwy słuchałem spowiedzi, zanim rozeszliśmy się na wieczerzę. P. Jansson uprzedzająco był grzecznym, lecz widziałem jego zakłopotanie, a nie mogłem domyślić się, co się stało. Niebawem sam mi wyjaśnił. Przed paru dniami otrzymał list od X. K., proboszcza polskich ludzi, w tonie dość ostrym, w którym żali się na »nieludzkie postępowanie »Aufsehera« Prusaka i bezczeszczenie polskich dziewcząt.«

Szwed o tyle znał tego »Aufsehera«, o ile sprowadził mu do roboty ludzi i pośredniczył między nim w wypłatach, wiedział, że to człowiek energiczny, lecz o bliższych stosunkach, mogących zachodzić między Aufseherem a »białymi niewolnikami« pracującymi dla jego kieszeni, nic nie wiedział. List otrzymany od kapłana katolickiego bardzo go zatrwożył, i był gotów każdej chwili zadość uczynić sprawiedliwości. Prosił więc mnie o pośrednictwo w zbadaniu podniesionych przeciw Prusakowi zarzutów. Sprawa była delikatna, bo bardzo łatwo znaleźć zarzuty na każdego »Aufsehera«, chociażby najlepszego, jeśli ma nieco za szorstką i za twardą rękę w postępowaniu z podwładnymi; obiecałem jednak zająć się tem po ukończeniu misyi.

Jeszcze było ciemno, gdym w dniu 28 września obudził się i po pacierzach kapłańskich udał się do prowizorycznej kaplicy. Miałem tę satysfakcyę, że nikt z ludzi na mnie nie czekał, i owszem ja czekałem dobrą chwilę, wietrząc salę przeznaczoną na nabożeństwo,



Polacy w Vestroby przed szkołą, gdzie odbywały się dla nich nabożeństwa dnia 28 września 1906 r.; podług fotografii. (Zob. str. 176).

pozapalałem światła i przygotowałem, co potrzeba do Mszy św. Niebawem zaczęli się schodzić moi rodacy, i spowiadali się do godziny 7, o której miałem dla jednej partyi Mszę św. i rozdzieliłem Komunię św.

Państwo Jansson czekali na mnie ze śniadaniem, po którem znowu udałem się do szkoły na słuchanie spowiedzi, trwające prawie do godziny 11. Teraz dopiero wyszedł O. Stolberg ze Mszą św., ja miałem na niej naukę, a ku nie małemu zdziwieniu między słuchaczami znalazłem barona Sparre, tego samego, który urządził misyjkę u swego krewnego w Walhal. Zjechał on umyślnie za nami z Engelholm do Vestroby, aby być obecnym na Mszy św. i raz jeszcze przypatrzyć się polskiemu nabożeństwu. O, jak silna wiara w tym konwertycie! Zanim rozeszliśmy się, kazałem przynieść naczynie z wodą, poświęciłem takową, a lud rozebrał ją w oka mgnieniu; przypomniawszy sobie jej skuteczność, prosił mnie usilnie, abym im poświęcił ich mieszkania, »bo to lutrzy stawiali, więc i złe duchy mogą się łatwiej zakraść i szkodzić naszym duszom.« Zadość uczyniłem ich pobożnemu żądaniu i święciłem luterskie domy zamieszkałe przez Polaków i Polki, ku nie małemu zdziwieniu Aufsehera-Prusaka i jego dzieci, którzy podobnej ceremonii nigdy nie widzieli.

Gdy się już wszystko szczęśliwie zakończyło, wziąłem na pytki poważniejszych robotników i robotnice. Każde z osobna wypytywałem o Aufsehera, nie mówiąc o co chodzi. Na szczęście najcięższe zarzuty okazały się oszczerstwem przez kogoś zagniewanego napisanem do proboszcza. Z przyjemnością więc mogłem uspokoić

p. Janssona, i w jego imieniu odpisać polskiemu kapłanowi, troskliwemu o dobro swoich parafian. Przekonałem się z tego, że jak z jednej strony szwedzcy chlebodawcy bardzo sobie biorą do serca upomnienia kapłana katolickiego, tak z drugiej mają tyle uczciwości, iż gotowi są nawet ze swą niewygodą żądać zadość uczynienia za krzywdę wyrządzoną polskiemu robotnikowi.

Z tej misyi wszyscyśmy byli zadowoleni: i my kapłani widząc wszystkich bez wyjątku u Stołu Pańskiego, i Polacy pokrzepieni na duszy i uradowani wizytą swoich kapłanów, oraz nabożeństwem przypominającem im strony rodzinne, i p. Jansson, że ciężki kamień spełnienia obowiązku spadł mu z serca, i Prusak Aufseher, iż wyszedł cało z całej afery przeciw niemu wzniecone].

Również nie do wzgardzenia objawem powszechnego zadowolenia był dobry obiad, jaki nam państwo Jansson podali i doskonałe konie na odjazd z Vestroby do dalszej, lecz najdogodniejszej dla nas stacyi Astrop. Jechaliśmy 1½ mili szwedzkiej, czyli 15 kilometrów wśród równej, lecz bardzo pięknej okolicy. Rzeki, stawy, łąki, role uprawne, gaiki, a wśród nich, jak w panoramie, przesuwały się dwory i dworki wiejskie, jedne piękniejsze od drugich, bogate owocami i gustowne malowniczemi ogrodami pełnymi kwiecia pomimo już późnej jesieni. Pora kwiatów nie trwa tu długo. Właśnie dlatego umieją ją cenić sobie Szwedzi, i dokładają starań, aby, jak to można najdłużej, nie pozbawiać oka pięknych barw i kształtów, w jakie Bóg swą ręką

wszechmocną a miłościwą dla przyjemności człowieka obdarzył rośliny i krzewy.

Najbliższa praca misyjna czekała nas w kopalniach i fabryce koalinu w Bromölla. Znajduje się ona na wschodnich wybrzeżach południowej Szwecyi, myśmy się znajdowali na jej zachodnich kończynach. Zapowiedzieliśmy Polakom z Bromölli, że przybędziemy w sobotę po południu — dziś mamy dopiero piątek; korzystamy więc z kilku godzin przerwy, aby wpaść do Malmö, gdzie i korespondencya na nas czekała i kilka pilnych interesów było do załatwienia. To też w Astrop siedliśmy nie do wschodniego, lecz południowego pociągu i w dwu godzinach pod wieczór przybyliśmy do celu naszej podróży.

X. prałat Popp z ojcowską miłością witał i gościł nas w swem probostwie, wypytywał o przebieg misyi, cieszył się razem z nami, bo tego rodzaju zajęcia w Szwecyi bardzo są rzadkie, i każdy objaw pracy apostolskiej żywo zajmuje umysły katolików, cóż dopiero kapłanów. Oddał nam listy, jakie w tym czasie przybyły, a między innymi telegram z wyspy Gottland, położonej na wschodnich stronach Szwecyi. Wzywają nim kapłana do umierającej polskiej dziewczyny! Telegram był nadany już przed kilku dniami; co robić? Jechać, czy nie jechać? Droga to kosztowna i daleka: koleją i parowcem zaledwie w 24-ch godzinach można być w Wisby, portowem mieście tej wyspy. Z drugiej strony zapowiedziana misya w Bromölla bardzo ważna, rozdzielać się nie możemy, bo jedyny mamy aparat do Mszy św., a zresztą może chora już umarła? De-

cyzya zapada, aby zaraz telegrafować z zapytaniem, czy żyje. W nocy nadeszła odpowiedź, że już wyzdrowiała, słabość była przejściowa, jak zwykle u młodych dziewcząt. Odetchnęliśmy swobodniej, wycieczkę do Polaków na Gottland odkładamy na później, jeśli czas pozwoli — misya w Bromölla ocalona!

Przez cały tydzień zajęci misyą, nic nie wiedzieliśmy, co się dzieje na świecie. Informatorem naszym był w tym względzie X. prałat Popp, a zaszedł wypadek godny zanotowania. Oto w tych dniach odbył się zjazd szwedzkich pastorów, rodzaj soboru, w Lundzie. Na tym teologicznym zjeździe, jedną z głównych kwestyj danych pod dyskusyę, była i ta: czy Jezus Chrystus jest Bogiem! Protestanci szwedzcy nie chcieli zostać w tyle za liberalnymi poglądami teologów protestanckich niemieckich przeczących Bóstwa Panu Jezusowi i dlatego tę kwestyę poruszyli. Obecny biskup luterski, zapytany o zdanie w tej sprawie, nie miał odwagi wyznać prawdy wobec swych kolegów pastorów i, wymijając stanowczą odpowiedź na zadane pytanie, orzekł, że: »w Szwecyi jest już państwowe wyznanie, i temu należy ulegać!«

Dla katolików nie jest bez znaczenia ani poruszona kwestya w Lundzie, ani chwiejne wyznanie luterskiego biskupa. Utwierdzają one nas w przekonaniu, że dla braku wiary w osobę Bożą Chrystusa Pana, a wskutek tego lekceważenia formy chrztu, również i chrzest luterski co najmniej będzie bardzo wątpliwej wartości. Skoro więc jaki luter zechce zostać katolikiem, wpierw, jeśli nie absolutnie, to warunkowo powinien być raz jeszcze ochrzczonym.

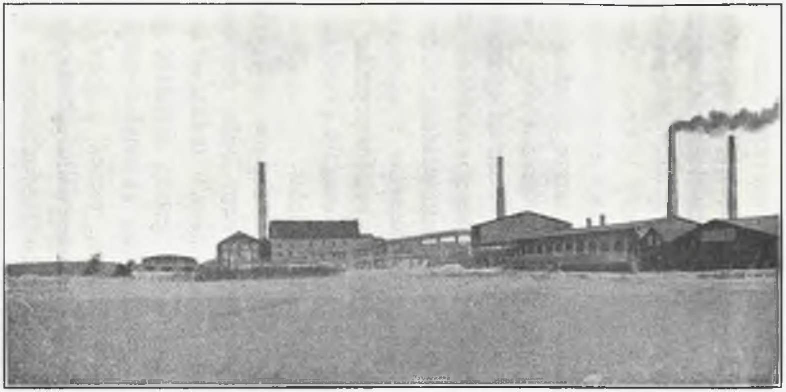
Dowiedziałem się przy tej okazyi o oryginalnym tutejszym zwyczaju poświęcenia zwłok zmarłych. Tutejsze luterskie parafie nieraz są bardzo rozległe i czy to wskutek złych dróg, czy to dla innych przyczyn, pastor nie może zjechać wczas na pogrzeb parafianina. Wówczas sami Szwedzi grzebią ciało, pozostawiając otwór wyłożony czterema deseczkami. W ten sposób grób pozostaje niby otwartym. Gdy pastor nadjedzie, odmawia modlitwy nad grobem, wyjmuje deseczki tworzące rodzaj szybu do wnętrza — ziemia się zasypuje i grób już zamknięty.

Do tego zwyczaju zastosowali się również katolicy. O. Stolberg opowiadał, że i on tego rodzaju otwory w grobach wyłożone deseczkami toleruje, i gdy nie mógł zdążyć na czas pogrzebu, przez ten otwór wlewa trochę wody święconej na trumnę, i święci grób katolicki wśród cmentarza protestanckiego.

W Malmö nie było więcej czasu, jak na przeczytanie listów i załatwienie niezbędnych interesów, gdyż nazajutrz po Mszy św. trzeba było puścić się w dalszą wędrówkę misyjną. Dotychczas objechaliśmy zachodnie wybrzeża południowej Szwecyi: teraz zwróciliśmy się ku wschodnim, a pierwszą stacyą była Bromölla.

VI. Misya w Bromölla.

Z Malmö do Bromölla prowadzi droga na Lund, Eslöf, Kristianstad. Pierwsze z nich sławnem już było w średnich wiekach jako »Londinum Gothorum« stolica arcybiskupia św. Eskila, Anglika, apostoła Sudermanii,



Fabryka oczyszczająca glinę kaolinową w Bromölla nad jeziorem.

założyciela najwspanialszej katedry w połudn. Szwecyi, Św. Eskil zmarł jednak nie w ulubionym przez siebie Lundzie, lecz w opactwie Cystersów w Clairvaux r. 1181. Obok tej katedry, zbudowanej w stylu romańskim, znajdowały się 2—3 kościoły, obsługiwane przez świeckie i zakonne duchowieństwo, kwitło życie umysłowe i duchowne. Czasy reformacyi zniszczyły ten dobytek katolickiego kościoła, nie tknęły jednak katedry, która dwu swemi wieżycami wysoko strzela w niebo i jest widoczną w całej okolicy. Jeszcze i dzisiaj Lund, chociaż liczy zaledwie 19.000 mieszkańców, niepoślednie miejsce zajmuje między szwedzkimi miastami dzięki uniwersytetowi założonemu jeszcze w r. 1666. Robi jednak wrażenie prowincyonalnego miasteczka. Gdyby nie uniwersytet, cały legion profesorów i uczni, bogata biblioteka i muzeum zoologiczne, historyczne i inne naukowe zakłady, nie byłby on wstanie przyciągnąć do siebie większej liczby mieszkańców.

W Eslöf i Kristianstadzie nie zatrzymaliśmy się tym razem, bo spieszno nam było do oczekujących naszego przybycia opuszczonych Polaków w kopalniach i fabryce kaolinu. Kaolin jest to delikatna glinka biała z zabarwieniem żółtem lub zielonkowatem. Tę glinkę rozpuszcza się w wodzie, piasek i inne nieczystości opadają, a czysta, jak śnieg biała, glinka, gdy stężeje, suszy się w tabliczkach w szopach na to przyrządzonych, następnie wysyła się jako cenny towar do fabryk papieru i do wyrobu porcelany. Przy bromölskiej fabryce zajętych jest prócz innych ludzi, 151 Polaków i Rusinów, dorosłych mężczyzn i młodzież obojga płci.

Pociąg nasz stanął około południa w lesie. Prócz zabudowań kolejowych nic więcej nie widać około stacyi, żadnego śladu życia ludzkiego. Przyszedł po nasze rzeczy jakiś Polak, którego odrazu poznałem jako żydowskiego sługę... Z dworca szliśmy lasem sosnowym kilkanaście minut, zanim otwarła się przed nami dzielnica zaludniona, nie miasto, nie wieś, wszystko naprędce zbudowane, jak wogóle osady powstałe około fabryk. Nikt tu na architekturę nie baczy, nikt na ład, porządek, byle tylko zamieszkać, grosza sporo zarobić i uciekać z tych borów, gdzie życie ludzkie innem bije tętnem.

Zaszliśmy do hotelu, świeżo zbudowanego. Mieszkania bardzo dobrze urządzone, nawet lepsze, niż mogliśmy się spodziewać. Złożywszy rzeczy poszliśmy na poszukiwanie izby na nasze nabożeństwa. Proponują nam... teatr. Rzeczywiście z lokalów do dyspozycyi, ten jeszcze najbardziej kwalifikował się na urządzenie prowizorycznej kaplicy. Schodzi się do tej budy schodkami od ulicy, bo położona na niższym terenie; może pomieścić paręset osób; scena na podwyższeniu będzie służyła za presbyterium, gdzie ustawimy ołtarz. Niebawem przyszło kilku starszych Polaków, ci zajęli się przekształceniem teatru w kaplicę i ozdobieniem jej zielenią.

Podczas gdy się odbywała swego rodzaju rzadka metamorfoza, poszedłem z O. Stolbergiem do fabryki, aby i ludziom dać się poznać i zbadać nieco stosunki, w których się obracają. Przedewszystkiem nasze przybycie wcale nie wzbudziło entuzyazmu. Lud w części przygnębiony pracą ciężką o małym zarobku, w części,

jak nam mówiono, zdemoralizowany w wysokim stopniu. Robotnicy dzielą się tu na dwie kategorye: jedni zajęci kopaniem gliny kaolinowej na wyspie znajdującej się na jeziorze Ifö, odległej od brzegu 3 do 4 kilometrów, drudzy przerabianiem i oczyszczaniem tej gliny w czysty kaolin w fabryce położonej nad brzegiem tegoż jeziora. Pierwsi mają bardzo ciężką robotę i niebezpieczną, jak zwykle w kopalniach, gdzie trudno zabezpieczyć robotnika od usuwania się ziemi i zasypywania jej ciężarem. Drugich praca mniej przedstawia niebezpieczeństwa bezpośredniego, lecz jest bardzo niezdrowa wskutek pyłu unoszącego się w powietrzu. Podobnie jak w młynie wszystko okurzone mąką, wdycha w siebie jej pył delikatny: tak tutaj wszyscy pokryci warstwą białego pyłu gliny, przepełniają nim swe płuca z wielką szkodą dla zdrowia. Inni znowu zajęci płukaniem i wywożeniem do jeziora odpadków bezużytecznych, prawie bezustannie brodzą w wodzie lub błocie białem, jak ciasto. Zapłata przytem jest bardzo rozmaita, zależna od wyznaczonej przez przedsiębiorcę pracy. Jeden ze starszych gospodarzy żalił się, że pracując przez miesiąc prawie bezustannie w wodzie, mógł ledwie 14 złr. uzbierać. Przeciętnie otrzymują robotnicy od 1 krony do 1 kr. 35 ör dziennej zapłaty, prócz jadła mieszkania. Za mieszkanie służą drewniane baraki, nędzne, brudne, wilgotne i ciasne. Wszedłem do jadalni. Zastałem każdego nad miską ryżu; czasami dostają zamiast ryżu pęcak z grochem, a pięć razy tygodniowo do tego po kawałeczku mięsa. Jest to główny posiłek południowy. Rano otrzymują kawę bez mleka,



Suszarnia kaolinu w Bromolla. (Zob. str. 184).

a wieczorem kartofle. Tak skromną strawę muszą naturalnie robotnicy uzupełniać innymi wiktuałami słono opłacanymi. Wyzysk w tej fabryce panujący zniewolił legacyę austryacką w Stokholmie, że wysłała swego sekretarza, p. Władysława Skrzyńskiego, do zbadania na miejscu opłakanych stosunków, a następnie do zdania sprawozdania ministerstwu spraw wewnętrznych we Wiedniu.

Nie od rzeczy będzie powtórzyć to, co urzędowy dziennik *Gazeta Lwowska* z d. 21 października 1906 r. donosi o losie galicyjskich robotników, w szczególności w Bromölla:

»Robotnicy skarżą się na umieszczenie zupełnie niegodne ludzi, na niedostateczny wikt, na niezwykłą drożyznę wszystkich artykułów codziennego życia, jak środków żywności, ubrań, obuwia i t. p., tudzież na niezwykle srogie obchodzenie się z nimi dozorców. Wynagrodzenie jest przytem w ogólności złe... Dochodzenia, jakie przeprowadzono w jesieni roku zeszłego (1905) z powodu tych skarg, a w szczególności skarg robotników, zatrudnionych w fabrykach w Ifö i Bromölla wykazały, że najwięcej przykrości doznają robotnicy od dozorców Leiby i Abrahama Verständigów, z których pierwszy pochodzić ma z Nienadówki w Galicyi.

Stwierdzono, że ci dwaj dozorcy czynnie znieważali, wyzyskiwali i uciskali robotników, którzy podlegają zupełnie ich władzy, albowiem ci dozorcy ich ugodzili i wypłacają im zarobki. Zarobki te nie są jednak wcale normalne, t. j. takie, jakie pobierają robotnicy miejscowi, lecz o wiele niższe. Zarząd fabryki

nie wypłaca bowiem zapłaty zarobków wprost robotnikom, lecz dozorcom, którzy liczą zarządowi fabryki pełne normalne zarobki, obcym zaś robotnikom przez siebie zgodzonym, wypłacają znacznie niższe wynagrodzenie. Dozorcy wyzyskują więc w ten sposób robotników, ciągnąc z tego znaczne korzyści. Leibie Verständigerowi udowodniono nadto, że robotnikom sobie podległym, a należącym do związku wojskowego, nie pozwala wyjeżdżać na zebrania kontrolne i uczynić zadość innym obowiązkom z ustawy wojskowej, tak, że robotnicy ci obawiają się później kar w razie powrotu do domu, przez co jeszcze bardziej dostają się w moc swego ciemiężyciela. Przy werbowaniu robotników dopomaga tym dozorcom brat Leiby Verständiga, Leisor Verständig, mieszkający w Bautzen, w Saksonii, tudzież rozmaici agenci w Galicyi, a między tymi niejaki Adolf Femminger, Tomasz Schester i N. Goldmann w Rzeszowie...«

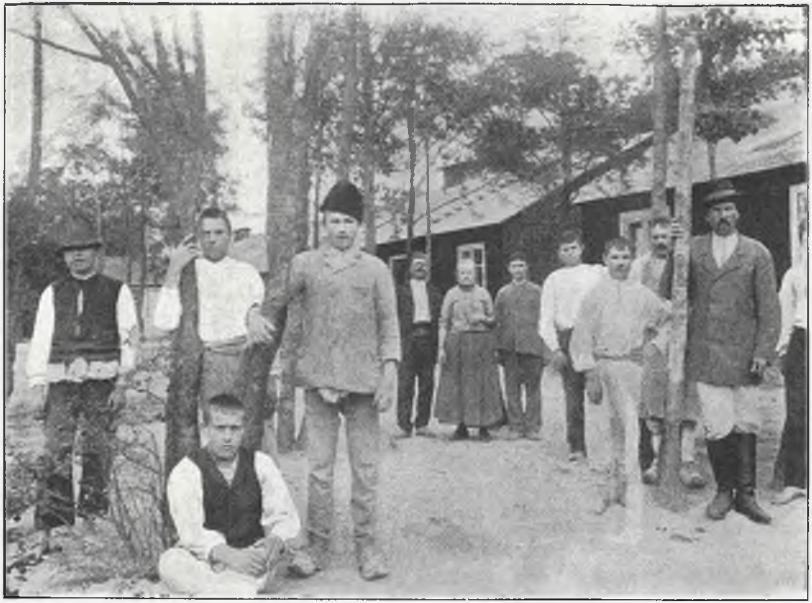
O ile mogłem dowiedzieć się, prawie wszyscy robotnicy polscy zajęci w tej fabryce i kopalni, pochodzą z powiatu rzeszowskiego.

Wobec tak bardzo ciężkich zarzutów podniesionych przez ministeryum przeciw Verständigowi, wcale mnie nie zdziwiło, że on teraz się nie pokazał, pomimo, że innemu kapłanowi, który poprzednio był w Bromölli, chciał nawet złożyć ofiarę na podróż, naturalnie nie przyjętą przez tego kapłana, bo pochodzącą z wyzysku ludu.

W dniu 29 września misyjkę rozpocząłem dosyć późno, ponieważ po ukończeniu całodziennej pracy, ro-

botnicy wyglądali biali, jak młynarze, pokryci od stóp do głowy białym pyłem kaolinu. Zanim więc jako tako oczyścili się z tego kurzu, już była godzina 7½ wieczór. Na naukę zgromadzili się bardzo licznie, tak, że wielka hala teatralna była przepełnioną. Niezwłocznie po przygotowaniu moich słuchaczy, zacząłem słuchać spowiedzi, które trwały do godziny 10 wieczór. Słuchałem samych mężczyzn, dziewczęta i kobiety odprawiwszy do domu, aby nie potrzebowały wśród ciemności po niebezpiecznej lesistej okolicy wracać do swych mieszkań. Za to nazajutrz rano od godziny 5 do 7½ słuchałem same robotnice, aby, jako słabsze, nie potrzebowały być długi czas na czczo. Zadowoliwszy w ten sposób sporą partyę ludzi, miałem Mszę św., na której wyspowiadani komunikowali. Dla większej okazałości urządziłem nabożeństwo ze śpiewami. Więc po Mszy św. zanuciliśmy nasze »Święty Boże« silnem echem odbijające się o ściany drewnianego teatru. Naturalnie po Ewangelii miałem dłuższą naukę o Najświętszym Sakramencie, która była równocześnie przygotowaniem dla tych, co przystępowali do Stołu Pańskiego.

Po tej pierwszej części naszego nabożeństwa, słuchałem w dalszym ciągu spowiedzi, a O. Stolberg miał o godz. 11 Mszę św., na której znowu miałem naukę. W tym dniu wszystkich razem było 63 osób do Komunii św., a nietylko Polaków, lecz także Rusinów, którzy mi tu żadnych nie robili trudności. Już dawno minęło południe, gdyśmy zakończyli niedzielne nabożeństwo (30 września). Przekonałem się, że usposobienie ludu jest lepsze, niż mówiono. Pokrzepieni Sakra-



Polacy przy barakach zajęci przy fabryce kaolinu w Bromölla.

mentami św. i naukami, nabiorą oni siły do dalszej walki życia, zbyt trudnego w tutejszych stosunkach.

Niepodobna nam było zadośćuczynić wszystkim potrzebom duchownym w ciągu tych kilkunastu godzin. To też postanowiliśmy pozostać do dnia następnego. Zapowiedziałem więc ludziom, ażeby po południu znowu się zgromadzili na nieszpory, po których będę słuchał spowiedzi. Z wielką radością zostało przyjęte to zawiadomienie i, jak można było spodziewać się po dobrym naszym ludzie, po południu prowizoryczna nasza kaplica znowu się zapełniła wiernymi. Podczas gdy słuchałem spowiedzi, O. Stolberg nie chcąc być bezczynnym, miał nieszpór polski: to jest odmówił po polsku litanię do Matki Boskiej, dopomogłem mu zaintonować »Pod Twoją obronę«, następnie na prośby Polaków znowu miałem do nich naukę. Szwedzi nie mogli już teraz zapanować nad swoją ciekawością, i chociaż rano zostawili nas w spokoju, po południu zeszli się do teatrzyka, aby słuchać polskiej nauki. Wcale mi to nie przeszkadzało, i owszem, dało asumpt do niejednej myśli w przemówieniu, a mianowicie, że musi tkwić jakaś siła w słowie Bożem, skoro nawet lutrzy schodzą się na słuchanie, chociaż słów moich nie rozumieją, szanują chwilę nabożeństwa Polaków, a z zachowania ich odnoszą zbudowanie. Oby ono było przez cały przeciąg pobytu naszych rodaków na obcej ziemi!

Ostatni dzień misyi w Bromölla rozpoczął się bardzo wcześnie. Wiedząc, że robotnicy mają stanąć do pracy o godzinie 6, wstaliśmy już o godz. 3½ rano;

pierwszą Mszę św. odprawił O. Stolberg, drugą ja o godzinie 4, na której komunikowało 27 osób, t. j. ci, co wczoraj po południu byli u spowiedzi. W ten sposób mogliśmy wszystkich ludzi dobrej woli zaspokoić, każdy,



Wyspa Ifö na jeziorze pod Bromölla, gdzie kopalnie kaolinu.

kto chciał, mógł być u Sakramentów św., a nadto robotnicy nie stracili ani jednej godziny zarobku. Zważywszy, że wszystkich Polaków i Rusinów pracuje w fabryce bromölskiej i w kopalni na wyspie Ifö 151 osób, a 78 było u św. Sakramentów, pozostało jeszcze 73 takich, którzy nie korzystali ze sposobności pojednania się z Panem Bogiem. Z naszej strony zrobiliśmy

wszystko, aby im to ułatwić, przykro nam, że nie wszyscy chcieli korzystać. Lecz czy inaczej było za czasów Chrystusa Pana — i w późniejszych, gdy misyonarze głosili przykazania Boże, wymagające panowania nad buntującą się naturą ludzką? Niech i za ten owoc pracy dzięki będą Bogu, który zresztą nie tyle patrzy na skutek pracy, ile na usiłowania podjęte dla zbawienia dusz i Jego chwały na ziemi.

Po rozejściu się robotników mieliśmy jeszcze dosyć czasu, aby spokojnie i rzeczy spakować podróżne i spożyć obiad. Składał się on z rosołu, kawałeczka mięsa i trzech kartofli. Na dwie osoby była to porcya wcale nie za wielka: więc O. Stolberg mówił żartem: dali nam rachunek wprawdzie hrabski — ale hrabskiego obiadu nie było. Mieliśmy jeden więcej dowód, jak wiktuały muszą być tu drogie, i ile wydawać muszą biedni robotnicy, aby utrzymać swe siły przy ciężkiej pracy.

Po południu sami, w braku jakiegoś sługi, zabrawszy tobołki, pieszo udaliśmy się przez las do dworca kolejowego Bromölla. Kupiliśmy wprawdzie bilety III-ej klasy do Kristianstadu, lecz wskutek natłoku jadących, konduktor wprowadził nas do wagonu salonowego I-ej klasy. Zastaliśmy i ten przepełniony robotnikami i robotnicami szwedzkimi — luterską młodzieżą. Zachowanie się ich było dla nas bardzo żenujące i czegoś podobnego nie spotkałem nigdy w życiu. Wiedzieli oni, żeśmy duchownymi, a O. Stolberg siwizną pokrytą ma głowę: nie było to jednak żadnym dla nich hamulcem do panowania nad wyuzdaną zmysłowością. Cóż dziać

się musi, gdy ci lutrzy nie potrzebują się nikim krępować!

Kristianstad, jak wszystkie dotąd widywane miasta szwedzkie, na oko dodatnie robi wrażenie. Chociaż ma zaledwie 11.000 mieszkańców, wygląda okazale, ulice szerokie, brukowane, o kilku piątrach dobrze utrzymane i w dobrym stylu, place również wybrukowane, czyste, nigdzie śmiecia nie widać — a obok głównej ulicy rozpościera się park »Tivoli« — podobny do naszych plantacyj krakowskich. Pośród tego parku widzimy stary budynek w stylu szwedzko-norweskim: to muzeum starożytności. Rozwój miasta datuje się jeszcze z czasów, gdy południowa Szwecya należała do Danii, a nazwę swą otrzymała od głównego swego założyciela, króla duńskiego Christiana IV w r. 1614.

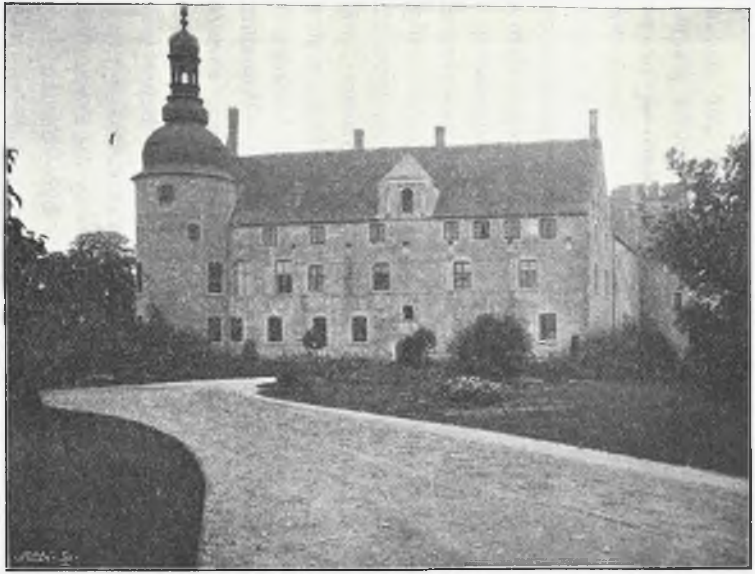
Stanęliśmy w bardzo pięknym hotelu Brissmanna, położonym w ogródku, ocienionym pnącemi się roślinami, wyglądającym raczej na pałacyk możnego obywatela. Obok mamy kościół z r. 1617 w pięknym gotyckim stylu. Niestety jest to luterska kircha, nawet kaplicy niema w Kristianstadzie. Pierwszą więc naszą troską było wyszukać miejsce, gdziebyśmy mogli odprawić nazajutrz Mszę św. Poszliśmy do pewnego Niemca katolika, wyższego urzędnika w jakiejś fabryce daleko położonej za miastem, z zamiarem ustawienia ołtarza w jego mieszkaniu. Tymczasem nie zastaliśmy go raz i drugi raz w domu, aż nas wieczór zaskoczył. Przypatrzyliśmy się za to lepiej miastu i jego osobliwościom — a mianowicie wspaniałemu gmachowi, który nad wejściem olbrzymi ma napis »Frimurarerhotel.«

Jest to zajazd szwedzkich massonów, a samo miasto jest centrem ich działalności. Podobno nie są oni w Szwecyi tak niebezpiecznymi, jak gdzieindziej. Późnym wieczorem przyszedł do nas ów Niemiec katolik, któregośmy szukali i z radością przyjął naszą propozycyę odprawienia w jego mieszkaniu Mszy św.

Tymczasem nowa zaszła przeszkoda. W nocy telefonują z zamku hr. Hamiltona, konwertyty, że córka śmiertelnie zachorowała, pragnie przystąpić do Sakramentów św. Spieszy więc O. Stolberg do umierającej, bierze ze sobą przybory do Mszy św. — ja pozostaję w tym dniu bez Najśw. Ofiary, bo nie mamy drugiego ołtarza. Nadto rozdzielamy się: O. Stolberg od hr. Hamiltona pojedzie do hr. Sparre, a po drodze da mi przybory do Mszy św., ja zaś udam się z misyą dla Polaków do państwa Stjernsvärd w Vidtsköfle, aby następnie złączyć się z O. Stolbergiem w Kronowall.

VII. Misya w Vidtsköfle.

Państwo Stjernsvärd zostali zawiadomieni, że po południu dnia 2 października do nich przyjadę z misyą. Miałem więc poddostatkiem czasu, aby po odjeździe O. Stolberga zażyć wypoczynku i przygotować się na wizytę do osób, których zupełnie nie znałem i żadnych nie miałem danych co do ich usposobienia względem Kościoła katolickiego. Układałem więc plany na wszelką ewentualność, a wiedząc, że w praktycznem życiu lepiej za różowo nie patrzeć na sytuacyę, już zawczasu cokolwiek miało mnie spotkać, ofiarowałem Panu Bogu



Zamek Vidtsköfle od strony wjazdu; podług fotografii z d. 3 października 1906 r.

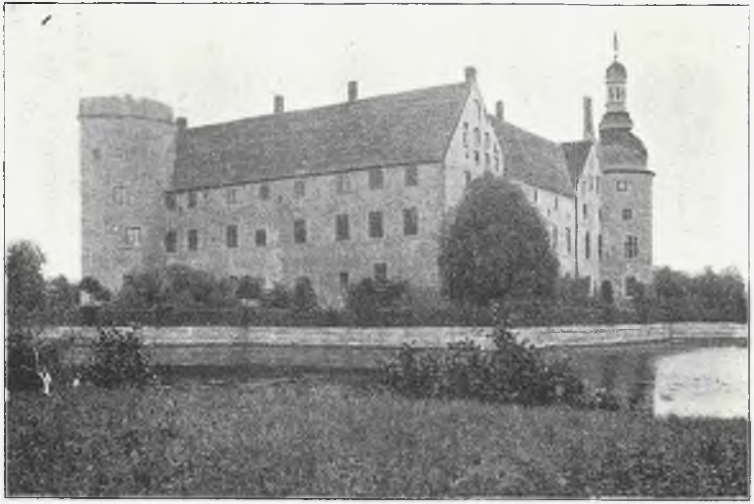
na uproszenie pomyślności w pracy około dusz biednych naszych wychodźców. To też z rezygnacyą pojechałem na drugi dworzec Kristianstadtu: Längebro, gdzie miłą miałem niespodziankę w spotkaniu O. Stolberga i razem jechaliśmy aż do Vidtsköfle. Tu czekał już na mnie powóz pp. Stjernswärd. Droga wiła się wśród pięknego lasu liściastego, niebawem zmieniającego się w park rozległy i okazały — powóz okrążył stawy i brukowaną drogą wjechał przez most prowadzący wprost w staroświecki dziedziniec zamkowy. Dwupiętrowy gmach z czerwonej cegły, z dwoma wieżami odrębnego stylu — otoczony stawem, o wązkiej bramie wjazdowej na pierwszy rzut oka robi wrażenie jakiegoś staroświeckiego warownego monasteru. Lecz monasterem podobno nigdy nie był, lecz duńską twierdzą, jedną z tych, które zbudowano dla obrony południowej części Szwecyi, należącej kiedyś do królów Danii. Pani v. Horn z domu Stjernsvärd opowiadała mi, że dopiero jej dziadek nadał tej twierdzy wygląd mniej warowny. Poprzednio okna wychodziły do zamkowego dziedzińca, a na zewnątrz były tylko małe otwory dla rusznic i dział, których używano dla odparcia napadów nieprzyjacielskich. W tym też celu zamek otacza szeroki i głęboki kanał, przez który rzucono dwa mosty dla komunikacyi z parkiem, lecz mosty te można było bardzo łatwo podnosić i uniemożliwić wstęp nieprzyjacielowi. Opowiadała mi przytem ta pani, że również dopiero jej dziadek zniósł straże zamkowe, obowiązane czuwać dniem i nocą z bronią w ręku nad bezpieczeństwem mieszkańców. To też cały wygląd tej wielkopańskiej

rezydencyi kąpiącej się w olbrzymim parku starych drzew, alei, kląbów, gazonów, doskonale utrzymanych, imponujące i nader miłe zrobił wrażenie. — Z mostu wjechaliśmy w tunel, następnie w mały dziedziniec, konie stanęły przed wejściem takiem, jakie być mogło parę wieków wstecz. Staroświeckie kamienne obramowanie potężnych drzwi okutych żelazem, pamiętających dawne czasy, świadczyły o wyrobionym smaku gospodarzy, umiejącym cenić zabytki przeszłości.

Służba wprowadziła mnie do przedpokoju oświeconego słabo przez zakratowane okno, wychodzące na dziedziniec zamkowy. Wielka tablica z herbami pierwszorzędnych rodów szwedzkich, daje obraz historyi dóbr Vidtsköfle: wędrówki z rąk do rąk bądź drogą spadku, bądź kupna, począwszy od XVII wieku. Wchodzę do salonów pierwszego piętra. Ich urządzenie nader wykwintne, z dobrym smakiem, na ścianach wiszą portrety antenatów i żyjących osób doskonałego pędzla; bogate meble stylowe, rozmaite graty i graciki nagromadzone widocznie biegiem czasu jako pamiątki rodzinne, a nie skupione naraz gdzieś w antykwarniach zagranicznych. Ledwie miałem czas rzucić okiem na gustowne komnaty, gdy weszła mnie powitać poważna matrona, pani Stjernsvärd, wdowa, z synem, córką i zięciem p. von Horn. Przyjęcie było tak uprzejme i życzliwe, że zapoznanie stało się bardzo ułatwionem i uniknąłem tych pierwszych chwil nieraz przykrych, gdy się przybywa do domu zupełnie obcych ludzi. I owszem, mogę powiedzieć, że cały dom w delikatny sposób dokładał starań, abym się nie czuł osamotnionym. Po herbacie, którą zaraz

podano, panowie zaprowadzili mnie na drugie piętro do gościnnego pokoju i zaproponowali zwiedzenie baraków, gdzie się znajdują polscy robotnicy. Długo szliśmy wspaniałym kilkumorgowym parkiem, zanim dostaliśmy się w dzielnicę zabudowań gospodarczych, malowniczo rozłożonych na krańcach ogrodu. W murowanym domku nikogo nie zastaliśmy prócz żony »Aufsehera«, naturalnie Prusaczki z Brandenburgii, która nie miała nic innego do powiedzenia, jak słowo krytyki dla polskich robotnic. Obejrzeliśmy mieszkania polskich robotników i robotnic. Ściany czyściutkie, izdebki ozdobione obrazkami świętych, nad każdem łóżkiem wisi różaniec, czasem i krzyżyk, oręż ludu polskiego na obczyźnie; gdzieniegdzie widzę kwiaty świeże i sztuczne, na pułkach książki do nabożeństwa i inne drobiazgi.

Gdyśmy po oględzinach szli do zamku, ujrzeliśmy dwa wielkie wozy ciągnione przez doskonałą dworską fornalkę, a na nich polskie dziewczęta wracające z pola. Wesoło śpiewały donośnym, czystym głosem; wyraz ich twarzy rumianny, spojrzenie łagodne, pełne skromności z tym miłym blaskiem niewinności dziecięcej, prawie nieznanym w krajach protestanckich. Moi towarzysze zachwyceni byli tym niezwykłym dla nich widokiem, zwłaszcza, gdy po polskim pozdrowieniu: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, wszystko, co żyło, zeskoczyło z wozów i jęło witać polskiego kapłana. Oznajmiłem im, że za chwilę do nich przyjdę, tymczasem powróciłem z uprzejmymi panami, aby zabrać sutannę, bo wiem, że milej nasz lud widzi kapłana w takiem ubraniu, w jakiem go widzi w ojczystych stronach.



Zamek Vidtsköfle od strony zachodniej; podług fotografii z dnia 3 października 1906 roku.

W baraku zebrało się 19 osób: 4 chłopców i 15 dziewcząt. Podobnie jak w innych miejscowościach odpowiednią nauką przygotowałem obecnych do Spowiedzi św., poczem niezwłocznie słuchałem Spowiedzi tych, co do Sakramentu byli już przygotowani. W tym czasie spadł deszcz ulewny, którego od kilku tygodni z upragnieniem oczekiwali szwedzcy rolnicy. Mniej był on dla mnie dogodnym, bo tak się zaciemniło, że sam nie mogłem trafić z baraków do zamku. Dopiero trzeba było wyszukać jakąś latarkę, wziąć przewodników i po błocie zdążać na obiad, z którym na mnie czekano. Za mimowolne spóźnienie łatwo otrzymałem rozgrzeszenie od uprzejmych gospodarzy domu i niezwłocznie zasiedliśmy do stołu. Już kilkakrotnie zauważyłem, że przy obiedzie jest zwyczaj w tych stronach podawać do picia świeże mleko, podobnie jak gdzieindziej piwo, natomiast bez porównania mniej i oględniej używa się tu wina i innych alkoholicznych trunków. Niezawodnie przyczynia się to do zdrowego wyglądu Szwedów i stosunkowo małej ilości chorych. Lecz nietylko o fizyczną stronę dbają Szwedzi. P. v. Horn, wyższy oficer armii szwedzkiej opowiadał mi, że w wojsku prócz ćwiczeń z bronią, wiele łoży się starania, aby żołnierzy wykształcić umysłowo. To też oficerowie są obowiązani do wykładów historyi, geografii i innych przedmiotów dla swoich żołnierzy. Ci podczas swej służby mają o tyle uzupełnić wiadomości zdobyte w szkołach elementarnych, o ile potrzeba, aby się zrównały z temi, jakie dają szkoły wydziałowe. Co do szkół elementarnych, jakkolwiek jest ich wiele w Szwecyi, jednak w jej północnej części,

gdzie ludność jest rzadka a teren rozległy, byłoby rzeczą za kosztowną utrzymywać osobnych stałych nauczycieli. Natomiast wprowadzono tam szkoły wędrowne.



Wjazd do zamku w Vidtsköfle.

Nauczyciel lub nauczycielka zjeżdżają na parę miesięcy w okolicę niemającą stałej szkoły, tam zbierają dziatwę w sposób na jaki zezwalają miejscowe stosunki (dzieci zwożą lub pieszo same się schodzą) uczą je pisać i czytać, resztę pozostawiając rodzicom dziatwy, lub do po-

wtórnego przybycia nauczyciela. Nauka odbywająca się w takich warunkach, ma w sobie wiele ponęty wobec dziatwy. Dowodem jest fakt, że dziatwa takich okolic z upragnieniem wyczekuje zmiany w codziennych swych zajęciach, pilniej i uważniej korzysta z krótkości czasu przeznaczonego na lekcye.

Moi gospodarze bardzo byli zainteresowani misyą dla polskich robotników. Po obiedzie, gdyśmy przeszli do salonu z ciekawością wypytywali o wszystko, co im jako luteranom było nieznanem. Naturalnie najwięcej zajęcia okazywali co dotyczy Sakramentu Pokuty, więc pytania szły jedne po drugich. Gdy im wytłómaczyłem zupełnie objektywnie, na czem u nas polega spowiedź sakramentalna, jej błogie skutki i tajemnicę sakramentalną obowiązującą kapłana; jeden z panów, sam luteranin, odezwał się do obecnych: »Katolicy więcej mają pociechy dla duszy ze swej religii, niż my protestanci.« Temu twierdzeniu nikt ani jednem słowem nie oponował. Pożegnałem panie i poszedłem z mężczyznami do ich pokoi na dalszą gawędkę w materyi rozpoczętej w salonie. Niebawem zjawiła się i córka pani domu, wysłana przez matkę z zapytaniem, czy nie będę potrzebował do jutrzejszego nabożeństwa świec woskowych, gdyż słyszały, że w kościele katolickim tylko takie bywają w użyciu. Uprzejmie podziękowałem za ten nowy dowód łaskawej pamięci, lecz zarazem oświadczyłem, że rzeczywiście tylko woskowych świec używa się do Mszy św. i dlatego zawsze je wożę ze sobą.

Nazajutrz, 3 października, chociaż wstałem bardzo wcześnie — jak na tutejsze zwyczaje — bo o godz. 5,

jednak służący, z polecenia pani domu, już czekał na mnie, aby zabrać przybory mszalne i zaprowadzić do miejsca przeznaczonego na nabożeństwo. W samym



Widok na wjazd od wejścia do zamku w Vidtsköfle.

zamku nie było na to odpowiedniego pokoju — wyznaczono natomiast opodal leżącą oficynę parterową, w której obszerny pokój zaczęliśmy zmieniać w kaplicę. Równocześnie zaczęły się schodzić dziewczęta polskie wystrojone świątecznie z książeczkami do nabożeństw.

Zanuciły one piękną pieśń do Najświętszej Panny — i tak się rozpoczął pamiętny dla nich dzień w Vidtsköfle. Następnie słuchałem spowiedzi, a gdy je ukończyłem, wyszedłem do ołtarza ze Mszą św. Po raz pierwszy od XVI wieku w tej miejscowości odprawiała się Najświętsza Ofiara, a kto wie, czy w ogóle był tu jaki kapłan katolicki nawet przed czasami upadku religijnego Szwecyi. Trzeba było dopiero przybycia polskich robotników i robotnic, aby dla nich nawiedzał te strony kapłan. Przy tej okazyi uświęcała się ziemia Ofiarą bezkrwawą Chrystusa, gorącą modlitwą obecnych, lub cichem westchnieniem dość silnem, aby przebijało niebiosa i stanęło u tronu Bożego, skoro pochodzi z serca czystego i pełnego miłości Bożej.

Gdyśmy się zasilili Ciałem Pańskiem, jeszcze czas dłuższy trwaliśmy na modlitwie wspólnej, aby podziękować Panu Bogu za wielkie łaski otrzymane przed chwilą. A gdyśmy na-ze dziękczynienia zakończyli, zacząłem rozbierać ołtarz i składać przybory mszalne, ludek dalej nucił pieśni pobożne kończąc je ze mną tradycyjnem »Anioł Pański.« Niech ten sam Archanioł i Święci Aniołowie Stróże czuwają dalej nad tą garstką Polaków i Polek na obczyźnie chronią przed złem, bezustannie dobre natchnienia u Boga wypraszają, aż je szczęśliwie zawiodą z powrotem pod rodzinną strzechę!

Po śniadaniu pożegnałem gościnny dom państwa Stjernsvärd'ów unosząc miłe wspomnienia, a tem milsze, że nie spodziewałem się tak łaskawego przyjęcia jako kapłan katolicki wśród innowierców nie potrzebujących się krępować żadnymi względami prócz tych, jakie dobre wy-

chowanie wymaga. Właśnie dlatego przy wyjeździe żal budził się w sercu: Czegóż ten dom nie jest katolickim? Czemu jeszcze nie powrócił do wiary swych ojców? Lecz i odpowiedź sama się nasuwała: *messis quidem multa operarii autem pauci.* Może cnoty naturalne tych Szwedów przyspieszą chwilę miłosierdzia Bożego i otworzą się ich oczy na poznanie prawdy, a serce na jej przyjęcie.

Powóz pomknął przeszło kilometr długą aleą wysadzaną naprzemian lipami, dębami, kasztanami, bultami, ciągnącą się w prostym kierunku aż do liściastego lasu wśród którego znajduje się na polanie stacya kolejowa Vidtsköfle. Tutaj wsiadłem do pociągu idącego w kierunku południowym do stacyi St. Olof, zaledwie 31 kilometrów oddalonej, gdzie czekały na mnie konie z Kronowall, majątku hr. Sparre.

VIII. W Kronowall.

Ze stacyi St. Olof jechałem powozem zaledwie pół godziny do Kronowall. Droga bardzo urozmaicona wskutek pagórkowatego terenu: raz gaje drzew liściastych, to pola uprawne, to stawki — przesuwają się przed naszymi oczyma, porozdzielane domostwami rolników, zanim wjechaliśmy w rozległy park, wśród którego na podwyższeniu wznosi się rezydencya hr. Sparre. Pałac w stylu francuskiego renesansu dopiero w ostatnich czasach zbudował obecny właściciel Kronowalu na miejscu dawnego, nie odpowiadającego wymogom dzisiejszym. Dobrze, że gmach stanął na tem samem

miejscu, co dawny budynek, wskutek czego otoczenie starych drzew i stawów dodaje tej rezydencyi wiekową powagę i dostraja ją do prastarego rodu hr. Sparre. Wywodzi się on z owych nielicznych szwedzkich laarów, którzy przed utworzeniem królestwa, jako udzielni panowie krajem swym rządzili.

Z chwilą (r. 1873), gdy w Szwecyi usunięto zakaz wyznawania religii katolickiej, hr. Sparre powrócił do wiary swych antenatów z przed czasów reformacyi i znalazł godną towarzyszkę swych uczuć w hrabinie Sparre z domu hr. Hamilton, wdowie po dalekim swym krewnym. Od tej chwili Kronowall, wiano hrabiny, stało się jednem z rzadkich ognisk życia katolickiego w Szwecyi, skąd co dobre i szlachetne inicyatywę i pomoc znajduje. Jednem z takich jest misya dla Polaków w Szwecyi. Hr. Sparre mają w swym pałacu kaplicę, a w braku kapelana od czasu do czasu przybywa tu O. Stolberg, lub inny kapłan dla odprawienia Mszy św. Pewnego razu hrabina zwróciła uwagę O. Stolbergowi, że w fabryce w Bromölla są zajęci robotnicy polscy, katolicy, i że należałoby ich odwiedzić, bo znajdują się w opłakanym stanie tak duchowo, jak materyalnie. Dzięki więc inicyatywie tej przezacnej pani, O. Stolberg rozpoczął opiekę nad polskimi robotnikami i, jak wyżej powiedzieliśmy, urządza przy pomocy polskiego kapłana misye już nietylko w Bromölla, ale i w rozlicznych innych miejscowościach na ziemi szwedzkiej. Nadto hr. Sparre otwierają dom swój dla misyonarzy, aby po trudach mogli czas jakiś spocząć i nabrać siły do dalszej pracy.

W tym też celu i ja do Kronowall przybyłem, korzystając z łaskawości tego domu. Hrabiny nie zastałem, bawiła z synem uczęszczającym do szkół w Malmö, natomiast przyjął mnie hr. Sparre z pasierbicami, dorastającemi panienkami, wyręczającemi swą matkę w podejmowaniu gości, i O. Stolberg, który dnia poprzedzającego tu zjechał. Skład osób wywarł na mnie wrażenie ogrodu palmowego wśród pustyni Sahary: wśród otoczenia luterskiego kwitną tu pełnem tętnem zasady chrześcijańskie, one są tłem, na którem rozwija się życie rodzinne wszystkich osób razem i każdej z osobna, wyciskając piętno wybitne wyznawców Chrystusa, jakby z pierwszej doby naszej ery. Z takimi ludźmi konwersacya nie utyka, bo umysły skwapliwie pochłaniają to, co się odnosi do działalności, trosk i położenia Kościoła katolickiego, zbawienia dusz, życia nadprzyrodzonego człowieka. A pochłaniają to nie dla zrobienia przyjemności tym, których obecnie goszczą wśród siebie, lecz dla własnego prawdziwego interesu, który nie ogranicza się do tej ziemi, lecz sięga w dalszą metę — we wieczność.

Po wieczerzy, jak na katolicki dom przystało, wszyscy zgromadziliśmy się w kaplicy domowej. W tabernaculum znajdował się Najświętszy Sakrament, bo rano konsekrował hostye O. Stolberg, i będą zachowane, jak długo zabawimy w Kronowallu. Pan domu po szwedzku odmawiał litanię i inne wieczorne modlitwy, rodzina i domownicy katolicy odpowiadali.

Nazajutrz miałem Mszę św. około 8 godziny, do której służył O. Stolberg, następnie on odprawił Najświętszą Ofiarę, mając jako ministranta hr. Sparre. Na pierwszej lub drugiej Mszy św. wszyscy domowi komunikowali. Tak łącząc się przy ołtarzu, sądzę, że się nie pomylę, twierdząc, iż jedno uczucie, jedno pragnienie dominujące nad innemi, ogarniało nasze serca i umysł w kornej ku Bogu modlitwie, a mianowicie nawrócenia Szwecyi.

Gdyśmy się znaleźli w sali jadalnej, wśród szeregu pięknych portretów, jeden, w cieniu umieszczony, szczególnie mnie zajął. Był to portret hr. Eryka Sparre, senatora i kanclerza szwedzkiego królestwa, ściętego za wierność królowi polskiemu Zygmuntowi i wierze katolickiej. Hrabianki widząc, że mnie interesuje ich antenat, przyniosły medal srebrny pamiątkowy. Po stronie wizerunku czytam napis:

ER. SPARRE. R. SVEC. SEN. ET. CANCELL.

Z drugiej obok urny:

Pro lege, rege et grege operam devovit et vitam MDC.

Warto bliżej zapoznać się z tą osobistością, stojącą w pewnym stosunku do Polaków. Dla zrozumienia dramatu kończącego się śmiercią hr. Eryka, należy rzucić okiem w bezpośrednią przeszłość Szwecyi i przypomnąć sobie niektóre najważniejsze fakta.

Wiadomo, że królowa duńsko-norweska, Małgorzata, zwoławszy do Kalmaru stany duńskie, norweskie i szwedzkie, doprowadziła do skutku w roku 1397 tak zwaną *unię kalmarską.* Odtąd trzy kraje skandynawskie: Dania, Norwegia i Szwecya zobowiązały się mieć

wspólnego monarchę, każdy wszakże z trzech krajów miał rządzić się swojemi prawami ze współudziałem własnej rady koronnej. W ciągu następnego stulecia



Hr. Eryk Sparre, ścięty d. 17 marca r. 1600; podług starego portretu znajdującego się w rodzinie hr. Sparre.

rozmaite koleje przechodziła unia kalmarska, lecz jeszcze jako tako utrzymywała się. Dopiero za rządów z duńskiej dynastyi Chrystyana II (1513—1523) wskutek wy-

mordowania przezeń szlachty szwedzkiej w Stokholmie r. 1520, przyszło do zupełnego rozdziału Szwecyi od Danii.

Od tej chwili Szwecya poczęła dążyć do samodzielności. Na czele powstania stanął Gustaw Erichson Waza. Wyswobodził on swoją ojczyznę od okrutnych rządów Chrystyana II i rozpoczął na wielką skalę reformy w państwie. Jednakowoż te reformy pochłaniały tyle pieniędzy, że skarb państwowy zaledwie był wstanie pokryć jedną trzecią część wydatków. Skąd wziąć pieniądze na spłacenie rosnących z dniem każdym długów? Gustaw Waza wpada na myśl zrabowania dóbr kościelnych i klasztornych. Dla przeprowadzenia zbrodniczego zamiaru trzeba było wpierw ten Kościół usunąć. Okazya do tego nastręczała się, bo już wystąpił Luter w Wirtembergii, gromadząc około siebie wyrzutki społeczeństwa katolickiego, które jako predykanci »nowej nauki« gotowe były iść na skinienie Gustawa do Szwecyi. Mając on za sobą mieszczaństwo i lud, również część szlachty, wdzięcznych za oswobodzenie Szwecyi od okrucieństw Chrystyana II, intrygą i gwałtem wprowadził luteranizm do królestwa swego. Następnie wymógł pozwolenie stanów na konfiskatę dóbr kościelnych katolickich, wreszcie (w r. 1544) pod grozą wygnania zakaz przebywania katolikom na ziemi szwedzkiej. Przed śmiercią (30 września 1560 r.) koronę królewską przeznaczył najstarszemu swemu synowi Erykowi, a trzem młodszym synom: Janowi, Magnusowi i Karolowi oddał w zarząd prawie niezależny prowincye: Finlandyę, Gotlandyę wschodnią i Sudermanlandyę.

Najstarszy z synów Gustawa Wazy: Eryk IV, krótko rządził królestwem (r. 1560—1568), bo wpadł w taki szał tyraństwa, że nawet rodzonego brata, księcia Finlandyi, Jana, ożenionego z Katarzyną Jagiellonką (ostatnią tego rodu), wtrącił do więzienia w Gripsholmie. Znienawidzonego króla, prawie już szaleńca, zdetronizowały stany szwedzkie i na jego miejsce powołały Jana, więźnia z Gripsholmu.



Hr. Eryk Sparre, kanclerz królestwa szwedzkiego; podług portretu znajdującego się u hr. Sparre w Kronowall.

Pod kierunkiem dwu księży katolickich, którzy przybyli z Katarzyną Jagiellonką do Szwecyi, Jan III rozczytywał się w Ojcach Kościoła i coraz bardziej utwierdzał w prawdziwości wiary katolickiej. Zaraz też po objęciu rządów królewskich, zaczął myśleć o jej przywróceniu w Szwecyi. W ciągu następnych lat, pod wpływem Jezuity, O. Stanisława Warszewickiego, wyprawionego z poselstwem do Szwecyi w r. 1574, król Jan III jeszcze energiczniej zabrał się do przeprowadze-

nia swoich planów względem Kościoła katolickiego. W tym celu zwołał synod, na którym przedstawił do zatwierdzenia nową liturgię, któraby obowiązywała całą Szwecyę. Wielu znalazł protestantów przychylnych dla zbliżenia się ku Kościołowi katolickiemu, trzeba było jednak pozyskać dla tej sprawy także młodszego brata, Karola, księcia Sudermanlandyi, znanego pod imieniem Karola Sudermańskiego. W poselstwie do brata wysłał król w roku 1576 kilku znakomitych panów, między innymi hr. Eryka Sparre, o którym wyżej wspomniałem.

Eryk Laarsson Sparre, urodzony 13 lipca r. 1550, był synem laara Siggerssona młodszego, a musiał być mężem wielkich nadziei i stałych katolickich zasad, skoro już w 27 roku życia do tak ważnej misyi przez króla był powołanym.

Niestety, misya hr. Eryka nie powiodła się, gdyż ks. Karol Sudermański stał twardo przy luteranizmie. Spodziewał się on przez to pozyskać względy zlutrzałych książąt niemieckich i przy ich pomocy opanować tron szwedzki, który prawem dziedzictwa miał się dostać nie jemu, lecz Zygmuntowi, synowi panującego króla Jana III. Królewicz Zygmunt, urodzony w więzieniu gripsholmskim, starannie był wychowany przez matkę we wierze katolickiej i w przywiązaniu do Polski. Katarzyna Jagiellonka przeczuwała, że w braku potomstwa Zygmunta Augusta, może jej syn, jako ostatni potomek Jagiellonów, aczkolwiek tylko po kądzieli, otrzyma berło polskie i połączy z niem szwedzkie, należne mu po ojcu.



Pałac w Kronowall od strony północnej wjazdu; podług fotografii.

Właśnie wyrastał Zygmunt na dojrzałego młodzieńca, gdy niespodziewanie zawakował tron polski wskutek śmierci Stefana Batorego r. 1586. Niebawem miała się odbyć elekcya nowego króla. Kandydatów na tron było wielu. Jan III nie zapomniał o pewnych prawach syna do tronu polskiego i wysłał jako swego legata na elekcyę do polski znowu swego zaufanego hr. E. Sparre. Dobrym był on rzecznikiem sprawy Zygmuntowej, skoro Rzeczpospolita powołała na tron polski królewicza szwedzkiego. Wraz z królem-elektem wybrał się hr. Sparre z flotą szwedzką do Gdańska, następnie do Warszawy, gdzie został posłem króla szwedzkiego na dworze Zygmunta III. Lecz już w roku 1590 przez stany państwa został odwołany hr. Sparre z urzędu i 19 lutego tegoż roku wtrącony do więzienia pod zarzutem, że przekroczył swą władzę poselską. Król polski wstawił się za nim do ojca i wyjednał rehabilitacyę posła szwedzkiego. Lecz intrygi luterskie i chwiejność we wierze Jana III, ponownie spowodowały odwołanie hr. Sparre do Szwecyi. Stawiono go przed sąd. Trybunałowi mającemu sądzić jego sprawę, przewodniczył sam król. Czyniono mu ponownie zarzuty o przekroczenie władzy poselskiej, przyczem książę Karol Sudermański gwałtownie występował przeciw niemu i tak rozjątrzył króla, że tenże wyciągnął miecz z pochwy, gotów bez sądu przebić oskarżonego. Gdy jednak trybunał dozwolił hr. Sparre bronić swej sprawy, tak dzielnie uzasadnił niesłuszność czynionych mu zarzutów, że wyrok zapadł uniewinniający; co więcej:



Pałac w Kronowall od strony południowej parku.

Jan III na łożu śmierci przywrócił mu wszystkie godności, przedtem zajmowane, z warunkiem, aby był wiernym jego synowi Zygmuntowi III, co też do śmierci hr. Eryk niezachwianie wypełnił.

W tym czasie napisał on broszurę pod tytułem *Pro lege, rege et grege.* Omawiał w niej panujące w Szwecyi smutne stosunki religijne i państwowe, przedkładał nadto środki zaradcze. Książę Karol Sudermański czuł się do żywego obrażony tą broszurą, gdyż on, chociaż tam nie był wymienionym, jednak rzeczywistą był przyczyną nieszczęść Szwecyi. Z drugiej strony coraz bardziej chwiał się we wierze Jan III, zwłaszcza gdy jako wdowiec powtórnie wszedł w związki małżeńskie z luteranką; brakło mu stanowczości w postępowaniu, widocznie i błogosławieństwo Boże opuściło króla. Skorzystał z jego usposobienia książę Karol Sudermański i prawie że zagarnął wszelką władzę królewską.

Po śmierci Jana III w r. 1592, zanim król Zygmunt III zdążył z Warszawy do Szwecyi na objęcie dziedzicznego tronu, książę Karol Sudermański, pełniący funkcye regenta królestwa, wymógł na stanach zakaz swobody wyznania i wprowadził na nowo luteranizm jako religię panującą.

Tymczasem przybył do Szwecyi Zygmunt III na objęcie tronu ojcowskiego. Narzucane mu warunki przejścia na luteranizm odrzucił z całą stanowczością, co do innych reform, zachował ostateczną decyzyę do chwili koronacyi.



Widok z parku od strony wschodniej w Kronowall.

Na dzień 19 lutego roku 1594 zjechała szlachta szwedzka do Upsali, gdzie miała się odbyć uroczystość koronacyjna. Zjechał również książę Karol Sudermański na czele 3000 zbrojnych, dając tem samem dowód, że gotów jest siłą przeprowadzać swoje plany. W orszaku królewskim znajdował się wówczas jako kanclerz państwa hrabia Eryk Sparre. Z urzędu przysłużyło mu nieść w procesyi koronacyjnej insygnia królewskie i czytać rotę przysięgi, jaką król składał na zamku.

Wobec przewrotności stryja i fanatyzmu luteranów, położenie króla Zygmunta było bardzo ciężkie. Przed odjazdem ze Szwecyi powierzył rządy wspólnie stryjowi i radzie państwa, i odjechał do Polski w sierpniu tegoż r. 1594.

Po odjeździe króla Zygmunta Karol Sudermański dalej knuł intrygi przeciw swemu synowcowi, dopokąd nie pozbawił go tronu. Aby mieć większą swobodę w działaniu, uwolnił się od rady koronnej, utworzonej przez króla, i w r. 1595 zwołał sejm do Suderköping, aby na nim wnieść oskarżenie przeciw Zygmuntowi. Zarzucał mu jako zbrodnię, że przyznał katolikom szwedzkim tolerancyę religijną, i że im nadawał urzędy publiczne. Nietrudno mu przyszło uzyskać uchwałę obecnych luteranów na wygnanie wszystkich katolików ze Szwecyi, a nadto zakaz apelacyi do króla we wszystkich sprawach, dopokąd on przebywa w Polsce. Niegodziwe uchwały z największą srogością zaczęto zaraz wykonywać, nie wahając się chłostami zmuszać katolików szwedzkich do udziału w nabożeństwach luterskich.



Widok na park i pałac w Kronowall od strony zachodniej.

Jednym z pierwszych, który padł ofiarą prześladowania, był hr. Eryk Sparre. Schronił się on najpierw do Danii, następnie do Polski, aby na dworze Zygmunta III radzić nad losem swojej ojczyzny. Tymczasem bezprawia działy się coraz częstsze i widoczniejszem się okazywało, że książę Karol zamierza odebrać tron swemu synowcowi. Nie było innej rady, jak na czele wojska wyruszyć w obronę swych praw królewskich w Szwecyi.

W dniu 8 sierpnia r 1598 Zygmunt III z 5000 wojska wylądował w Kalmarze, w orszaku znajdował się wierny swemu panu hr. Eryk Sparre. Książę Karol zbrojno wyruszył na spotkanie swego bratanka, lecz pobity, w ucieczce musiał szukać schronienia. Dobrotliwy król Zygmunt zamiast korzystać z odniesionego zwycięstwa i ubezwładnić przeciwnika, nie chcąc dalszego przelewu krwi, zaniechał pościgu. Skorzystał z tego książę Karol. W ponownej bitwie pod Stängebro odniósł nad królem zwycięstwo, którego skutek był ten, że ostatecznie hr. Eryk Sparre dostał się do niewoli i wraz z innymi znakomitymi panami szwedzkimi, wiernymi królowi polskiemu, został wtrącony do więzienia na zamku w Nyköping. Od tej chwili dnie jego były już policzone. Ks ążę Karol Sudermański miał się okazać nieubłaganym. W roku 1600 herold sądowy, Eryk Göronsson, ogłosił wyrok skazujący hr. Eryka Sparre za zdradę stanu na śmierć.

Do ostatniej chwili wspólników niedoli pocieszał jak mógł i umiał ten, co wiernym pozostał wierze św. i prawowitemu swojemu królowi. W dniu 20 marca

r. 1600 pod osłoną wojska wyprowadzono na rynek targowy w Linköping radców stanów państwa jako skazańców. Pod topór kata schylali swe głowy kolejno kanclerz hr. Eryk Sparre, następnie inni radcy: Gustaw Bauer, Sten Bauer, Thure Bjelke, Jöns Falk. Ciało hr. Sparre przeniesiono do grobowca w kościele katedralnym w Linköping, następnie do kościoła w Öja, gdzie również złożono zwłoki jego żony. [1])

Króla Zygmunta zdetronizowano, a na jego miejsce objął rządy królestwa szwedzkiego w roku 1604 książę Karol Sudermański jako Karol IX.

Oto przeszłość postaci historycznej, dziś na nas spoglądającej z portretu w Kronowall. Jakżeż on na tamtym świecie cieszyć się musi z widoku swych w prostej linii potomków wiernych tej samej religii i tym samym zasadom, jakich ongiś on bronił i śmiercią przypieczętował *pro lege, rege et grege!*

IX. Wycieczka z Kronowall do St. Olof.

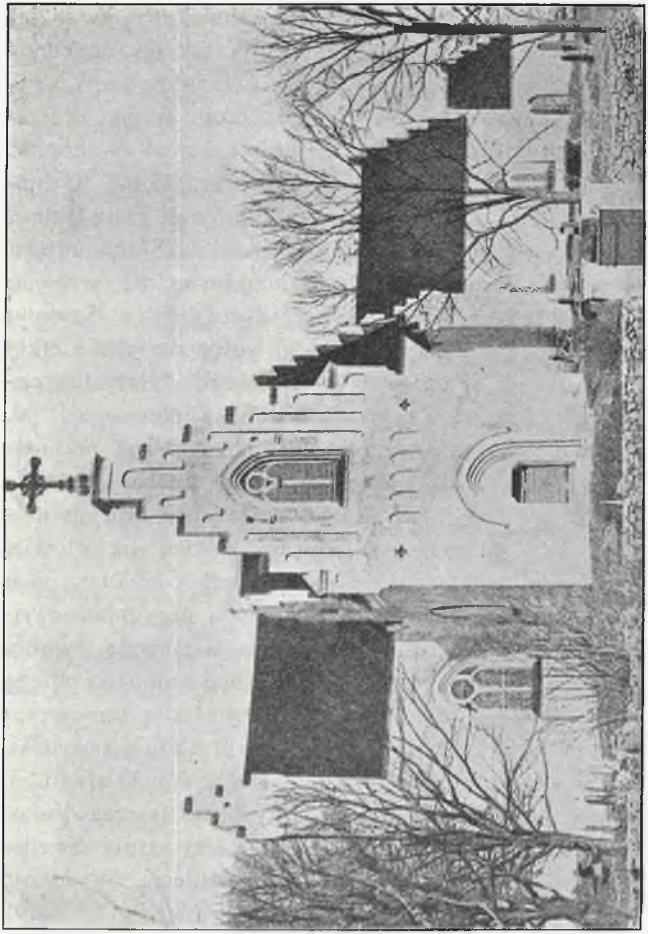
Nazajutrz po przybyciu do Kronowall, hrabianka Karin zaproponowała mi po południu wycieczkę do St. Olof, gdzie się znajduje stary kościół dawniej katolicki, dzisiaj luterski, pełen średniowiecznych pamiątek. Naturalnie przyjąłem łaskawe zaprosiny i w towarzystwie także paru innych osób wyjechaliśmy z Krono-

---

[1]) Cf. *Svenska Adelus Ättar-Taflor*, utgifna af Gabriel Anrep. Stockholm 1864. S. 64—65; Historya Powszechna przez J. F. Holzwartha, T. VI, Część pierwsza. Warszawa 1884, str. 327—341.

wall przy przepięknej jesiennej pogodzie. Okolica, którąśmy przejeżdżali, była pełna zieleni, zmieniającej się stosownie do gatunku roślin, krzewów i drzew w żółtawą, czerwono-brunatną lub ciemno-zieloną, prawie w czarny ton wpadającą barwę. Wjechaliśmy do wioski, czy małego miasteczka St. Olof. Domostwa rozrzucone po pagórkach przy drodze i w dali, niektóre z werandami i otoczone ogródkiem. Na jednym z okazalszych pagórków zarysował się kościół św. Olafa, otoczony cmentarzem, wśród cienia drzew. Zachodzące słońce pięknie oświetliło mury białe, jak śnieg, starej świątyni, pamiętającej najpiękniejsze czasy Szwecyi. Zaraz na pierwszy rzut oka można poznać, że dwie epoki składały się na jego budowę. Pierwsze dwie części najniższe — dzisiaj presbyteryum — pochodzą podobno z XII wieku i służyły za kaplicę zupełnie wystarczającą na ówczesne potrzeby małej garstki wiernych. W następnym stuleciu dobudowano dzisiejszą nawę, pozostawiając dawną kaplicę, jako presbyteryum nowego kościoła. Z biegiem lat, niewiadomo dla jakiej przyczyny, wysokie okna, widoczne pomimo otynkowania, zmniejszono, dając im taki wygląd, jaki dziś widzimy.

Wobec wiekowego antagonizmu, jaki istniał między Norwegią a Szwecyą, możnaby się dziwić, że król norweski św. Olaf jest czczonym w Szwecyi, a nawet znajduje się kościół i miejscowość jego imienia. Pomijając okoliczność, że w Kościele katolickim znikają narodowościowe waśni, gdzie nie z imienia, lecz wprawdzie wierni trzymają się zasad Chrystusowej nauki, dotyczącej miłości bliźniego i pośrednictwa Świętych



Kościół św. Olafa w St. Olof; podług fotografii.

w niebie: inna jest jeszcze racya, dla której św. Olaf swojskim jest nawet w Szwecyi. Wszak on niejednokrotnie bawił dłuższy lub krótszy czas w Szwecyi, szukając schronienia przed uzurpatorami tronu norweskiego, potężnymi jarlami pogańskimi, i miał sposobność dać tutaj poznać i siebie i wiarę przez siebie wyznawaną. Skoligaconym był nawet z królami szwedzkimi, boć pojął za żonę Ingrę, córkę Olafa Skotkonunga, rządzącego Szwecyą w drugiej połowie XI stulecia. Głównym jednak powodem czci św. Olafa w Szwecyi najprawdopodobniej były zasługi położone około krzewienia nauki Chrystusowej w Norwegii i złamania potęgi pogaństwa, co zarówno katolicką Norwegię, jak jej sąsiadkę Szwecyę mogło obchodzić. Tak przynajmniej przemawia do nas piękna stara rzeźba św. Olafa Norweskiego znajdująca się w kościele, o którym mówimy. W królewskim stroju z koroną na głowie, w prawej ręce trzyma topór, w lewej *ciborium,* jako symbol wiary katolickiej. Prawą nogą przygniata żyjącego jeszcze smoka o ludzkiej głowie w koronie, symbol panującego podówczas pogaństwa, ujarzmionego potęgą chrześcijańskiego monarchy. Nad tą rzeźbą umieszczono w ramach dobrze czytelny stary rękopis szwedzki, który w krótkości podaje dzieje św. króla Olafa II. [1]) Posąg królewski cały polichromowany i jeszcze doskonale zachowany, pięknym jest zabytkiem sztuki szwedzkiej z końca XIV lub początków XV stulecia. Wysokość statuy wynosi mało co więcej nad 1 metr.

[1]) Obszerniej o św. Olafie pisałem w *Mis. kat.* str. 257, r. 1906 i w książce p. t. *W Norwegii i Laponii.* Kraków, r. 1897, str. 29—48.

Lecz wróćmy do samego kościoła, zanim jeszcze inne cenne zabytki w nim oglądać będziemy. Stare drzwi były zamknięte. Panie posłały po pastora, czy jego pomocnika opodal mieszkającego, który chętnie kościół otworzył. Bywa on cały tydzień zamkniętym; lud niema prócz niedzieli żadnych nabożeństw, a na modlitwę codzienną do kościoła nie spieszy, bo niema Tego, któryby ich serca do siebie w nim pociągał. Sklepienie gotyckie o łukach krzyżowych przypomina architekturę staro-normandzką. Prócz wielkiego ołtarza, znajdują się dwa boczne, tak jak były w XVI w. za czasów katolickich. Naturalnie że brak im tylko konsekrowanych kamieni z relikwiami, które usunięto z mensy ołtarza, nawet nie zadając

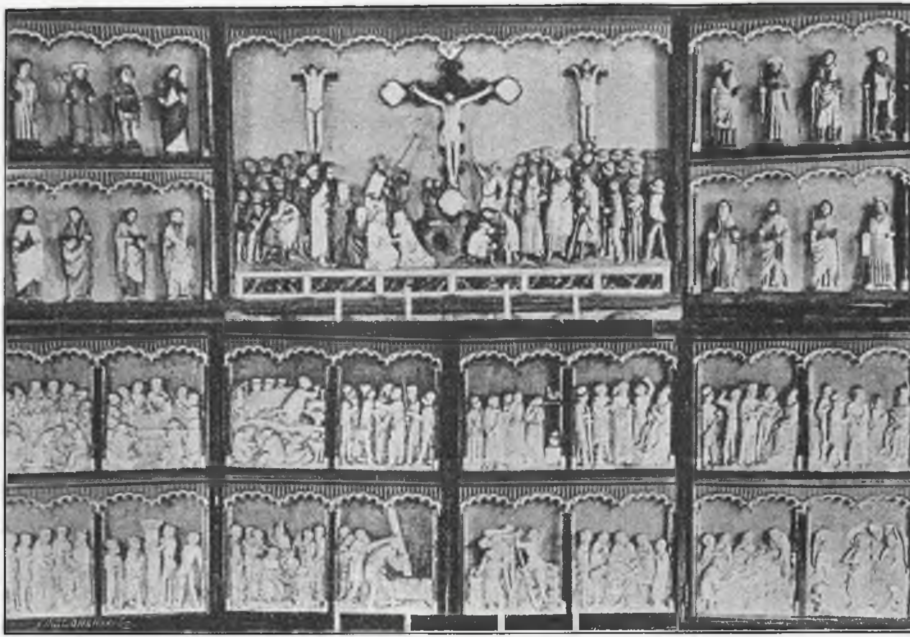


Rzeźba przedstawiająca ś. Olafa w kościele pod jego wezwaniem znajdującego się w St. Olof. — U góry życiorys na pergaminie spisany.

sobie trudu, aby otwory po nich zamurować. Tem lepiej; niech świadczą ołtarze dzisiejszym i następnym pokoleniom, że służyły do kultu nieznanego luterskim Szwedom, że czegoś brak w ich wyznaniu, co było we czci i poszanowaniu, gdy kościół był w ręku katolickich ich przodków.

Jeszcze wymowniej o dawnym kulcie przemawiają prześliczne tryptyki nad ołtarzami umieszczone, przytykające do ścian i filarów. Obok scen odnoszących się do Osoby Zbawiciela, znajdujemy na nich i Matkę Najśw. i świętych szwedzkich patronów w aureolach, jakiemi zdobią wizerunki pośredników naszych przed Bogiem. Wiadomo, że protestanci odrzucają dogmat katolicki o obcowaniu świętych, zwłaszcza, co dotyczy ich wstawiennictwa w niebie, i zarzucają nam katolikom bałwochwalstwo, gdy cześć oddajemy Najśw. Pannie i Świętym Pańskim. Niekonsekwentni w swych wierzeniach, pozostawili jednak w spokoju tych Świętych na ołtarzach po przemienieniu kościoła na zbór protestancki.

Najpiękniejszy taki obraz składany znajduje się nad wielkim ołtarzem. Tem się różni od innych podobnych, że posiada nie dwa, jak zwyczajnie bywa, lecz cztery skrzydła boczne. Płaskorzeźba w drzewie polichromowana w dwu pierwszych skrzydłach, przedstawia sceny z życia Pana Jezusa i Najświętszej Panny. Drugie dwa skrzydła także są płaskorzeźbą w drzewie, lecz pociągniętą białym pokostem, z wyjątkiem sceny w środkowej części przedstawiającej ukrzyżowanie, która jest kolorowaną. Ta ostatnia część otwiera się na czas postu i przedstawia najważniejsze chwile z męki Pana



»Tryptyk« o czterech skrzydłach z płaskorzeźbami. (Zob. tekst na str. 228 i nast.).

naszego Jezusa Chrystusa. Widzimy więc kolejno przedstawione umywanie nóg apostołom, ustanowienie Najświętszego Sakramentu Ołtarza, modlitwę w Ogrojcu, pocałunek Judasza, zaparcie się św. Piotra, Chrystusa przed Annaszem, Kaifaszem, Piłatem, Herodem, znowu przed Piłatem, biczowanie, cierniem ukoronowanie, Chrystusa dźwigającego krzyż, zdjęcie z krzyża, Chrystus na rękach Najśw. Matki, Jego złożenie do grobu, zmartwychwstanie. Ponad tem wszystkiem góruje scena ukrzyżowania, bardzo charakterystycznie przedstawiona. U stóp krzyża Chrystusowego i dwu bocznych, poznajemy całą rzeszę osób biorących udział w męce Zbawiciela. Więc na pierwszym planie widzimy trzy Marye, św. Weronikę trzymającą chustkę z obliczem Zbawiciela, Jana św., Józefa z Arymatei. Po lewej stronie krzyża Chrystusowego, prawie pod krzyżem złego łotra, przedstawił artysta wszystkich dostojników żydowskich w ich oryginalnych strojach, a więc Annasza, Kaifasza, Heroda, Piłata. Z obydwu stron tej płaskorzeźby widzimy rzeszę jeszcze innych osób zmięszaną z żołdactwem w strojach średniowiecznych szwedzkich. Na twarzach doskonale uwydatnił rzeźbiarz odpowiednie uczucia duszy, wszystko zaś w pełni życia i ruchu.

Całość uzupełnia szereg św. Apostołów i szwedzkich świętych, oddzielonych od obrazów głównej akcyi, harmonijnie przedstawiających przewodnią myśl artysty.

Z tej samej epoki w bocznym ołtarzu znajduje się płaskorzeźba polichromowana, przedstawiająca na tronie Najśw. Pannę z Dzieciątkiem Jezus. W dwu skrzydłach

tego tryptyku widzimy święte księżniczki i królowe, w koronach na głowie, patronki Szwecyi.



Tryptyk w kościele św. Olafa przedstawiający Najśw. Pannę z Dzieciątkiem Jezus i świętemi królewnemi i księżniczkami szwedzkiemi.

Nie mniej interesującą jest płaskorzeźba św. Anny »Samotrzeciej«, trzymającej na kolanach Najśw. Pannę z Dzieciątkiem Jezus. Całość bardzo majestatycznie przedstawiona w układzie wszystkich trzech figur.

Cykl płaskorzeźb zamyka przepiękny ołtarzyk w stylu gotyckim, przedstawiający Trójcę Przenajśw. Bóg Ojciec w postaci Króla świata podtrzymuje rękoma Krucyfiks, nad którym unosi się gołąb, symbol Ducha św. (Zob. rycinę na str. 235).

Tak jak poprzednie płaskorzezby i ta ostatnia wykonana jest w drzewie, polichromowana, a pochodzi również z końca XIV lub początków XV stulecia.

Jakżeż pięknie w tych pomnikach katolickiej przeszłości odzwierciadla się historya Kościoła w Szwecyi od jej pierwszego apostoła św. Ansgara do św. Brygidy, założycielki zakonu w Wadstena! Szwedzkie tradycye podają, że gdy król Biorne wysłał posłów do cesarza frankońskiego Ludwika I-go (syna Karola W.) z prośbą o przysłanie misyonarzy dla głoszenia nauki Chrystusowej, cesarz zwrócił się z prośbą do Ansgara, zakonnika reguły św. Benedykta, znanego z nauki i świętości życia. Ansgar niezwłocznie udał się z królewskimi posłami do Szwecyi, biorąc do pomocy Ojca Wittmara i kilku innych towarzyszy. Skutek nauk odpowiedział ich gorliwości. Wielu ze Szwedów uwierzyło w Chrystusa i zostało ochrzczonych, a między tymi Henrigar, najwybitniejszy z urzędników królewskich. Tego gorliwość okazała się nietylko w budowaniu kościoła w swoich dobrach, lecz i w głoszeniu innym nauki, którą poznał i ukochał. Pierwszy kościół zbudowano podówczas na wyspie jeziora Mälar w miejscowości Björkö. Gdy św. Ansgar dla gwałtownych potrzeb Kościoła został odwołany do Danii, a następnie w Hamburgu został biskupem, na swojem miejscu po-

zostawił w Szwecyi biskupa Szymona i kapłana Nitarda, którzy za głoszenie nauki Chrystusa śmierć męczeńską ponieśli. Było to w drugiej połowie IX stulecia. Prześladowanie chrześcijan i brak kapłanów spowodowały zastój w ewangelizacyi Szwecyi; lud do pogaństwa powrócił, a historyk szwedzki dodaje: *factaque sunt novissima Sueciae pejora prioribus.*



Płaskorzeźba polichromowana przedstawiająca św. Annę z Najśw. Panną i Dz. Jezus w kościele św. Olafa.

Dopiero za rządów króla Olafa Skotkonunga (teścia św. Olafa II, króla norweskiego) — szczęśliwsze czasy nastały w Szwecyi. Król Olaf pragnąc dać poznać naukę Chrystusa swoim podwładnym, wysłał poselstwo do króla Anglii z prośbą o misyonarzy. Ten zwołał na synod biskupów i kapłanów, przedstawił zebranym prośbę króla szwedzkiego, i prosił, aby ze swego zakonu (Benedyktyńskiego) wybrano odpowiednich kapłanów, któ-

rzyby gotowi byli na wszelkiego rodzaju trudy, prace, niebezpieczeństwa, chociażby nawet na śmierć męczeńską. Gdy po trzydniowych naradach ledwie który okazał gotowość na tego rodzaju misyę: św. Zygfryd biskup, rodem Anglik, spokrewniony z królem, mąż sławny z nauki i powagi u współczesnych, ofiarował się na tę podróż. Wraz z trzema siostrzeńcami i swoim krewnym św. Eskilem wybrał się w niebezpieczną drogę i zawitał na szwedzkie wybrzeża do Wexiö. Było to około r. 1000. Roczniki szwedzkie podają [1]), że Bóg obdarzył św. Zygfryda łaską cudów, które tak silne wrażenie zrobiły na pogan, że wielu z nich odrazu w Chrystusa uwierzyło, a nawet sam król Olaf Skotkonung wyszedł z orszakiem na jego powitanie i prosił o Chrzest św.

Podczas gdy św. Zygfryd zajął się zakładaniem gmin chrześcijańskich i budową kościołów: dochodzi go wieść bolesna, że trzej jego siostrzeńcy kapłani, którym powierzył zarząd wexioneńskiego kościoła, zostali przez pogan zrabowani i zamordowani, a ich głowy wrzucono do bagna. Do dawnych więc męczenników Szymona i Nitarda, przybyło trzech nowych, którzy krwią własną użyźnili posiew Chrystusowej nauki.

Pierwszym jego owocem było powołanie św. Dawida, późniejszego opata. Rodem Anglik, zakonnik reguły św. Benedykta, na wieść o śmierci męczeńskiej siostrzeńców św. Zygfryda, taką zapałał żądzą męczeństwa dla Chrystusa, że przybył do Szwecyi i oddał się

[1]) Cf. Officia propria SS. Patronorum Regni Poloniae et Sueciae, gdzie żywoty świętych wyjęte są »ex annalibus Suecicis «

pod rozkazy świętego biskupa, w nadziei, że głosząc Ewangelię pomnoży szereg szwedzkich męczenników. Inne jednak Bóg miał względem niego zamiary. Zarządzając powierzonym sobie kościołem, wzorem cnót zjednywał Chrystusowi wyznawców. Dokonał życia w późnej starości jako opat klasztoru, lecz ominęła go palma męczeńska.

W tym czasie Chrystyanizm tak począł się krzewić, iż zaszła potrzeba drugiego biskupa. Św. Zygfryd wyświęcił na tę godność św. Eskila, swego krewnego i towarzysza apostolskich trudów. Jednak znamię krzyża nie odniosło jeszcze zupełnego zwycięstwa. Dania, Norwegia i Szwecya miały je okupić śmiercią męczeńską swych królów: św. Olaf, król norweski, zginął w roku 1030,



Ołtarzyk Św. Trójcy. — Płaskorzeźba polichromowana znajdująca się w kościele św. Olafa w St. Olof.

św. Knud (Kanut), król duński, w r. 1068, Szwecya miała złożyć jeszcze większy krwi okup. Wspomniany dopieroco biskup, św. Eskil, świętością życia i gorliwością apostolską zjednał wielu dla Chrystusa, w czem sam król ówczesny, Ingon, szedł mu na rękę. Burzono pogańskie ołtarze, niszczono bałwany, natomiast powstawały na ich miejsce kaplice i kościoły. Wtem nieprzyjaciel imienia Chrystusowego wzniecił bunt zarówno przeciw biskupowi, jak królowi — przyczem król padł śmiercią męczeńską.

W miejsce Ingona, chrześcijańskiego monarchy, powołano na tron szwedzki poganina Suenona. Idąc za radą swych pogańskich stronników, król byłby zniszczył wszystko, co chrześcijańskie, gdyby św. Eskil roztropnością i męstwem nie umiał kłaść tamy jego dzikim zamiarom. Widząc jednak, że słowami nie zdoła nadal przekonać pogan, prosił z silną wiarą Pana Boga, aby jakim nadzwyczajnym znakiem potwierdził jego misyę w Szwecyi. I oto nagle spadły z nieba śniegi, grady i deszcze, niszcząc pogańskie ołtarze, podczas gdy głowy świętego biskupa ani kropla deszczu nie tknęła. Na widok tego niezrozumiałego dla nich zjawiska, rzucili się słudzy bałwanów na świętego: jeden z nich kamieniem uderzył go w głowę, drugi ciął siekierą, inni już tarzającego się we krwi własnej, wlekli w barbarzyński sposób przed króla Suenona, oskarżając o czary, któremi zniszczył ich bożyszcza. Król wydał nań wyrok śmierci. W postną niedzielę Męki Pańskiej *(Dominica Passionis)* podobnie jak św. Szczepan został ukamienowanym.

Z początkiem wieku XI widzimy na tronie szwedzkim św. Eryka króla. Współczesne dzieje opowiadają o nim, że był *clarissimum regni Sueciae lumen.* Za małżonkę miał córkę króla Ingona, a powołanym na tron został przez większość panów, którym przysługiwało w ówczesnych czasach prawo wyboru monarchy. Odznaczył się on nietylko mądrością, roztropnością w rządzeniu i miłością względem podwładnych, lecz i innemi cnotami niezwykłemi na dworach królewskich. Czystość obyczajów, szczera pobożność, umartwienie ciała, hojność w rozdawaniu jałmużn, dochodziły u niego nieraz do heroizmu. W Henryku biskupie upsalskim znalazł nietylko znakomitego doradcę, ale i najgorliwszego poplecznika szlachetnych zamiarów. Gdy Finowie kraj jego napadli, był zmuszony zbrojno przeciw nim wystąpić, a pokonawszy, nietylko przyłączył ich do Szwecyi, dając im sposobność korzystania z chrześcijańskich praw i przywilejów, lecz dołożył starań, aby ich przywieść do poznania Chrystusowej nauki. Przy pomocy biskupa Henryka, który z Upsali udał się do Finlandyi jako apostoł tego kraju, pogaństwo powoli zaczęło znikać z tych północnych stron. Właśnie ta gorliwość świętego króla obudziła u niektórych magnatów szwedzkich gniew. Podburzyli przeciw niemu syna króla duńskiego Henryka Skatelera, robiąc nadzieję wyniesienia go na tron szwedzki. Wpadł on do Upsali w samą uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, gdzie w katedralnym kościele król Eryk słuchał Mszy św., i wychodzącego z nabożeństwa zamordował r. 1151.

Podobny los spotkał i św. Henryka, biskupa upsalskiego (r. 1151—1157), gdy w Finlandyi pozostał, aby świeżo założoną winnicę Pańską, nowych chrześcijan, utwierdzać we wierze św. Z ręki zbrodniarza śmierć męczeńską poniósł w tym mniej więcej czasie, co król św. Eryk.

Piękny wzór cnoty i gorliwości w krzewieniu nauki Chrystusowej, znajdujemy w innym z owych czasów męczenniku, św. Botwidzie. Szwed rodem, syn pogańskich rodziców w Anglii, dokąd dla kupieckich interesów się udał, poznał naukę Chrystusa i przyjął Chrzest św. Za powrotem w ojczyste strony, chociaż nie był kapłanem, lecz świeckim człowiekiem, szerzył gdzie mógł wiarę chrześcijańską i wielu dla niej pogan słowem i cnót przykładem pozyskał. Zginął z ręki niewolnika, którego nietylko wykupił, wolnością obdarzył, lecz i do poznania Chrystusa zachęcił.

W krwawym łańcuchu świętych wyznawców i męczenników różnego wieku i stanu nie zabrakło niewiast, któreby blaskiem cnót i stałością wiary przyświecały Szwecyi. Św. Helena, córka szlachetnego rodu wizygockiego, acz urodzona w pogaństwie, po przyjęciu wiary św. zajaśniała jak »gwiazda poranna.« Współczesne roczniki szwedzkie podają, że świętą była w latach swego panieństwa, świętą wydana za mąż, lecz po śmierci męża, wzgardziwszy powtórnem małżeństwem, taką zajaśniała cnotą, że w podziw wprawiała współczesnych. Między innemi odznaczyła się w cierpliwem znoszeniu oszczerstw i świadczeniu dobrodziejstw swoim prześladowcom. Utwierdziła się w tej chrze-

ścijańskiej cnocie na miejscach świętych podczas pielgrzymki do Jerozolimy. Zginęła w Szwecyi z rąk tych, którzy nienawidzą cnoty. Na prośby króla szwedzkiego papież Aleksander III wyniósł ją na ołtarze, kanonizacya odbyła się r. 1164, Kościół czci ją jako męczennicę 31 lipca.

Tak obficie zroszona ziemia krwią męczenników poczęła wydawać coraz piękniejsze kwiaty cnót wśród chrześcijańskich rodzin i w murach klasztornych. — Wspomnę tylko o dwu niewiastach: św. Brygidzie i jej córce św. Katarzynie. Niektórzy pisarze podają, że św. Brygida pochodziła z książęcego rodu. Trzeba to jednak rozumieć w szerszem znaczeniu. Prawdą jest, że ze strony matki sięga królewskiego rodu, który do swych przodków zaliczał św. Kanuta, króla duńskiego. Ze strony ojca pochodziła w prostej linii od króla Swerkera I-go, który był krewnym św. Eryka, króla i męczennika. Pomimo tak wspaniałego pokrewieństwa, rodzice św. Brygidy nie mieli tytułu książęcego. Jej ojciec, Birger Person, był tylko jednym z najmajętniejszych właścicieli dóbr ziemskich w Szwecyi, prawnik i urzędnik państwowy takiej powagi, że przy wyborze na króla, ród jego mógł być branym pod rozwagę. Dziedziczność tronu królewskiego i absolutyzm monarszy, powstały w Szwecyi dopiero za czasów protestanckich. W czasach średniowiecznych każdy okręg miał swój *ting*, i swego przez lud wybranego *lagmana*, t. j. znawcę prawa, który w obrębie swego okręgu sądy sprawował i bronił praw ludu wobec króla. Nowowybrany król, zanim odbył koronacyę, wpierw musiał

uzyskać zgodę *lagmanów* i zwiedzić okręgi ich władzy podległe, aby w każdym z nich hołd ludności otrzymać. Chociaż więc książęcym ród św. Brygidy nie był, jednak koligacye miała takie, jakie niewielu książąt posiada.

Życie św. Brygidy jest znane. Urodzona w r. 1303 w Uplandyi, między Stokholmem a Upsalą, najstaranniejsze wychowanie otrzymała w domu rodzicielskim. Poślubiona już w czternastym roku życia 18-letniemu Ulfowi, tradycyjne rodzinne cnoty z gorliwością wszczepiała w swe liczne potomstwo. Przytem nauki kwitły w tym domu, bo majątek wystarczał na utrzymanie zdolnych i cnotliwych nauczycieli. Zresztą i stanowisko jej męża powołanego do godności *lagmana,* i własne, gdy została główną damą dworu królowej, nadawało powagi jej całemu domowi. Umiała z tego korzystać, aby krzewić cnoty chrześcijańskie nietylko w swem otoczeniu, ale i daleko poza granicami Szwecyi. Znaną jest jej pielgrzymka z mężem do grobu św. Jakóba w Kompostelli, ich podróż do Francyi, gdzie Ulf zachorował śmiertelnie, ślub uczynił, że w razie wyzdrowienia wstąpi do klasztoru, co i uczynił zostając mnichem w Alvastra, szwedzkim monasterze. Ośmioro dzieci: pięciu synów i trzy córki było zaopatrzonych i już nie potrzebowali rodzicielskiej opieki. Więc i św. Brygida opuszcza świat — wstępuje do klasztoru mniszek w Alwastra. Za przykładem rodziców poszedł syn Ingeborg, zostając mnichem w Risberga, i córka Cecylia przyjmując welon zakonnic w Skenninga. —

Św. Brygida już wówczas słynna ze swych wizyj, dokładała starań, aby papieża Klemensa VI z Awignonu do Rzymu sprowadzić, pojednać zwaśnioną Anglię z Francyą. Wreszcie i do Rzymu przybyła ze swą córką św. Katarzyną i tu założyła zakon Zbawiciela *Ordo Salvatoris*, zrazu dla niewiast, później i dla mężczyzn, od jej imienia Brygidkami zwany w Wadstena. Sama zamieszkała w domu na *Campo di fiori* naprzeciw pałacu Farnese, po dziś dzień istniejącym, obecnie mieszkanie Karmelitanek polskiej fundacyi.

Jako 70-letnia staruszka pielgrzymowała ona wraz z córką św. Katarzyną i synem do grobu Zbawiciela, a po szczęśliwym powrocie z Jerozolimy, spoczęła na wieki w swym rzymskim klasztorze, obok Klarysek, w dniu 13 lipca 1373 r. Już w następnym roku jej wierna córka, św. Katarzyna, która acz w małżeństwie, panieństwo z mężem ślubowała Bogu, przewiozła do Szwecyi zwłoki matki, do klasztoru w Wadstena, gdzie jako pierwsza ksieni i sama pochowaną została. Wszystkie te postacie przesunęły się przed nami w tryptykach kościoła św. Olafa. Oto są kwiaty wyrosłe na szwedzkiej ziemi, tak bogato zroszonej krwią męczenników!

W 150 lat później ten owoc życia katolickiego zaczął znikać. Reformacya niszczyła wszelki ślad świetnej przeszłości, nawet klasztor w Wadstena uległ temu losowi....

W kilka miesięcy po powrocie z misyi w Szwecyi, gorąco modliłem się na grobie ŚŚ. Ap. Piotra i Pawła w Rzymie o jedność w wierze tych wszystkich narodów,

wśród których miałem sposobność w ciągu lat dawniejszych, a zwłaszcza w r. 1906 misyę odbywać. Gdym wracał od konfessyi boczną nawą tejże bazyliki św. Piotra, mimowoli wzrok padł na spiżowy pomnik królowej szwedzkiej. Do okoła medalionu z popiersiem więcej niż naturalnej wielkości, nad którym aniołowie trzymają królewską koronę, czytam napis:

CHRISTINA * ALEXANDRA * D * G * SVEC. GOTHOR. VANDALORUMQ. REGINA

Pod medalionem tablica z następującym napisem:

CHRISTINAE * SVECORUM * REGINAE * OB * ORTHODOXAM * RELIGIONEM * ABDICATO * REGNO * ABJURATA * HAERESI * PIE * SUSCEPTAM * AC * DELECTA * ROMAE * SEDE * EXIMIE * CULTAM * MONUMENTUM * AB * INNOCENTIO XII * INCHOATUM * CLEMENS XI P. M. * ABSOLVIT * ANNO * SAL. * MDCCII.

Pod tą tablicą znajduje się piękna płaskorzeźba, przedstawiająca królowę Krystynę otoczoną orszakiem dworzan, składającą wyznanie katolickiej wiary.

Oby miłosierdzie Boże sprawiło za przyczyną tylu świętych męczenników i wyznawców obojga płci synów i córek Szwecyi, aby ten węzeł nawiązany przez królowę Krystynę Aleksandrę między Szwecyą a Rzymem, pociągnął ku stolicy Piotrowej dzielny naród szwedzki. Dziwnym zbiegiem okoliczności ta Polska, co tyle doznała krzywd i nieszczęść ze strony Szwedów, gdy odpadli od jedności z Kościołem świętym katolickim, jedna jedyna wzywa wszystkich patronów szwedzkich o orędownictwo w niebie. Kapłani polscy

w brewiarzu i we Mszy św. prawie co miesiąc po kilka razy wzywają ich w obowiązkowych pacierzach. [1]) Wobec tego mimowoli nasuwa się pytanie, czy zachodzi jaki związek duchowy między wzywaniem świętych szwedzkich przez Polaków i wędrówką tych ostatnich do Szwecyi?

»O głębokości... mądrości Bożej: jako są nieogarnione sądy jego, y niedościgłe drogi jego.«

(*Z Listu do Rzymian,* R. XI, w. 33).

*

* *

Przy złotym blasku zachodzącego słońca wracaliśmy z miłej wycieczki do Kronowall. Wieczór nam

---

[1]) W dodatku do Breviarium Romanum p. t. »*Officia propria SS. Patronorum Regni Poloniae et Sueciae ex indulto Summorum Pontificum recitanda*« — obowiązującym kapłanów polskich dyecezyj, w następujących dniach obchodzi się uroczystość świętych szwedzkich patronów:

19 stycznia św. Henryka, biskupa i wyznawcy.
4 lutego św. Ansgara, biskupa i wyznawcy.
24 lutego św. Zygfryda, biskupa i wyznawcy.
23 marca, św. Katarzyny, panny, z Westeny, córki św. Brygidy.
18 maja św. Eryka, króla i męczennika.
12 czerwca św. Eskila, biskupa i męczennika.
W czerwcu w dniu wolnym: SS. Patronów królestwa szwedzkiego.
15 lipca św. Dawida, opata.
26 „ św. Botwida, męczennika.
29 „ św. Olafa, króla i męczennika.
31 „ św. Heleny, wdowy i męczenniczki.
7 października św. Brygidy, wdowy.

zeszedł wśród opowiadań z doznanych wrażeń i refleksyj nad tem, co oko widziało, a jeszcze głębiej odczuwała dusza. Dzień zakończyliśmy wspólną modlitwą przed Najświętszym Sakramentem, tak samo, jak i dnia poprzedniego. Nazajutrz pierwszy miałem Mszę św., do której służył mi hr. Sparre, następnie celebrował O. Stolberg, któremu ja usługiwałem.

Po ukończeniu naszych nabożeństw niezwłocznie puściliśmy się w dalszą misyjną wędrówkę, końmi do St. Olof, następnie koleją do Ystad.

X. Misye w Ystad, Torstrup, Charlottenlund.

Na wyjezdnem z Kronowall otrzymałem list wzywający mnie na dzień 14 października do Tyrnawy na Węgrzech, trzeba więc było kończyć misyę w Szwecyi, i wyzyskać jeszcze dla celu mej podróży parę dni pozostawionych do dyspozycyi.

Ze stacyi St. Olof, dokąd końmi dostaliśmy się z Kronowall, w ciągu godziny przybyliśmy z O. Stolbergiem koleją na południowy stok Szwecyi, do portowego, 10.000 mieszkańców liczącego miasteczka Ystad. Wprawdzie jest ono małem, ale ruchliwem, wskutek rozwiniętego handlu, fabryk i bezpośrednich połączeń parowcowych z Lubeką, Kopenhagą i Stokholmem. Stanęliśmy w hotelu. O. Stolberg ze zwykłą energią i gorliwością niezwłocznie wybrał się w drogę do różnych dworów z zawiadomieniem, gdzie i kiedy odbędzie się misya dla Polaków; ja pozostałem w mieście,

oczekując jego powrotu. Mając parę godzin do dyspozycyi, po obiedzie poszedłem w odwiedziny do p. Weigla, Czecha i katolika, wicedyrektora cukrowni, o którym wspominał mile O. Stolberg.

Fabryka leży daleko za miastem, już w polu, lecz znana wszystkim mieszkańcom tutejszym, więc nie trudno było wypytać się o drogę. Pan Weigel uprzejmie przyjął kapłana katolickiego, a do tego Polaka, lecz, że był bardzo zajęty swoim urzędem, prosił, abym tymczasem poszedł do jego prywatnego mieszkania, w obrębie fabryki położonego, o czem zaraz telefonicznie swą żonę zawiadomił. Pani domu. Niemka, lecz tak doskonale wyuczyła się po czesku, że nie mogłem z początku rozpoznać jej narodowości. Zaprezentowała mi swoje grzeczne dzieci, dziewczątka i chłopców, o których naturalnie wywiązała się rozmowa dotycząca wychowania a zwłaszcza religijnego. Tutaj po katolicku dzieci wychowywać, przygotować do św. Sakramentów, zwłaszcza gdzie nie ma w miejscu kapłana, ani nauczyciela katolickiego, napotyka na wielkie trudności. Lecz czegoż miłość rodzicielska nie może dokonać, jeśli chce swoim świętym obowiązkom sprostać? Pani Weigel postanowiła sama dzieci uczyć katechizmu i nie dozwolić, aby w luterskich wierzeniach były wychowane w szkole. Niebawem nadszedł pan domu i ze słowiańską gościnnością przyjął pobratymca. W ciągu rozmowy wspomniał mi, że był niedawno wzywany za tłumacza w trybunale sądowym szwedzkim w sprawie Polaka z Galicyi, a tak się wywiązał dobrze z zadania, iż pełniąc równocześnie funkcye bezpłatnego obrońcy, uzy-

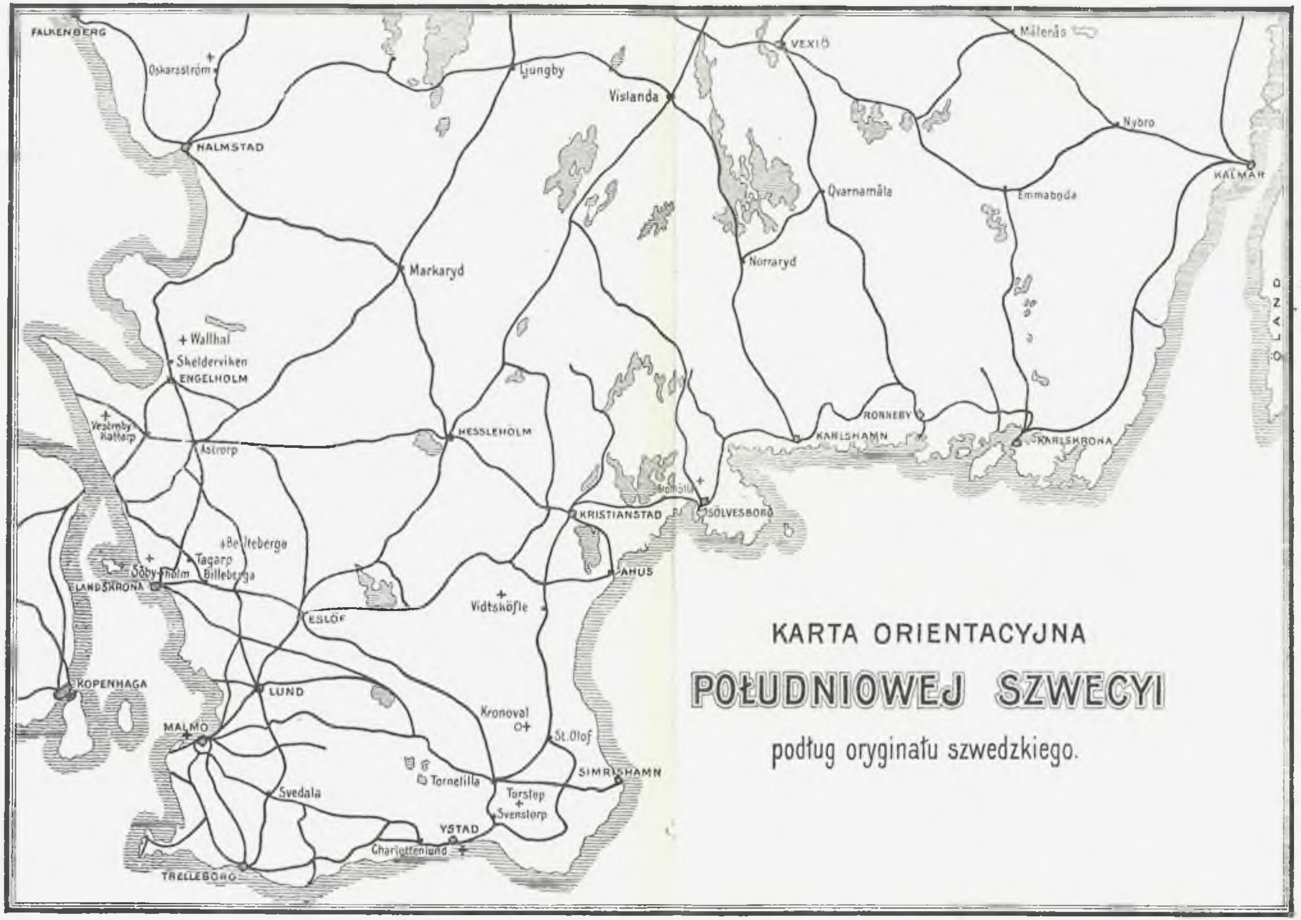
skał dla obwinionego stosunkowo małą karę. Sprawa była wcale poważną.

W niedaleko położonym dworze Rutsbo, pracowali Polacy w podobnych jak gdzieindziej warunkach, to jest mieli nad sobą aufsehera. Był to Prusak bezwzględny, tyranizował biednych robotników i robotnice, i tak znęcał się nad niemi, że je bił, a nawet jedną skaleczył. Obecny przy tem Stanisław G., z pod Trzebini, chłopak około lat 18, ujął się za słabszą połowicą ludzkości, i mając w ręku jakieś narzędzie, tak nieszczęśliwie uderzył niem w głowę Prusaka, że ten krwią zalany padł bez zmysłów na ziemię. Ocucono go wprawdzie, umieszczono w lazarecie, lecz stracił pamięć, zaledwie może mówić, kaleką zostanie na całe życie, a ma żonę i dzieci. Szwedzi tego rodzaju sprawy sądzą bardzo surowo. Gdyby nie było obrońcy, mogącego zrozumieć winowajcę i świadków, kto wie, czy Stanisław mógłby uniknąć kary śmierci. Na szczęście znalazł w osobie p. Weigla sumiennego rzecznika i został skazany na rok więzienia, zamienionego następnie na 9 miesięcy, lecz z dodaniem ciężkich robót.

Pan Weigel swem opowiadaniem zachęcił mnie do odwiedzenia Stanisława i niezwłocznie zatelefonował do zarządu więzień, czy będę mógł winowajcę odwiedzić. Odpowiedziano twierdząco, lecz dodano, że tylko przed szóstą godziną wieczór. Tymczasem minęła już godzina piąta, a więzienie położone daleko od fabryki, nadto niema komu wskazać drogi i być u Szwedów tłumaczem. Po krótkim namyśle z radością powiada p. Weigel: »Mam przewodników! Pójdzie najstarsza

moja córeczka jedenastoletnia i syn ośmioletni.« Dzieci ucieszone, że mogą księdzu towarzyszyć w »misyjnej wyprawie«, zebrały się niezwłocznie do drogi. Rezolutne i śmiałe dzieci prowadziły mnie przeszło pół godziny krótszemi drogami przez pola, ogrody, aż na drugi koniec miasta. Stanęliśmy przed bramą więzienia. Zadzwoniliśmy. Wyszedł odźwierny uzbrojony, dziewczynka wcale się nie przelękła, lecz płynnie po szwedzku wytłumaczyła, o co chodzi, poczem pożegnawszy dziatwę, wszedłem do rozmownicy. Za chwilę dwu dozorców przyprowadziło Stanisława. Chłopak rosły, silnie zbudowany, bardzo był smutny, przygnębiony, a przytem chory. Niespodziewana wizyta kapłana trochę go zmięszała, lecz i ucieszyła. Do spowiedzi jeszcze nie był przygotowany, a tu pozostawało zaledwie parę minut do szóstej godziny, z której wybiciem trzeba było koniecznie więzienie opuścić. Był jednak czas, aby dobre słowo chłopcu powiedzieć, zachęcić do modlitwy i skruchy. Poradziłem mu, aby na wszelki wypadek przygotował się do spowiedzi, może Opatrzność Boża pozwoli mu doczekać się jeszcze przybycia kapłana. Przy pożegnaniu smutek mnie ogarnął, że bez wysłuchania spowiedzi pozostawiam chorego Stanisława, bo nie miałem nadziei ponownie go zobaczyć.

O zmierzchu wróciłem do hotelu, niebawem przyszedł z wyprawy O. Stolberg, zmęczony, zgłodniały, bo od rana nic nie miał w ustach, a kilkanaście kilometrów uszedł pieszo, szukając po dworach polskich »owieczek.« Wzajemnie opowiedzieliśmy sobie, cośmy wśród dnia dokonali, poczem stanęło na tem, że wsta-



KARTA ORIENTACYJNA

POŁUDNIOWEJ SZWECYI

podług oryginału szwedzkiego.

niemy nazajutrz o bardzo wczesnej godzinie i udamy się z misyą do Torstrup. Tymczasem korzystając z wolniejszej chwili, użyliśmy spaceru nad brzegiem morza przy pogodnem niebie. Dziwnie mile i poważnie nastraja zawsze widok morza, a silniej jeszcze działa, gdy zgasną resztki światła zachodzącego słońca i strop niebieski z milionami gwiazd otworzy się oczom, a spokój nocy uśpi gwarną ludzkość na ziemi.

Nazajutrz, było to 6 października, pociąg wiózł nas pół godziny z Ystad do małej stacyi Svenstrop, gdzie już czekał tarantas hr. Ehrenswärt'a, właściciela dóbr ziemskich w Torstrup. Na gościńcu łączącym obydwie miejscowości, nie spotkaliśmy prawie nikogo, bo była jeszcze bardzo wczesna godzina. Tylko gdzieniegdzie w zagrodach rolników, z rzadka rozrzuconych po obydwu stronach drogi, dostrzegliśmy ruch niewielki. Naprzeciw domostw, zbudowanych po większej części w głębi pól, stoją przy samej drodze, bez żadnej straży ludzkiej, drewniane podstawy (deska leżąca na dwu palach w ziemię wbitych), a na nich naczynia blaszane numerowane z mlekiem najświeższego podoju. Zamówiony woźnica kolejno zabiera je na kolej, która przewozi takowe do wskazanych miast lub fabryk, a z kolei zabiera już opróżnione i wedle numerów na nich się znajdujących, ustawia przy drodze na tych samych stołach, skąd je wziął poprzednio. Nikomu na myśl nie przyjdzie, aby szkodę wyrządzać właścicielom nabiału, bo tutaj poszanowanie cudzej własności jest święcie przestrzegane przez Szwedów.

Około godziny 6 rano byliśmy już w Torstrup. Dworek parterowy z małem bocznem skrzydłem i gankami ocienionymi winną dziką latoroślą, otoczony parkiem, w pobliżu zabudowania gospodarskie, drób szukający ziarn w ogrodzie i po dziedzińcu, prowadzenie fornalek i bydła do pojenia — wszystko to przypomniało mi nasze polskie dworki szlacheckie, średniej zamożności obywateli.

Hr. Ehrenswärt, chociaż była wczesna godzina, jak na dobrego gospodarza przystało, był już na nogach przy swych zwykłych zajęciach, uprzejmie przywitał katolickich kapłanów i wskazał nam trzy pokoje do naszej dyspozycyi. O. Stolberg niezwłocznie zajął się ustawieniem ołtarza, poczem poszedł zwołać polskich robotników, ociągających się z przybyciem.

Czekaliśmy dobrą godzinę na nich, bo korzystając z wolnego od roboty dnia, zażywali wywczasu — no i wystroić się należało na tę wyjątkową dla nich uroczystość. Wszyscy ludzie tutejsi, a było ich razem 18 osób, chłopców i dziewcząt, pochodzą z dyecezyi kieleckiej z »mrzesławskiej« parafii. Zgromiłem ich jednak za to opóźnienie. »Skoro O. Stolberg, starzec posiwiały, mógł dziś wstać o godzinie czwartej rano dla waszego dobra, mogliście nie marudzić aż do siódmej godziny; wstyd mi robicie przed obcokrajowcami!« Spłakali się jak bobry, i tem chętniej słuchali nauki przygotowawczej do przyjęcia św. Sakramentów. Gdym ukończył słuchanie spowiedzi, wyszedłem ze Mszą św., po mnie odprawił drugą O. Stolberg, wspólnie z ludem pomodliliśmy się na dziękczynienie Panu Bogu za łaski otrzy-

mane, następnie znowu do ludu przemówiłem, zachęcając do wytrwałości w dobrem.

Po ukończeniu nabożeństwa, hr. Ehrenswärd, rosły typowy Szwed, z krótko strzyżoną, szpiczasto zakończoną brodą, zaprosił nas na śniadanie, poczem niezwłocznie odjechaliśmy na stacyę kolejową Svenstrop, a stamtąd do Ystad. Spieszyliśmy do tego miasta, aby zawczasu uzyskać pozwolenie na widzenie więźnia polskiego, co mogło przedstawiać pewne trudności, skoro już wczoraj byłem u niego. Niezwłocznie z kolei odniosłszy rzeczy do hotelu, udaliśmy się do dyrektora więzień. O. Stolberg wyjął tym razem swój bilet z tytułem hrabiowskim, który skutek sprawił magiczny, bo bramy więzienne otwarły się, a jego dyrektor, Szwed chudy, słuszny, o bystrem spojrzeniu, przyjął nas uprzejmie w swej kancelaryi i prosił, abyśmy zaczekali. Wyszedł on, lecz za chwilę powrócił ze Stanisławem. Zapytałem go, czy chce się spowiadać, najchętniej, bardzo tego pragnie i Bogu dziękuje, że czuwał nad nim i tak niespodziewanie przyprowadził kapłana. O. Stolberg usiadł w jednym kącie pokoju, ja w drugim, dyrektor więzienia przy swem biurku, twarzą do nas zwrócony. Chociaż zajął się przeglądaniem stosu aktów sądowych, jakie miał przed sobą, jednak twarz jego zdradzała, że więcej nami się interesuje, zwłaszcza gdy wyjąłem stułę i klęczącego przedemną Stanisława słuchałem spowiedzi. Gdy przy rozgrzeszeniu wyciągnąłem rękę i krzyż robiłem nad głową penitenta, dyrektor westchnął głęboko, poważnie wzrok swój ku niebu skierował, następnie oczy spuścił pełen wzruszenia. Była to

chwila, której nigdy nie zapomnę. Twarz Stanisława przedtem ponura, smutna, jakby obraz całej pełni wewnętrznych boleści, po spowiedzi nie do poznania się zmieniła. Całował nas po rękach z uczuciem prawdziwej wdzięczności za łaskę Bożą, otrzymaną w Sakramencie Pokuty, a obdarzony przez nas koronką, obrazkiem i katechizmem, odszedł spokojny, a nawet pełen wesela, do swej celi więziennej. Dyrektor przedtem uprzejmy, lecz zimny, zmiękł; serce ludzkie odezwało się w tym lutrze, i zapewne uznał po raz pierwszy w życiu potęgę tego Sakramentu, który jest odrzucony przez herezyę Lutra i podobnych jemu apostatów.

Czy ta rzewna scena w kancelaryi więziennej wywrze jaki bezpośredni skutek na duszę Szweda-lutra, to tylko Bogu wiadomo. Nam wolno mieć nadzieję, że przynajmniej jeśli nie usunie, to przynajmniej osłabi niechęć w jego duszy do tego, co katolickie, a tak nam święte i drogie.

Wśród gwałtownej ulewy wracaliśmy do hotelu; serca nasze były przepełnione radością i w duszy powtarzaliśmy słowa psalmisty: *misericordias Domini in aeternum cantabo.* (Ps. 88, 2).

Po obiedzie, odmówiwszy pacierze kapłańskie, ułożyliśmy plan następnej misyi w Charlottenlundzie. Zważywszy, że tam niema gdzie przenocować, a w ciągu jednego przedpołudnia nie damy sobie rady ze spowiedziami: postanowiliśmy zatrzymać nasze mieszkanie hotelowe w Ystad, rozpocząć jeszcze dzisiaj misyę, na noc powrócić do hotelu, a nazajutrz rano znowu się udać do Charlottenlundu na jej zakończenie.

Stosując się do planu doskonale nam składającego się z ruchem pociągów, wyjechaliśmy około 7-ej wieczorem, i w kilkunastu minutach stanęli u celu wycieczki. Niebo zaległy chmury, nawet słaby blask księżyca lub gwiazd nie rozjaśniał egipskich ciemności. Na stacyi nie było nikogo, ktoby zabrał nasze rzeczy, więc dźwigaliśmy je sami idąc po błocie, polnemi drogami. Pierwszym szedł O. Stolberg, jako już znający nieco okolicę, ja za nim postępowałem, prawie trzymając się poły jego płaszcza, bo nic nie widziałem, gdzie nogi stawiam; czułem tylko, że w rozmiękłą ziemię lub w kałuże stojące na drodze. Nagle słyszę krzyk: O. Stolberg upadł. Zamiast postawić nogę na mostek, wpadł w rów błotnisty. Szczęściem w nieszczęściu, prócz potłuczeń i zabłocenia nic mu się więcej nie stało. Na nasze wołania wybiegli Polacy z pobliskich baraków i dopomogli do dokończenia misyjnej wyprawy.

Dozorca otrzymał zasłużoną naganę, że nikogo po nas nie posłał z latarką. Lud był bardzo wzruszony przygodą O. Stolberga, i nie potrzeba dodawać, jak pragnął skorzystać z naszej obecności okupionej takim wypadkiem. Baraki ustawione w podkowę, były przepełnione chętnymi do spowiedzi. Po krótkiej nauce przygotowawczej niezwłocznie zacząłem czynić zadość ich pragnieniom. Wysłuchawszy spowiedzi 24 osób, resztę trzeba było odłożyć do dnia następnego, bo już była godzina $9^1/_2$ wieczór i pociąg miał niebawem odejść do Ystad. Zapalono latarnię, chłopcy otoczyli nas kołem i szczęśliwie odprowadzili na stacyę kole-

jową. Około $10^1/_2$ byliśmy z powrotem w hotelu, aby zażyć zasłużonego spoczynku. Trwał on jednak krótko. Jeszcze było ciemno, gdyśmy wstali rano w niedzielę 7 października; spieszyliśmy, aby zdążyć na pociąg, który nas przywiózł z Ystad do Charlottenlundu przed godziną szóstą rano. W barakach dwie większe izby połączone ze sobą, zapełniły się ludźmi obojga płci. Zebrali się Polacy z różnych okolicznych folwarków, aby brać udział w nabożeństwie niedzielnem; izby świeżo wymyte, szczelnie zapełniły się pobożnymi robotnikami. Dziewczęta, jak umiały i czem mogły, przyozdobiły ołtarz i prowizoryczną kaplicę. Obrazki Świętych Pańskich, wyjęte z książeczek do nabożeństwa, przymocowały do ściany nad ołtarzem, ozdobionej różnokolorowemi chustkami i chusteczkami, sztucznymi kwiatami, kolorowanemi i złotemi papierkami, wyciętymi misternie w różnorodne desenie. Miło było patrzyć, jak ten ludek nasz dokłada starania, aby miejsce, gdzie się ma odprawiać Najśw. Ofiara, jak najpiękniej przyozdobić, dając tem nowy dowód swej silnej wiary i miłości Boga.

Po wysłuchaniu kilkunastu spowiedzi wyszedłem ze Mszą św., na której komunikowało 42 osób, następnie inni się spowiadali, aby na Mszy św. odprawianej przez O. Stolberga, przystąpić do Stołu Pańskiego. Wszystkich razem komunikowało tutaj 59 osób, lecz na Mszy św. było więcej, niektórzy nie byli na czczo, lub dla innych przyczyn woleli odłożyć Komunię św. do innej sposobności.

Na zakończenie nabożeństwa miałem dłuższą naukę, na której wspomniałem między innemi, aby się strzegli »fałszywych proroków, którzy w owczej skórze przychodzą do nich, lecz są wilki drapieżne.« Słowa prawie mimowoli wypowiedziane, silne na nich zrobiły wrażenie. Cóż się okazało? Oto niedawno była w tych stronach »jakaś pani« (dyakoniska luterska) i rozdała ludowi pięknie oprawne książeczki w języku polskim. Były to ewangelie i listy apostolskie znanego wydania towarzystwa biblijnego w Londynie. Przypuszczam, że ta »pani« nie miała złych zamiarów; i owszem, mogła mieć najlepsze intencye ze swego punktu widzenia: chciała nieść pokarm duchowny — szkoda, że zatruty przez protestanckie wydawnictwo... Gdy mi moi słuchacze zaczęli znosić z kuferków wydobytą biblię luterską, wytłumaczyłem im łatwo, że tych książeczek czytać nie wolno, skoro nie są zatwierdzone przez katolickiego biskupa. Niebawem stosy tychże ukazały się przedemną. Cóż z tym fantem zrobić? Wybieram najmłodszą z obecnych dziewcząt i polecam, aby te książki wrzuciła w ogień palący się w piecu kuchennym.

Do odejścia pociągu było jeszcze daleko, był czas spożyć obfite śniadanie, jakie nam lud własnym kosztem przygotował, i pogawędzić, i rad udzielić, jak zwykle bywa na misyi. Chociaż prosiliśmy, aby nas nie odprowadzano — wystarczy, że dwu chłopców zabierze nasze rzeczy, niektórzy, a zwłaszcza niektóre nie dały się odwieść od odmówienia sobie przyjemności jeszcze raz na kolei pożegnać »swoich księży.«

O godzinie $2^1/_2$ wyjechaliśmy z Charlottenlundu wprost do Malmö. Okolica bardzo piękna, pagórkowata, zalesiona liściastem drzewem. Po drodze spotykaliśmy sarny i jelenie, stadami pasące się na polanach, oswojone z widokiem pociągów, bo nie zawsze uciekały, lecz z podniesionymi łebkami wielkimi oczyma spoglądały na nas. W ciągu trzech godzin stanęliśmy szczęśliwie w mieszkaniu X. prałata Poppa. Tegoż jeszcze dnia odwiedził nas p. Leon Wach, stale mieszkający w Malmö, gorliwy opiekun polskich robotników w Szwecyi. Od czasu, gdy nasi rodacy spieszą w te strony za zarobkiem, p. Wach pełni dla nich funkcye bezinteresownego konsula austryackiego, wyszukuje dla nich odpowiednie zajęcia, chroni, gdzie tylko może, przed niebezpieczeństwami, wysyła im pieniądze w ich ojczyste strony, przeprowadza rozliczne korespondencye i t. d. i t. d. Jednem słowem jest on po O. Stolbergu opatrznościowym człowiekiem dla naszego ludu w Szwecyi.

Nazajutrz rano poznałem hr. Sparre z Kronowall, o której już dawniej wspomniałem, że mieszka w Malmö z synem uczęszczającym do tutejszego gimnazyum. Przyszła z zamiarem urządzenia znowu jednej misyi dla Polaków. Niestety, byłem zmuszony odmówić, bo czas naglił do powrotu, wszystko już było ułożone, że jeszcze tego samego dnia wyjadę do Kopenhagi, skąd przez Berlin i Wrocław na Węgry.

Ostatniem mojem zajęciem w Malmö było wysłuchanie przedślubnej spowiedzi niejakiego Szymańskiego i wyegzaminowania go z katechizmu. Żeni się

ze Szwedką luteranką, tembardziej potrzebne mu były odpowiednie nauki, jak ma dom swój po katolicku urządzić i duszę swą zbawić w trudnych warunkach życia w dali od Kościoła i wszelkiej duchownej pomocy.

Pozostało zaledwie kilkanaście minut, aby rzeczy spakować, posilić się i udać na pokład okrętu odchodzącego bezpośrednio po południu do Kopenhagi. Raczej na Danię niż na Rugię powrót obrałem, aby uniknąć ponownej dłuższej podróży po Bałtyku, który dobrze dał mi się we znaki w drodze do Szwecyi. Korzystam z tej sposobności, aby choć w kilku słowach z czytelnikami podzielić się wrażeniem, jakiego doznałem podczas krótkiego pobytu w duńskiej stolicy.

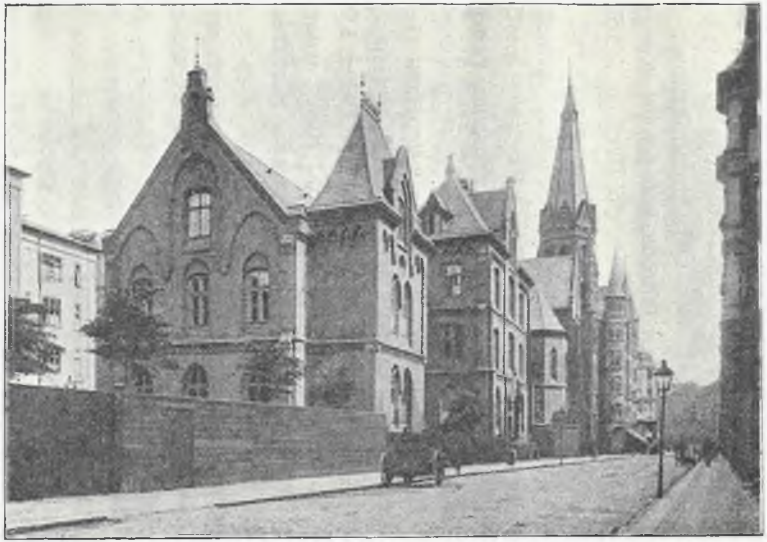
W KOPENHADZE.

Dnia 8 października w Malmö opuszczam szwedzkie wybrzeża na wielkim parowcu zdążającym do Kopenhagi. Przestrzeń dzieląca te dwa miasta jest tak niewielka, że przebywa się ją w ciągu $1^1/_2$ godziny, a oko widzi z brzegów Szwecyi wybrzeża duńskie. Morze było bardzo spokojne, parowiec prawie się nie kołysał, płynął jak po jeziorze; pogoda była piękna, słońce olśniewało widnokrąg. W miarę zbliżania się do wybrzeży duńskich, kontury lądu stają się coraz bardziej wyraźne, a na nich rozsiadła szeroka Kopenhaga z rozlicznymi swymi portami i kanałami. Formalny las masztów zaległ wybrzeża. Bo też Kopenhaga znakomite ma porty i handel ożywiony z całym światem, tworzący potęgę finansową Danii, a przedewszystkiem jej stolicy. Na 2,600.000 ludności znajdującej się w królestwie duńskiem (prócz Islandyi liczącej 80.000), sama Kopenhaga ma około $^1/_2$ miliona mieszkańców, a więc prawie $^1/_5$ całej ludności. Corocznie

do portów tutejszych przybywa przeciętnie 9.800 parowców i 8.000 żaglowych okrętów, t. j. prawie 50 każdego dnia. Jakiż ruch w portach panuje, skoro każdy z tych okrętów kilka dni potrzebuje, a nieraz parę tygodni, na wyładowanie i naładowanie towarów nowych, ile ich przez te tygodnie nagromadzi się w portach; ileż tysięcy ludzi zajętych jest przy znoszeniu towarów, a już nie mówię o rozmaitego rodzaju wozach ciężarowych, kursujących bezustannie w jedną i drugą stronę po wybrzeżach portów, i owych tysiącach łodzi snujących się po spokojnych wodach kanałów, jakie przerzynają miasto w różnych kierunkach!

W portowym urzędzie celnym bardzo delikatnie informowano się, czy niema czego do opłaty, o paszport wcale nie pytano, bez żadnych indagacyj fiakrem udałem się do jezuickiego kolegium, odległego stąd dobre pół godziny. Szerokie ulice wiją się wśród pięknych, w dobrym stylu zbudowanych gmachów, raz po raz napotykam jakiś skwer lub ogród, sadzawki i stawy otoczone krzewami i kląbami kwiatów, co chwila nowy piękny widok, a wszędzie schludność, charakterystyczna cecha północno - zachodnich miast Europy.

Dorożkarz stanął przy ulicy Stenosgade Nr. 4, gdzie znajduje się kolegium jezuickie i piękny gotycki kościół. Podobno najpiękniejszym on jest z istniejących obecnie w Danii. Niedawne są czasy tolerancyi religijnej. W r. 1536 dekretem królewskim została zakazaną wiara katolicka w prowincyach berłu duńskiemu podległych. Po uwięzieniu w jednym dniu wszystkich



Kościół Najśw. Serca Pana Jezusa i kolegium OO. Jezuitów pod wezwaniem św. Kanuta.

naraz biskupów, lud bez pasterzy pozostawiony, opuścił wiarę katolicką i cały kraj został luterskim. Nie brakło wprawdzie kapłanów, którzy starali się wiarę podkopaną podtrzymywać, lecz usiłowania ich nie były uwieńczone pożądanym skutkiem. Również prawie bezowocną była działalność dwu OO. Dominikanów: Jakóba Broniwer'a i Mikołaja Jansena, których św. Kongregacya *de Propaganda fide* wysłała do Danii w r. 1623. Dopiero w r. 1848 pozwolono katolikom przebywać tu bezkarnie, ale nie wolno im było budować mieszkań z oknami wychodzącymi na ulice. Pierwszy kościół katolicki stanął dzięki staraniom i funduszom panującego nam cesarza Franciszka Józefa I, przy poselstwie austryackiem w Kopenhadze. Mieszkanie kapelana tegoż kościoła zostało zbudowane, stosownie do istniejącego wówczas przepisu, z oknami do dziedzińca. Od r. 1892 zajmuje je X. Biskup v. Euch, t. j. od chwili ustanowienia w Danii wikaryatu apostolskiego. Mieszkania jednak jego nie dało się przenieść i okna kryjące się w dziedzińcu mogą długo świadczyć o dawnem prześladowaniu. W ostatnich kilkunastu latach wprawdzie widzimy postęp katolicyzmu w Danii; okupionym jest jednak wielkim nakładem pracy licznego personalu misyjnego: męskiego i żeńskiego.

Wedle ostatniej statystyki cyfra katolików wynosi zaledwie 11.940 osób, z których około 4.500 mieszka w Kopenhadze, reszta po miastach prowincyonalnych. Dla tej garstki wiernych znajduje się w Danii 30 kościołów i 13 kaplic, a kapłanów zajętych wyłącznie duszpasterstwem jest 64.

Prócz tego posiada Dania:

3 domy	Jezuitów	z 63	zakonnikami
2 „	Redemptorystów	z 12	„
4 „	Marystów	z 12	„
1 „	Norbertanów	z 5	„
1 „	Kamilianów do obsługi chorych	z 9	„
1 „	Lazarystów	z 1	„
1 „	Braci Marystów	z 6	„
13 domów	. . . .	z 108	zakonnikami.

Z żeńskich Zgromadzeń zakonnych:

18 domów Sióstr Józefitek Kongregacyi z Chambery	z 275	zakonnicami
2 domy św. Elżbiety (Szare Siostry) .	z 24	„
1 dom Sióstr de la Sagesse	z 20	„
1 dom Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo	z 6	„
1 dom Sióstr Franciszkanek	z 8	„
3 domy Sióstr Bożej Miłości	z 19	„
1 dom Sióstr św. Jadwigi	z 6	„
27 domów zakonnic	z 358	zakonnicami.

Wszyscy ci zakonnicy i zakonnice oddają się prawie wyłącznie nauczaniu i uczynkom miłosierdzia. W ich ręku pozostaje 12 szkół elementarnych katolickich dla 456 chłopców, i 17 szkół dla 569 dziewcząt, 2 szkoły wyższe dla 189 panien, 10 szpitali z 798 łóżkami, dom wychowawczy dla 18 sierot dziewcząt dorosłych, gdzie kształcą się w zarządzie gospodarczym i ręcznych robotach.

Największe męskie zakłady wychowawczo-naukowe pozostają w ręku OO. Jezuitów, a mianowicie: św. Kanuta w Kopenhadze i św. Andrzeja w Charloten-

lundzie, a raczej w Ordrupshoj. Pierwszy z nich świeżo założony jest eksternatem nietylko dla rodzin niemieckich, zamieszkałych w Kopenhadze, ale także dla duńskich chłopców katolickich, których już spora liczba znajduje się w tem mieście.

Za przybyciem zauważyłem, że późno wieczorem mają OO. Jezuici jakieś nabożeństwo dla samych mężczyzn. Było to zwyczajne poniedziałkowe nabożeństwo Kongregacyi Maryańskiej młodzieńców. Obecnie liczy ona 60 członków i 25 aspirantów od 16 do 25 roku życia, stanów średnich, jak buchalterów, kantorzystów, rzemieślników, młodzież uczącą się. Co poniedziałku od godz. $8^1/_4$ do $9^1/_4$ wieczorem odbywa się dla nich w kościele odpowiednia nauka i krótkie nabożeństwo. Co miesiąc przystępują wszyscy razem do Komunii św., niektórzy częściej. Kongregacya kopenhagska ma czysto kościelny charakter, wykluczone więc są z niej wspólne zabawy, wycieczki i t. d. Pomimo tego na zebrania uczęszczają kongreganiści bardzo regularnie, a jeśli który ma przeszkodę, to zawiadamia listownie lub ustnie swego prezesa, donosząc mu o powodach nieobecności.

A trzeba przyznać, że kongreganistom przychodzi nieraz z trudnością zadość uczynić przyjętym obowiązkom, i jest to z ich strony wielka ofiara. Niektórzy jadą na welocypedach pół godziny, aby wczas zdążyć na zebranie. Nieraz deszcz pada — śnieżyca na dworze, zmęczenie po ręcznej lub biurowej całodziennej pracy, a mimo tego kongreganista spieszy z radością. Nawet tacy, co służą w wojsku, lub mają inne obowiązki służbowe, tak układają sobie czas, aby im starczył na



Amalienborg. (Zob. str. 270).

wieczorne poniedziałkowe zebrania i na miesięczną wspólną Komunię św.

Wskutek przykładnego zachowania się, Sodalisi maryańscy wszędzie są przez swoich przełożonych lub chlebodawców dobrze widziani, i mają często bardzo wielki wpływ na otoczenie. O ile ich położenie i stosunki w świecie pozwalają, oddają się dziełu apostolstwa, tak naprzykład: przyprowadzają swoich kolegów błądzących lub znajomych do Sakramentu Pokuty; oziębłych kongreganistów zachęcają do wytrwałości, protestantom starają się ułatwić poznanie religii katolickiej i zachęcają do jej przyjęcia. Nawet najmłodsi kongreganiści są nieraz bardzo czynni w utrzymywaniu swych towarzyszy w dobrem. Nieraz się zdarzało, że nawet najmłodsi przyprowadzali swego kolegę do spowiedzi, inni szukają w mieście niedbałych katolików, aby ich przywieść na dobrą drogę, a niejednokrotnie za swe pieniądze, otrzymane od rodziców na rozrywki, kupują książki i broszury apologetyczne, polemiczne i t. p., i rozdają takowe protestanckim kolegom, aby ich dla Kościoła św. pozyskać. Gdy Sodalisi maryańscy podróżują lub przenoszą się do innej miejscowości, chętnie pisują do swego prezesa i informują go o sobie, chcąc pozostać w ciągłej z nim łączności listownej.

Prócz Kongregacyi dla młodzieńców, mają Ojcowie Jezuici przy tymże kościele drugą Kongregacyę dla dorosłych mężczyzn. Należy do niej 150 osób; zbierają się co czwartek od godz. $8^1/_4$ — $9^1/_4$ wieczorem, a są prawdziwą chlubą katolików Kopenhagi.

Korzystając z wczesnego przybycia do kolegium św. Kanuta, wyszedłem na spacer w dzielnicę, gdzie pięć olbrzymich basenów słodkiej wody, a raczej stawów, ciągnie się na parę kilometrów przez sam środek miasta. Z dwu mniejszych basenów woda dostaje się do filtrów, a następnie rurami jest rozprowadzaną do wszystkich mieszkań Kopenhagi, trzy większe stawy służą do rozrywek: w zimie do ślizgawki, w lecie snują się po nich łodzie i parowczyki benzynowe, odbywają się festyny. Stadka łabędzi przesuwają się poważnie po tych czystych wodach, »dzikie« kaczki, oswojone z miejskiem otoczeniem, legowiska swe zakładają w nadbrzeżnych sitowiach. Stawy są oddzielone tamami i pięknymi mostami. Wszędzie widzę ruch wielki: samochody, welocypedy w użyciu, jak wszędzie w wielkich miastach, nie tyle dla parady lub przyjemności, ile dla rzeczywistego pożytku.

Nazajutrz rozpocząłem zwiedzenie miasta od jezuickiego kościoła Serca Pana Jezusa. Wyżej powiedziałem, że jest on najpiękniejszym z katolickich kościołów Danii, a mógłby i gdzieindziej zwracać uwagę miłośników sztuki może nie tyle strukturą gotycką z czerwonej cegły, ile raczej bogactwem i pięknem wewnętrznej ornamentacyi. Prześliczny jest tryptyk we wielkim ołtarzu, na zewnątrz skrzydeł widzę delikatnie i doskonałym pędzlem wykonane malowidła na pozłacanej blasze, nowoczesnej szkoły holenderskiej, przedstawiające sceny, które się odnoszą do ustanowienia Najśw. Sakramentu. Wbrew dzisiejszemu zwyczajowi, rzucania przez artystę swej myśli na płótno bez doło-

żenia trudu, aby to, co się chce przedstawić, było starannie i dokładnie wykonane: holenderski malarz z taką precyzyą i taką pobożnością wszystkie postacie tutaj przedstawił, jak je widzimy w złotej epoce chrześcijańskiego malarstwa przed tak zwanem »odrodzeniem« sztuki. Gdy się otworzy skrzydła tryptyku, zobaczymy prześliczną polichromowaną płaskorzeźbę wykonaną w drzewie. Już samo wykonanie rzeźby w najdelikatniejszych liniach w twardem drzewie, napotyka na wielkie trudności. Rzeźbiarz je przezwyciężył, chcąc nadać większą trwałość swemu dziełu. Sceny biblijne przedstawiają nam w nich w alegoryczny sposób miłosierdzie Boże. Podobnie piękne i starannie wykonane są malowidła i rzeźby na bocznych ołtarzach Matki Boskiej i św. Józefa.

Znowu zachwycać cię również będzie rzeźba ambony z dębowego drzewa. Ich treścią: kazanie Pana Jezusa z łodzi do rzeszy słuchającej nad brzegiem jeziora, rozmnożenie chleba i misya apostołów: *idąc tedy nauczajcie wszystkie narody.*

Chór, organy, ławki, obrazy po ścianach i stacye drogi krzyżowej malowane na miedzi, strukturą i pięknem wykonaniem harmonizują z całością, a przyćmione światło kolorowemi oknami dodaje powagi i majestatu kościołowi.

Nic więc dziwnego, że do kościoła Serca Pana Jezusa na nabożeństwa, a zwłaszcza nauki spieszą także protestanci. Lecz od słuchania nauk do nawrócenia się, przestrzeń jeszcze bardzo daleka; wiele baryer stoi na przeszkodzie, a przedewszystkiem pycha rozumu u pro-

testantów i brak szczerej modlitwy, że zamilczę o innych. Ojcowie, zajmujący się pracą apostolską w Kopenhadze, opowiadali, że duńskiego protestanta trzeba jak twierdzę zdobywać. Długo się on namyśla, nawet już po poznaniu, że prawda po naszej stronie; lecz gdy się raz nawróci, to prawdziwa pociecha, tak silnie stoi we wierze i tak gorliwie stosuje się do praktyk życia katolickiego.

O. Schmitz zabrał mnie z sobą, aby pokazać chociaż główniejsze ulice i gmachy Kopenhagi. Przedewszystkiem zaprowadził przed nowy ratusz, którego budowa trwająca przez lat dziesięć, dopiero w r. 1902 została ukończoną. Imponujące robi on wrażenie tak pięknością stylu duńskiego renesansu, jak i trwałością materyału doń użytego. Wśród pięknych z bronzu ulanych figur zdobiących ten pałac, wyszczególnia się wielkich rozmiarów statua, umieszczona nad głównem wejściem, biskupa Absalona, założyciela Kopenhagi, który zarówno się wsławił jako katolicki biskup i kanclerz państwa. Tego samego biskupa pomnik znajduje się na jednym z tutejszych placów. Przedstawiono go w postaci młodego rycerza na koniu stającym dęba, z mieczem w ręku, jako symbol zapału i gorliwości w tłumieniu pogaństwa. Piękną jest ta pamięć u dzisiejszych luteranów, oddających hołd należny dygnitarzowi Kościoła katolickiego.

Przez atrium ratusza wchodzimy na dziedziniec oszklony i zamieniony w aulę olbrzymich rozmiarów, która służy na zebrania ludowe i uroczystości miejskie. Dokoła tej hali biegną otwarte krużganki, służące

w razie potrzeby jako balkony dla widzów, którym miejsca na dole zabrakło.

Z ratusza blizko na wyspę zamkową, ufortyfikowaną jeszcze w XII stuleciu. Na niej król Chrystyan IV zbudował wspaniały pałac. Mieszkali w nim władcy duńscy do roku 1884, w którym ogień zniszczył rezydencyę królewską, pozostawiając tylko ruiny. Dotychczas rząd nie mógł się zdobyć na odbudowę. Prawie cudem ocalała bogata biblioteka królewska, założona wprawdzie dopiero w drugiej połowie XVII wieku przez Fryderyka III, posiadająca jednak obecnie już 550.000 tomów dzieł drukowanych i 20.000 rękopisów. Rodzina królewska przeniosła się w r. 1884 do zamku zwanego Amalienborg, składającego się z czterech do siebie podobnych pałacyków, tworzących harmonijną całość z ośmiobocznym placem, jaki się między nimi znajduje. Tutaj azyatyckie handlowe towarzystwo wystawiło pomnik Fryderykowi V. (Zob. ryc. na str. 265).

Na Amalienborgu powiewały chorągwie narodowe z powodu zjazdu rodziny królewskiej. Przybyli do Kopenhagi król norweski Hakon z żoną, Jerzy król grecki i carowa-wdowa Dagmara z Petersburga. Wszystko zamieszkało w tych czterech pałacykach wraz z królem i następcą tronu, dla braku odpowiedniejszych apartamentów miniaturowego królestwa.

Z kolei zwiedzaliśmy katolickie instytucye i kościoły, a przedewszystkiem katedralny, o którym wyżej wspomniałem. Wielki dwugłowy orzeł austryacki rozpostarł nad jego drzwiami swoje skrzydła, ku pamięci, że z funduszów cesarza austryackiego zbudowany; dla

tejże racyi wewnątrz przed ołtarzem ustawiono klęcznik i fotel z insygniami austryackiemi, przeznaczony dla posła austryackiego przy dworze duńskim, inni katoliccy dyplomaci mają swe miejsca w pierwszym rzędzie ławek.

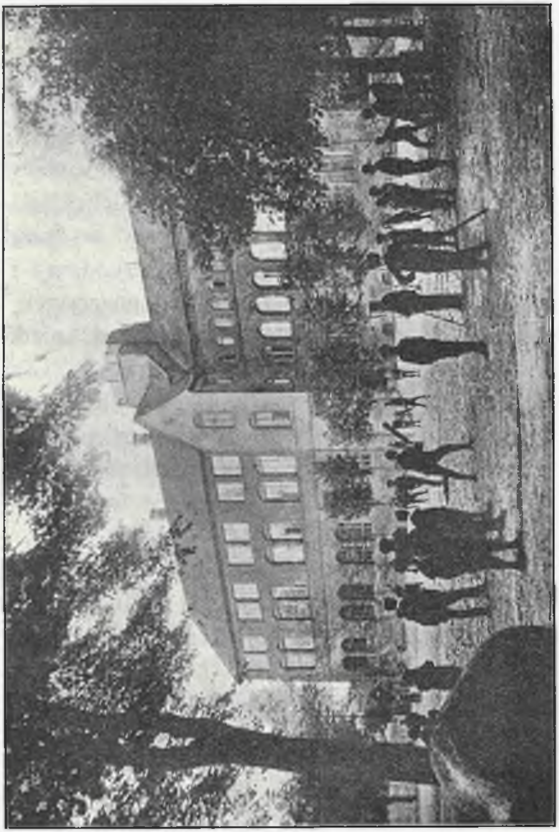
Wiele i to bardzo wiele mieliśmy do oglądania w Kopenhadze, zwłaszcza zabytki przeszłości i sztuki, kryjące się w bogatych muzeach. Trzeba było oglądanie tychże odłożyć do innej sposobności, ponieważ już się zbliżała pora obiadowa. Mój towarzysz proponuje, abyśmy się na obiad udali do Charlottenlundu, zyskamy przez to czas na zwiedzenie konwiktu św. Andrzeja.

Kolej już odeszła w stronę Charlottenlundu, wsiedliśmy więc do powozu i w ciągu 1$^1/_2$ godziny dostaliśmy się do jezuickiego konwiktu. Droga z Kopenhagi do Charlottenlundu prowadzi wśród zabudowań, will, pałaców, ogrodów i faktycznie jest jakby przedłużeniem duńskiej stolicy. Wśród will widzieliśmy jedną z piękniejszych, zakupioną na wszelki wypadek tego lata (1906) przez cara Mikołaja II dla swojej rodziny.

Konwikt św. Andrzeja znajduje się już poza obrębem Charlottenlundu, lecz w jego najbliższem sąsiedztwie: w Ordrupshoj. Wśród pól i parku stajemy przed szeregiem budynków, rozpoczynających się kościółkiem gotyckim w krzyż zbudowanym. Na dzisiejsze potrzeby już jest za małym, trudno jednak powiększać bez zatracenia pięknej struktury i harmonijnych linij całości. Wnętrze konwiktu nie imponuje wielkością, lecz urządzenie jego jest bardzo wygodne, bo przy budowie dobrze zawczasu obmyślane i zastosowane do potrzeb

zakładu. Są tu osobne sale przeznaczone do wykładów, inne większe, tak zwane muzea, gdzie młodzież uczy się przy swoich pulpitach. Rozległe sypialnie, chociaż są wspólne na kilku studentów, jednak tak osłonięte rodzajem parawanów lub przegród, że stanowią osobne celki otwarte u góry z prostotą, lecz elegancko urządzone. Największe sale przeznaczono na jadalnię i miejsce zabaw. Lecz co do tych ostatnich, przez znaczną część roku urządza się na wolnem powietrzu, gdyż miejsca nie brak — i to dowoli pod otwartem niebem, lub w cieniu rozłożystych drzew. Obok parku znajduje się willa i mauzoleum, gdzie spoczęły zwłoki majętnej Dunki, fundatorki tego konwiktu. Położenie jest idealne. Z jednej strony blizko jest morze, przytykające do Charlottenlundu, skąd znowu koleją połączenie z Kopenhagą, a z trzech stron otaczają konwikt orne pola i łąki, za nimi olbrzymi park narodowy, gdzie 1000 sztuk sarn i jeleni przebywa na wolnej stopie. Czystość powietrza nie pozostawia tu nic do życzenia. Nic dziwnego, że z konwiktu wiele młodzieży korzysta, nawet ze stron dalszych, a między nimi kilku Polaków, oraz Prusacy z Berlina. Nie bez znaczenia jest fakt, że kilku majętnych pruskich protestantów umieściło swych synów w tym katolickim zakładzie. (Zob. str. 273).

Konwikt św. Andrzeja jest przeznaczony nietylko dla poddanych duńskich, lecz także dla niemieckich. Stąd podwójne znajdują się tu szkoły: z duńskim i niemieckim wykładem, zastosowane do wymagań obydwu królestw. W dziale duńskiego systemu szkół korzystało w ostatnim roku 83 studentów, z niemieckiego 160.



Konwikt św. Andrzeja OO. Jezuitów w Ordrupshoj pod Charlottenlundem. (Str. 272).

W tym oddziale przyjmuje się chłopców od sexty do niższej sekundy włącznie. W obydwóch oddziałach, t. j. duńskiego systemu szkół jak niemieckiego, przyjmuje się wyłącznie tych chłopców, którzy pragną odbywać nauki gimnazyalne, a więc w obydwóch języki klasyczne są obowiązkowe. Rok szkolny kończy się na święta Wielkanocne, rozpoczyna bezpośrednio po wakacyach wielkanocnych, wedle systemu szkół pruskich.

Porządek dnia jest następujący: starsi wychowankowie wstają o godzinie 6, młodsi o pół godziny później, najmłodsi o godzinie 7 rano. Po porannych pacierzach uczą się do godziny $7^1/_2$, poczem śniadanie i krótki wypoczynek, następnie idą na Mszę św. Lekcye w szkole odbywają się od godziny 9 do 2, przegrodzone dwu większemi pauzami i drugiem śniadaniem o godzinie 11. Bezpośrednio po szkole obiad, potem są wspólne zabawy. W poniedziałki, środy, piątki i soboty od godziny $3^1/_2$ do 5 chłopcy się uczą, we wtorki, czwartki i we wszystkie niedziele i święta mają w tym czasie dłuższą przechadzkę. O godz. 5 podwieczorek, a o godz. 6 do $7^3/_4$ nauka, kolacya, czytanie dowolne lub spacer w parku podczas pogody, wreszcie pacierze wieczorne. Najmłodsi idą spać już o godz. $8^3/_4$, średnia młodzież o godz. $9^1/_2$.

OO. Jezuici z rozmysłu poprzeplatali naukę rozmaitemi zabawami i odpoczynkami, aby zdrowie młodzieży szwanku nie odniosło. Zato gdy czas na naukę, nie dopuszczają próżniactwa; każdy chłopak bardzo jest kontrolowanym, czy korzysta z lekcyj, a jeśli czego nie rozumie, ma obowiązek iść poza lekcyą do nauczyciela,

aby mu wytłómaczył czego może jeszcze jasno nie zrozumiał podczas jego szkolnego wykładu.

Skutek nauk odpowiada usilnej pracy OO. Jezuitów, bo przy egzaminach składanych przed rządowemi komisyami, chłopcy przechodzą z dobrym postępem, a jednak bez nadwerężenia zdrowia. Miło było usłyszeć z ust tutejszych pedagogów wyrazy uznania i zadowolenia z polskich młodzieńców, którzy tutaj się kształcą.

Oględziny konwiktu dość dużo zabrały mi czasu, już o zmierzchu powróciłem do Kopenhagi. Nazajutrz rano puściłem się w dalszą drogę — całą Danię przebyłem częścią koleją, częścią morzem, i po dziesięciu godzinach dotarłem do Berlina.

Z pruskiej stolicy utartymi szlakami wracałem do mych zwykłych zajęć, miłe wspomnienia unosząc ze szwedzkich wybrzeży.

A. M. D. G.

SPIS RZECZY

MISYJ ODBYTYCH W ROKU 1906.

NA KRECIE.

I. NA ADRYATYKU. MISYA W KANEI.

II. MISYA W RETYMNIE.

W SZWECYI.

DANIA.

W KOPENHADZE.

SPIS RYCIN.

KRETA.

NAD BOSFOREM.

SZWECYA.

DANIA.

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY DRUKIEM

następujące dzieła i broszury:

* *Szkice cywilizacyi Afryki południ.* Kraków 1890, str. VIII + 208.
* *Szkice z Indyj.* Kraków 1891. W 4-ce, str. VIII + 192.
* *Pamiętnik niewolnika afrykańskiego.* Kraków 1891, str. 75.
* *X. Michał Twardowski T. J.*, misyonarz w Indyach Wschodnich. Wspomnienie pośmiertne. Kraków 1892, str. 19.
Ustawy i przywileje Stowarzyszenia Rozkrzewiania Wiary. Kraków 1892, str. 32.
Albania. Zarysy etnograficzne, kulturalne i religijne. Kraków 1893. W 8-ce, str. 328.
Życiorys Bł. Rudolfa Akwawiwy i Tow. Męczenników T. J. — Kraków 1893, str. 64.
Misyonarz kampanii rzymskiej Bł. Antoni Baldinucci T. J. — Kraków 1894, str. 110.
Życie X. Wojciecha Męcińskiego T. J., umęczonego za wiarę św. w Japonii. Kraków 1895, str. XX + 273.
* *Odezwa do katolików w sprawie założenia generalnego Seminaryum w Indyach Wschodnich.* Kraków 1895. W 4-ce, str. 30.
* *Aufruf an alle Katholiken betreffend die Gründung eines General-Seminars in Ost-Indien.* Krakau 1896, In 4-to, str. 27.
* *W Dalmacyi i Czarnogórze.* Kraków 1896. W 8-ce, str. VI + 325.
* *Życie Bł. Bernardyna Realino, wyznawcy T. J.* Kraków 1897, str. 144.
* *W Norwegii i Laponii.* Kraków 1897, str. 236.
Z podróży po Bośni i Hercegowinie. — Kraków 1899. W 8-ce, str. VII + 352.
Wspomnienia z misyj między Polakami nad Bosforem, w Bośni i na Krecie. Kraków 1901. W 8-ce, str. VIII + 322.
Życiorys X. Władysława Michała Zaleskiego, Delegata apostolskiego dla Indyj Wschodnich. Kraków 1891, str. 15. (Drukowano jako rękopis).

Historya obrazu Matki Boskiej Jurowickiej, znajdującego się obecnie w kościele św. Barbary w Krakowie. Kraków 1901, str. 47.

Z Grecyi i Krety. Kraków 1902, str. VII + 349.

Vie du Père Albert Męciński S. J., mis a mort en Japon. Traduit du polonais. Troyes 1900, p. 158.

* *Kolonie polskie w Bośni.* — Wspomnienia z misyj w roku 1902. Kraków 1903, str. 83.

Wyprawa na Patmos, Efez i Kretę w r. 1899 i 1903. Kraków 1904. W 8-ce, str. VIII + 247.

Wilhelmina Balko z Zaleszczyk. (Zakonnica zamordowana przez pogan na wyspie w Oceanii). Kraków 1904, str. 16.

* *Album kościoła OO. Jezuitów we Lwowie,* wydany z okazyi koronacyi obrazu Matki Boskiej Pocieszenia w roku 1905. — Kraków 1905, str. 45.

Błogosławieni O. Melchior Grodziecki, O. Stefan Pongracz, kapłani Tow. Jez. i Marek Kriż, kanonik ostrzychomski, umęczeni za wiarę r. 1619. Kraków 1905. W 8-ce, str. 128.

Pamiątka beatyfikacyi Bł. Melchiora Grodzieckiego T. J. i Tow. Męczenników, obchodzonej w Cieszynie od 12—15 października 1905 r. Kraków 1906. W 8-ce, str. 64.

U w a g a. — Książki i broszury oznaczone * już są wyczerpane. Wszystkie inne można nabyć w administracyi »Misyj katolickich« w Krakowie, ul. Kopernika l. 26.

MISYE KATOLICKIE

miesięcznik bogato ilustrowany, wychodzący w Krakowie od r. 1882. Pismo to, wziąwszy sobie za cel rozbudzenie ku wierze św. i jej interesom, przez zapoznanie szerszych kół naszego społeczeństwa z dobroczynnym wpływem i pracami Kościoła katolickiego po całym obszarze ziemi, podaje: opisy prac misyonarskich czy to między innowiercami w Europie, czy to pomiędzy pogaństwem Azyi, Afryki, Ameryki, Australii i oceanu Spokojnego; oryginalne listy misyonarzy tak polskich, jako też i obcych; historyczne artykuły z dziejów misyj katolickich; geograficzne i etnograficzne studya,

oraz wiadomości bieżące, dotyczące wiary św. tak w Europie, jak i poza jej granicami.

Prenumerata roczna wynosi w Austryi 8 kor., w Cesarstwie niemieckiem 8 mk., w Królestwie Pol. i Ces. Rosyjskiem z przesyłką na prowincyę 4 ruble. W innych krajach Europy 10 franków lub 10 kor. W Ameryce 2 dolary albo 10 kor.

Wszelkie zamówienia wyżej przytoczonych książek i miesięcznika »Misye katolickie« należy adresować:

Administracya »Misyj katolickich«
(Austrya) Kraków, ul. Kopernika Nr. 26.

W ADMINISTRACYI „MISYJ KATOLICKICH“

(W KRAKOWIE, ULICA KOPERNIKA L. 26)

można nabyć następujące dzieła i broszury

X. MARCINA CZERMIŃSKIEGO T. J.:

Wyprawa na Patmos, Efez i Kretę w roku 1899 i 1903. Tekst objaśniony 70 rycinami, 2 planami i 3 mapkami. Kraków 1904. W 8-ce, str. VIII i 247. Cena 3 kor. (3 M.), w oprawie 4 kor. (4 M.).

Z Grecyi i Krety. W 8ce, str. 349. Tekst objaśniony 107 cynkotypami i mapą. Kraków 1902. Cena 3 kor. 50 hal., w oprawie 4 kor. 50 hal.

Wspomnienia z misyi między Polakami nad Bosforem, w Bośni i na Krecie. W 8ce, str. 322 z licznemi ilustracyami. Cena 3 kor. (3 M.), w oprawie 4 kor. (4 M.). Kraków 1901.

Podróż po Bośni i Hercegowinie, w 8-ce, str. VIII i 352, z mapą i 95 rycinami. Cena 4 kor. (4 M.), w ozdobnej oprawie 5 kor. Kraków 1899.

Albania. Zarysy etnograficzne, kulturalne i religijne. W 8-ce, str. 328, z 39 ilustracyami. Kraków, 1893. Cena 3 korony, w ozdobnej oprawie 4 korony.

O. Jan Beyzym T. J. i trędowaci na Madagaskarze. Wydanie IV-te w czwórnasób pomnożone. Tekst objaśniony 53 cynkotypami, mapką i planem. W 8-ce, str. 384. Kraków 1904. Cena 2 kor., w oprawie 3 kor.

Błogosławieni: O. Melchior Grodziecki, O. Stefan Pongracz kapłani Tow. Jezusowego i **Marek Stefan Križ,** kanonik ostrzychomski, umęczeni za Wiarę św. w r. 1619, zaliczeni w poczet Błogosławionych d. 15 stycznia 1905 r. W Krakowie 1905, str. 128. Tekst objaśniony 34 rycinami i cynkotypami. Cena 50 hal., w oprawie 70 hal.

Życie X. Wojciecha Męcińskiego T. J. umęczonego za wiarę w Japonii, w 8-ce, str. XX i 273. Z trzema rycinami. Kraków 1895. Cena 1 kor. 60 hal.

Życiorys Bł. Rudolfa Akwawiny i Tow. Męczenników T. J. Z ryciną i mapą, w małej 8-ce, str. 64. Kraków 1894. Cena 20 hal., w oprawie 30 hal.

Misyonarz Kampanii Rzymskiej Bł. Antoni Baldinucci T. J. Z portretem w 8ce, str. 110. Kraków 1894. Cena 30 hal. w oprawie 50 hal.